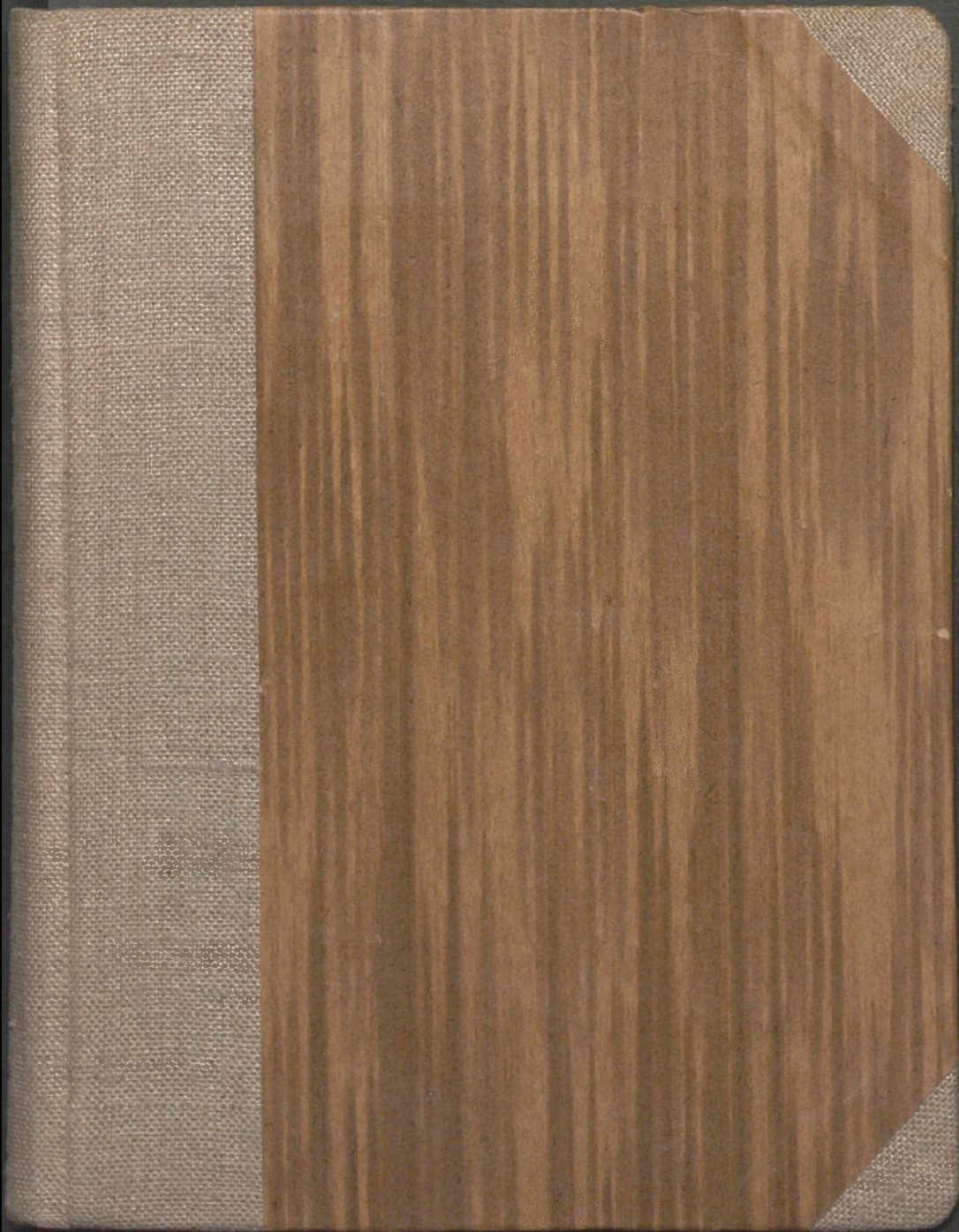




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





# SAMOUKI WIELCY LUDZIE

w dziedzinie

HISTORJI, UMIEJĘTNOŚCI, SZTUK I WYNAŁAZKÓW

zebrał z różnych źródeł

*Piata v. Reussner.*

TOM I.

WYDANIE PIERWSZE.



WARSZAWA.

Nakład autora (Reussnera)

przy ulicy Złotej № 6.

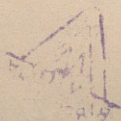
1897.

9/1 2610000

WIEBEGY PUDZIE  
SAMOUKI

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 13 Января 1897 года.

8402 / 1



# Spis treści.

---

	<i>Stronica</i>
Przedmowa . . . . .	1
Demostenes . . . . .	8
Ali-Beg . . . . .	13
Sokrates . . . . .	31
Dyogenes . . . . .	42
Walenty Jameray-Duval . . . . .	73
Jan Gutenberg . . . . .	83
Dyonizy Papin . . . . .	92
James Watt . . . . .	95
Bulton . . . . .	100
Ryszard Arkwright. . . . .	102
Juquard. . . . .	111
Filip Girard . . . . .	120
Benjamin Franklin. . . . .	127
Jerzy Stefenon . . . . .	140
Jozyasz Wedgwood. . . . .	166
A. W. Faber. . . . .	168
Ryszard Hartman . . . . .	174
Cobbet Wiliam . . . . .	178
Krystyan Mayer. . . . .	181
Krzysztof Kolumb . . . . .	186
Henryk Daniel Rumkorff . . . . .	190
Bernard Palissy. . . . .	194
Wilhelm Phipps. . . . .	197
Święty Wincenty à Paulo . . . . .	204
Rawlinson. . . . .	207
Jan Amos Komeński. . . . .	211
Livingstone Dawid. . . . .	214
Karol XII, król szwedzki . . . . .	221
Floryntyna Najtingel . . . . .	224
Karol Lineusz . . . . .	227
Las Casas. . . . .	232
Rohlf's Fryderyk . . . . .	237

---

## Spis rycin.

---

	<i>Stronica</i>
Aloksander Wielki odwiedza Dyogienesa . . . . .	45
Walenty Jameray - Duval obserwuje gwiazdy na niebie . . . . .	79
Jan Gutenberg, wynalazca sztuki drukarskiej. . . . .	85
Pomnik Jana Gutenberga . . . . .	91
James Watt . . . . .	97
James Watt przed gurnkiem z kipiącą wodą . . . . .	99
Ryszard Arkwright, wynalazca przędzalni bawełnianej . . . . .	103
Przędzalnia Arkwrighta . . . . .	107
Józef Marya Jaquard wynalazca maszyny do przędzenia . . . . .	115
Maszyna Jaquarda . . . . .	119
Benjamin Franklin, wynalazca piorunowodu . . . . .	128
Benjamin Franklin przybywa do Filadelfii . . . . .	135
Jerzy Stefenson wynalazca parowej maszyny. . . . .	149
Jerzy Stefenson kieruje parową maszyną . . . . .	157
Dawid Livingstone. . . . .	215
Zwłoki Livingstona na pokładzie okrętu Malwa. . . . .	219

---

## PRZEDMOWA.

Gdym w r. 1880 ogłosił prospektem, wydawnictwo mego podręcznika tytułowanego: „**Najlepsza Metoda do nauczania się języka niemieckiego w 3 miesiącach bez nauczyciela**“ wiele osób zadawało mi pytanie, czy to jest możebnem, aby się można nauczyć po niemiecku w tak krótkim czasie.

Na pytanie to uspakajalem ciekawych tą odpowiedzią, że w trzech miesiącach nie można się jeszcze nauczyć gruntownie języka niemieckiego, lecz można nauczyć się głównych podstaw, według których się można dalej kształcić w tym języku i można już rozmawiać i pisać łatwymi zwrotami mowy.

Jednakże ci amatorzy języka niemieckiego, którzy kupują książki i zamykają je do szafy, aby światła Bożego nie zobaczyły, lub kładą je pod głowę na noc, aby im zawartość książek sama weszła do głowy, albo nakoniec przeczytają lub tylko przejrzą parę stronic i książkę rzucają w ką, nie nauczą się żadnego języka nietylko za 3 miesiące, lecz także ani za 3 lata, ani za 30 lat.

Taką samą odpowiedź mogę dać wszystkim tym, co się chcą uczyć z pomocą moich podręczników naukowych języka angielskiego i francuzkiego.

Każdą umiejętność i naukę, każdą sztukę, zdobywa człowiek tylko pilną pracą, zamięłowaniem i wytrwałością bezustanną.

Jak człowiek się nie rodzi odrazu ani dorosłym mężczyzną, ani dorosłą kobietą, lecz maleńkiem dziećciem, które dopiero z czasem powoli ale stopniowo wyrasta, kształtuje i rozwija się fizycznie i umysłowo, tak samo zdobywanie każdej wiedzy i umiejętności odbywa się stopniowo.

Zaczyna się od maleńkich rzeczy, a kończy się na olbrzymich dziełach pracy ludzkiej, które jedni ludzie stwarzają, a drudzy podziwiają i tworców wielkich dzieł uważają za czarodziejów, nie pojmując i nie rozumiejąc, że tamci tylko usilną pracą i wytrwałością zostali mistrzami i czarodziejami.

Wprawdzie zdobywanie wiedzy i umiejętności przychodzi jednym łatwo, innym mniej łatwo, a niektórym nawet bardzo trudno.

Jedni już od natury szczęśliwie uposażeni przynoszą z sobą na świat wrodzone zdolności w ogóle, albo tylko w pewnym kierunku, którzy prawdę powiedziawszy po większej części nie umieją lub nie chcą użyć talentów swych na dobro dla siebie i bliź-

nich swych, lecz takowe marnują, spędzają życie w próżniactwie i gnuśności, stają się hańbą i ciężarem dla rodziny, dla społeczeństwa, a nawet dla całych narodów i państwa.

Inni znowu, przeciwnie, od natury źle uposażeni umysłowo i materyalnie, muszą iść na przebój i walczyć do upadłego, wyężdżając wszystkie siły, pokonywając wszelkie trudności, nim dopną celu.

Ci to właśnie wyświadczają największą przysługę najprzód sobie samym, następnie rodzinie swej i społeczeństwu; stają się przez swoją pracę niezmordowaną i wytrwałość panami pozycyi, chlubą rodziny i całych narodów, które ich sławią i uwielbiają przez długie wieki.

Niektórzy sławni, wielcy ludzie stali się nieśmiertelnymi tylko przez swe dzieła, swoje wielkie czyny.

Człowiek każdy, przyszedłszy do rozumu i poznania dobrego, a złego, powinien starać się naśladować i czynić tylko dobre, a unikać i nie czynić złego.

Przez dobre uczynki uszlachetnia i udoskonala się człowiek i staje się podobnym do Boga, który go stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

Chcąc zaś poznać bliżej Boga, Stwórcę swego, pojąć wszechmocność i mądrość Jego, powinien człowiek kształcić i rozwijać umysł swój i serce i tym sposo-

bem zbadać tajemnice natury, która go otacza, a która jest dla niego księgą mądrości.

Kto zaś chce zbadać tajemnicę przyrody i wszystkich tworów Bożych, musi bezustannie pracować, próbować i doświadczać, a żadnymi trudami i przeciwnościami się nie zrażać.

Tacy to właśnie ludzie gorliwi potrafili pilnością i pracą niezmierną utorować drogę do polepszenia bytu, do szczęścia doczesnego i wiecznego swego własnego, a jeszcze więcej dla swoich bliźnich.

Już to od najdawniejszych czasów znajdowali się ludzie, którzy służyli wiernie Bogu, Stwórcy swemu, spełniali Świętą Wolę Jego, stali się nauczycielami i przewodnikami swych współbliźnich i następnych pokoleń, które im błogosławiły.

Wślad za pierwszymi pionierami szli także ich następcy, późniejsze pokolenia i rozpowszechniali naukę i wiedzę coraz więcej i stopniowo aż do dzisiejszych czasów, gdzie ludzie odnoszą korzyści nieocenione z nauk, z ważnych odkryć i ulepszeń swych poprzedników.

Wiele z naszych obecnych współbliźnich podziwiała cuda sztuki ludzkiej, a nie mają pojęcia, ile to set, a nawet tysiące lat upłynęło, nim tę lub ową sztukę doprowadzono do tej cudotwórczej doskonałości.

Nie jeden nasz współbrat nie zechce nawet uwierzyć, że tysiące, a nawet miliony przodków naszych pracowało usilnie nad wynalazkiem i udoskonaleniem tej lub owej sztuki i umiejętności, która dla nas jest tak wielkiem dobrodziejstwem.

Ileż to dzisiaj jest rodzin zamożnych i bogatych, opływających w dobrobycie i dostatkach, chlubiących się zasługami swoich dziadów i pradziadów, a które nie mają nawet pojęcia, z jak wielkimi przeciwnościami walczyli ich przodkowie, jak ciężko w pocie czoła pracowali nad dokonaniem tych lub owych dzieł, których owoce stanowią dziś źródło dobrobytu, dostatków i szczęścia ich potomków, a nawet całej ich ojczyzny, a oni sami nie doczekali się nawet wdzięczności za swe prace i niektórzy z nich marnie zginęli na placu walk o lepsze.

Dzisiaj nie jeden arystokrata, magnat, wywodzący ród swój od znakomitych przodków, ani się domyślać może, że założyciel rodu jego był kiedyś biednym, mizernym człekiem, a tylko przez pracę, pilność i wytrwałość, przez piękne cnoty i dobre przykłady, wyniósł się nad poziom i unieśmiertelnił swe imię.

W celu zachęcenia młodych pokoleń do nauki, pilności w pracy, wytrwałości, oszczędności grosza, czasu i zdrowia, postanowiłem zebrać i wydrukować życiorysy, głównie młodość, niektórych sławnych,

wielkich ludzi, którzy przez pilność, pracę, a szczególnie przez samonaukę stali się nieśmiertelnymi wzorami, godnymi naśladowania od najdawniejszych do najnowszych czasów.

Życiorysy te czerpane z różnych źródeł, szczególnie z prac: **Karola Brandona, Franciszka Ottona, Hermana Bartha, Eugeniusza Müllera, Michała Massona** i wielu innych autorów i moje własne prace stanowią będą wzory najślawniejszych ludzi.

Zatem życiorysy te obejmować będą opisy w dowolnym porządku najprzód ludzi zasłużonych w historii starożytnej, następnie ludzi z średniowiecznych czasów i na koniec ludzi nowożytnych, którzy już wprawdzie nie żyją, ale my żyjący obecnie ich znamy i na koniec ludzi, którzy obecnie żyją wśród nas, których znamy osobiście, albo tylko z ich imienia dla zasług położonych dla dobra ogółu.

Z historii starożytnego i nowoczesnego świata przekonać się możemy, że tylko ludzie silnej, stałej woli, ludzie samodzielni, głównie samouki, stanowili i stanowią główną podwalinę cywilizacji i szczęścia ludzkiego; oni to bowiem byli i są największymi bohaterami.

Bardzo trafnie powiedział nieśmiertelny wieszcz niemiecki Fryderyk Szyller:

— 7 —  
„Wola robi człowieka wielkim, albo małym.“

Życiorysy te wydawać będę w niedużych tomach, których objętości i ilości naprzód nie mogę jeszcze oznaczyć.

Będzie to zależeć głównie od tego, jak Szanowna Publiczność przyjmie moje pracę.

Jeżeli pierwszy tom będzie miał powodzenie i uznanie, a szczególnie, gdy go będzie Szanowna Publiczność chętnie czytać i nabywać, to zachęcony do dalszej pracy wydam drugi dalszy tom.

W każdym razie pocieszam się nadzieją, że praca ta, podobnie jak również i inne wydawnictwa moje zostanie życzliwie przyjęta przez Szanowną Publiczność.

W tem przekonaniu puszczam niniejszy tom pierwszy w świat.

*Warszawa w Czerwcu 1896 r.*

**Plato v. Reussner.**

## DEMOSTENES.

---

Jak dalece silna wola, pilność, regularność i wytrwałość doprowadzić może człowieka, niechaj nam posłuży za wzór nieśmiertelny filozof grecki Demostenes, który się urodził w r. 384 przed Chrystusem w Atenach.

Był on synem dość zamożnego fabrykanta ostrej broni, ale zostawszy w siódmym roku życia sierotą, popadł w ręce niegodziwych opiekunów, którzy wydarli mu połowę majątku, a drugą zmarnowali nie-dbalstwem.

Niegodziwość ich posunęła się tak daleko, że nawet nie dali sierocie stosownego wykształcenia, choć z jego własnej ojcowizny mogli byli opłacić nauczyciela.

Tak więc Demostenes w dzieciennym wieku nie prawie się nie nauczył.

Dopiero gdy doszedł lat szesnastu, podobno następujące zdarzenie rozbudziło w nim niepokonany zapal do nauki krasomówstwa:

Mówca Kallistrates miał wystąpić na forum w sprawie miasta Oropus.

Ateńczykowie zbiegali się ze wszystkich stron zachęceniu zarówno ważnością sprawy, jako też i głośnie sławą Kallistrata.

Demostenes pobiegł tam za innymi i był świadkiem tryumfu krasomówcy, którego tłum odprowadził do mieszkania, wynosząc pod niebiosa jego świetny talent.

Młody Demostenes pozazdrościł jego chwały i postanowił, odłożywszy inne nauki nad któremi bez niczyjej pomocy pracował, oddać się wyłącznie krasomówstwu.

Udał się zatem do Izeusza.

A jakkolwiek Izokrates miał także liczną naówczas szkołę, młodzieniec wolał się kształcić pod kierunkiem pierwszego, ponieważ jego wymowa wydawała mu się piękniejszą i silniejsze wywołującą wrażenia.

Poduczywszy się cokolwiek, pozwał najpierw przed sąd swoich opiekunów i dobrze prowadzoną sprawą zdołał odebrać im część wydartej ojcowizny.

Zachęcony tem powodzeniem, odważył się mówić publicznie, ale go niemiłosiernie wygwizdano i wymiano.

Zawstydzony i zdręczony opuścił zgromadzenie, a gdy zawiąawszy się w togę, wracał do domu, spotkał Satyra, sławnego historyona, z którym żył w przyjaźni i który zaprosił go do siebie.

Tam uspokoiwszy cokolwiek swojego gościa i objaśniwszy otwarcie cały powód tak dotkliwego przyjęcia, prosił go, aby mu wydeklamował z pamięci jakiś urywek tragedyi Eurypidesa lub Sofoklesa.

Skoro Demostenes uczynił zadosć jego żądaniu, aktor powtórzył te same wiersze, ale powtórzył je takim tonem i stopniowaniem głosu, przytem wydatniejsze miejsca popierał tak stosownemi poruszeniami, że Demostenes pojął różnicę między swoją, a jego deklamacją.

Wtedy dopiero zrozumiał, ile do pięknej wymowy, umiejętnego cieniowania głosu przyczyniają się dobrze zastosowane poruszenia, jak niemniej wyraz twarzy, na której każde wrażenie duszy odbijać się powinno.

Odtąd też postanowił pracować zarówno nad wymową, jak nad wdzięcznym układem całej postaci.

Natura dawszy mu wielką wytrwałość, wcale go jednak nie usposobiła do zawodu, któremu się poświęcił.

Demostenes miał słaby i nierówny, chrapliwy głos, wymowę trudną i zająkliwą, oddech ciężki i krótki, zmuszający go przerywać zdania, co na słuchaczach nieprzyjemne czyniło wrażenie.

Przytem nie mógł wymawiać litery **R**.

Otóż chcąc zwalczyć te przeszkody, podjął trudną do uwierzenia pracę, chwytając się różnych sposobów.

Wady wymowy poprawił kładąc sobie w usta kamyki na czas mówienia.

Wzmocnił głos i oddech, odbywając dalekie wycieczki piesze, lub wchodząc na spadziste wzgórza, przyczem deklamował jednym tchem długie ustępy poezyi albo rozprawy uczonych mówców.

Nareszcie, chcąc nawyknąć do zgiełku licznych słuchaczy, udawał się na brzeg morza, gdzie długimi chwilami deklamował pełnym głosem do wzburzonych fal, wyobrażających najdokładniej szmer zgromadzonego ludu.

Co zaś do układu całej postaci, miał w domu wielkie lustro, przed którem powtarzał swoje wypracowania.

Miał wadę także częstego wznoszenia ramion w czasie mowy.

Aby takową usunąć, stawał na bardzo wąskiej trybunie, nad którą poprzednio zawiesił prostopadle halabardę.

Skoro więc w czasie deklamacyi mimowolnie wymknęło mu się owo niekorzystne poruszenie, ostrze halabardy kłując go w ramię, służyło mu razem za przestrożę i karę.

Takimi to sposobami zdołał nareszcie pozbyć się wrodzonych wad i przekonał jasno, że wytrwałość wszystko zwycięża. Niemniej zadziwiającą była jego pilność i wytrwanie w naukach.

Dla pozyskania ciszy i uniknięcia natrętów, kazał sobie zbudować podziemną izdebkę, gdzie codziennie zamykał się na kilka godzin, a nawet niekiedy spędzał nad pracą po kilka tygodni.

Jeżeli na dłużej chciał się usunąć od zgiełku, kazał sobie ogolić połowę głowy, aby wstyd pokonywał w nim chętkę wcześniejszego ukazania się między ludźmi i dopiero zamykał się na cały miesiąc w swoim podziemnym schronieniu.

Tam to przy świetle niedużej lampy wypracował owe godne uwielbienia rozprawy, o których zawistni mówili „że je czuć oliwą“ dając przez to do zrozumienia, iż są wypracowane ze zbytecznym mozolem.

Gdy pewnego razu kilku z współzawodników uczyniło mu powyższy zarzut, Demostenes odpowiedział:

„Łatwo dostrzedz, że wasze rozprawy nie kosztują was tyle pracy, ile mnie moje.“

Wkrótce też otrzymał najpiękniejszą nagrodę swoich trudów, bo doszedł do takiej doskonałości w krasomówstwie, że ile razy miał wystąpić publicznie, cała Grecya, jak utrzymuje Cycero, zbiegała się do Aten, aby go słuchać i podziwiać.

Do najpiękniejszych dzieł Demostenesa należy mowa przeciw Filipowi, królowi Macedonii, zwana Filippiką, którą nakłonił Ateńczyków, aby pragnącemu niby ich przyjaźni Filipowi wypowiedzieli wojnę.

Od r. 364 przed Chr. występował gwałtownie przeciw Filipowi Macedońskiemu, zebrał nawet wojsko, aby oswobodzić kraj cały Macedończyków i wystąpił na plac bitwy, lecz został pokonany.

Tu się przekonał, że jakkolwiek był wielkimi największym mówcą, to jednakże był nieudolnym bojownikiem, bo się nie kształcił w sztuce wojennej za młodu.

Mowy jego jednakże zostały uznane za najpiękniejsze wzory przez starożytnych uczonych, a nawet dzisiaj po 2 tysiącach lat podziwia je i uwielbia cały świat uczony.

---

## A L I - B E G.

---

Za panowania Abbasa Wielkiego, szacha perskiego, żył Ali-Beg.

Ojciec jego, Mustafa-Beg był biednym pasterzem.

Już bowiem od lat dziecinnych okazywał Ali-Beg nadzwyczajną ciekawość i nic nie uszło jego uwagi, co go otaczało.

Dla tego o najmniejszą rzecz, której nie rozumiał, pytał rodziców i starszych osób z taką natarczywością,

że ci byli nieraz w kłopotcie, bo mu nie umieli na wiele pytań odpowiedzieć.

Pewnego razu przechodził 8-letni Ali-Beg ze swoim ojcem około cmentarza, gdzie było dużo nagrobków z napisami, które chłopca bardzo zaciekały.

Prosił więc ojca, aby mu objaśnił te znaki, ale skłopotany ojciec wyznał ze wstydem, że czytać nie umie i nie wie, co jest napisane na tych pomnikach.

Ciekawość chłopca mógł o tyle przynajmniej zaspokoić, że pomniki stawiają tylko na grobach wielkich ludzi uczonych, cnotliwych i bogobojnych.

To jeszcze więcej podrażniło ciekawość chłopca i zaczął ojca wypytywać, jakim sposobem można by się nauczyć zrozumieć wszystkie te znaki na pomnikach.

Ojciec westchnął głęboko i rzekł po pewnym namyśle: „Takie znaki czytać mogą się nauczyć tylko ludzie bogaci.“

A dla czegoż ludzie biedni nie mogą się nauczyć czytać? zapytał chłopiec.

Bo ludzie biedni muszą pracować od najmłodszych lat na chleb, nie mają czasu się uczyć i nie mają czem płacić za naukę, odrzekł ojciec.

Czasem się wprawdzie zdarza, że także człowiek biedny nauczy się czytać, ale to bardzo rzadki wypadek.

Na te słowa zaiskrzyły się oczy chłopca radością, który zawołał:

O mój ojcie drogi! jakże byłbym szczęśliwym, gdybym ja się mógł nauczyć czytać; możebyś mi wskazał mój ojcie kogoś takiego, co umie czytać, ja bym poszedł do niego i prosiłbym go tak długo, aż by mnie nauczył?

Ojciec rzekł:

Tu niedaleko mieszka duchowny, nazwiskiem Murza, który umie czytać i pisać, ale czyby on ciebie chciał uczyć, o tem bardzo wątpię. Chłopiec uradowany klasnął w ręce i zawołał:

O teraz to już muszę się nauczyć czytać mój drogi ojczel!

Zaprowadź mnie do niego, albo mi pokaż przynajmniej gdzie mieszka, ja go prosić i błagać będę tak długo, aż mnie nauczy czytać.

Ojciec zasmucił się tem postanowieniem chłopca i odrzekł z niechęcią:

O moje dziecko drogie! napróżno się ty chyba łudzisz.

Duchowny nie zechce cię za darmo uczyć, a ja nie mam czem płacić za ciebie, a przytem ty musisz pasać owce i zarabiać na chleb powszedni.

Spróbuj mój drogi ojczel! a może nam się uda szczęście, chodzimy zaraz do tego uczonego człowieka.

Ojciec z niechęcią dał się namówić; poszedł więc do tego uczonego i prosił go, aby Ali-Bega uczył czytać.



Uczony, widząc biednego pasterza, zaraz go zapytał, czy ma czem płacić za naukę.

Gdy ojciec oznajmił, że jest biednym i niema czem płacić, tedy oznajmił mu uczony, że za darmo uczyć nie może.

Ali-Beg usłyszawszy taką wyrocznię, rzucił się ze łzami do stóp kapłana, błagał i zaklinał go na wszystko w świecie, aby go nauczył czytać.

Ale kapłan nie dał się ubłagać i stanowczo mu odmówił nauki.

Chłopiec jednak nie dał się odstraszyć i nie przestawał błagać na kolanach i przyrzekł mu zapłacić za naukę, później gdy urośnie i sam zarobi pieniędzy.

Kapłan, chcąc pozbyć się natręta, obiecał go uczyć czytać, ale dopiero za 2 lata, gdy będzie większym i mądrzejszym.

Chłopiec uradowany ucałował ze łzami ręce i nogi kapłana, a potem ojca, który sam nie wiedział, czy się ma cieszyć, czy się ma smucić z takiego obrotu rzeczy.

Nakoniec opuścili dom kapłana i szli do domu napowrót.

Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków od domu kapłana, gdy za nimi pędził w galop chłopiec 15-to letni, którego oni już widzieli w mieszkaniu kapłana.

Chłopiec ten, dobiegłszy do nich, pochwycił Ali-Bega za rękę i rzekł mu:

Nie smuć się, mój przyjacielu z tego, co ja ci powiem.

Stryj mój nie chce cię uczyć, bo już jest stary, ale ja cię nauczę czytać, bo ja już umiem czytać i pisać.

Ale stryj nie śmie o tem nic wiedzieć, bo gdyby się dowiedział, toby mnie napewno wypędził z domu.

Chłopiec ten był synowcem kapłana Murzy.

Widząc obojętność stryja na łzy malca, ulitował się nad nim i postanowił przyjść mu na pomoc.

Odprowadził Ali-Bega i ojca jego kawałek drogi, wskazał mu miejsce pod wysokim drzewem w lasku przy drodze i oznajmił, że tam będzie czekał na Ali-Bega codzień po obiedzie, gdy stryj się uda na spoczynek poobiedni i wrócił się do domu.

Któż opíše radość małego Ali-Bega po tak szczęśliwej zdobyczy?

Widzisz mój synku, ale ty bardzo dużo czasu będziesz marnował napróżno, a czytanie ci chleba nie da.

A nim się nauczysz czegoś, będziesz już starym jak ja.

Nie bój się ojczy, ja się prędko nauczę, a wten czas będę bogatym i tobie pomogę.

Wszak mi sam mówiłeś, że ludzie uczeni są bogaci. Ojciec odrzekł mu na to: Nie wszyscy uczeni są bogaci; jest wielu uczonych, którzy są żebrakami.

Ali-Beg sposepniał, ale po krótkim namyśle rzekł: To mnie nie bardzo smuci, że będę sam biednym, gdybym tylko mógł nauczyć się czytać, ale czem ja zapłacę za naukę i czem tobie dopomogę?

No już dobrze, rzekł ojciec, dajmy temu spokój i chodźmy do domu!

Następnego dnia stawił się Ali-Beg w oznaczoną godzinę na miejscu wskazanem przez nauczyciela, a także i nauczyciel nie dał długo na siebie czekać.

Nauczyciel przyniósł ze sobą książkę, na której rozpoczęli naukę.

Ali-Beg obdarzony od natury dosyć dobrą pamięcią i pojętnością, robił dosyć prędkie postępy w nauce czytania przez lato.

Ale nastąpiła chłodna jesień, a jeszcze chłodniejsza zima, trzeba było przerwać naukę, bo w lasku pod gołym niebem trudno było odbywać lekcye, a do domu wtedy młody nauczyciel nie mógł przyjmować ucznia, ani też chodzić do niego, bo zbyt daleko mieszkał.

Ali-Beg jednak i w zimie nie próżnował, bo umiając już jako tako czytać, chodził na cmentarz i tam odczytywał nieraz wśród mrozu i zawiei śnieżnej napisy na pomnikach.

Nieraz przeziębł do szpiku, ledwie żywy wracał do domu, ale go to nie odstraszało od dalszych studyów.

Tym sposobem był już w stanie odczytywać napisy na wszystkich pomnikach, co ojca jego bardzo ucieszyło, gdy mu syn mógł znaczenie napisów wytłómaczyć.

Z nastaniem cieplejszej wiosny rozpoczęli znowu lekcye, a nauczyciel się zdziwił niemało, że Ali-Beg już tak dobrze czyta. Niebawem rozpoczęli więc naukę pisania, w którym malec także prędko robił postępy.

Ale, niestety! szczęście Ali-Bega trwało krótko.

Kapłan Murza, dowiedziawszy się, że synowiec jego codziennie gdzieś robi wycieczki w godzinach popołudniowych, poszedł razu pewnego za nim w ślad i złapał go na gorącym uczynku.

Ukarał go więc surowo i zakazał mu zajmować się nauką biednego pasterza, a potem go wysłał na powrót do jego ojca, który mieszkał daleko.

Biedny Ali-Beg zmartwił się tem bardzo, ale nie przerywał nauki.

Chodził codziennie na cmentarz i uczył się pilnie czytać napisy na pomnikach, a pasąc owce uczył się pisać, kreśląc litery i wyrazy na drzewach lub na kamieniach węglem, albo rysował laską na piasku, lub na ziemi.

Wszystkie ściany w domu ojca swego i na domach sąsiadów zamazał Ali-Beg węglem, kredą, lub czem mógł.

Nie raz ojciec go łązał za to, ale to nic nie pomagało.

Ojciec Ali-Bega grywał na piszczalce dosyć ładnie, pasąc stado.

Ali-Beg nauczył się także grać na piszczalce ojca, a nawet go przewyższył w tej sztuce.

Pewnego razu pasł Ali-Beg sam owce na górze lesistej i przygrywał sobie na piszczalce, stojąc pod drzewem.

W chwili, gdy Ali-Beg z największym zapałem wygrywał swoje ulubione melodye, przybliżył się do niego jakiś obcy człowiek i zatrzymał się przy nim zachwycony melodią pasterską.

Był to król Abbas Wielki, który się zabłąkał na polowaniu i nie mógł znaleźć drogi.

Ali-Beg spostrzegłszy obcego mężczyznę przestał grać.

Abbas zapytał go: „dlaczego nie grasz“?

Ali-Beg odrzekł: „już się zmęczyłem graniem, muszę odpocząć“.

Abbas wdał się w pogawędkę z chłopcem o różnych rzeczach, w której tenże okazał tyle śmiałości i zdrowego rozsądku, że sobie zaraz zdobył serce szacha, który nie mógł się wydziwić, z kąd u takiego malca niewykształconego mogło się wziąć tyle rozumu.

Do tego Ali-Beg miał otwartą sympatyczną bardzo fizognomiję.

Podczas rozmowy spostrzegł szach to na drzewach, to na kamieniach i na ziemi różne napisy.

Przeczytawszy je, zapytał pastuszka kto to pisał.

Ali-Beg odrzekł dumnie: „to ja pisałem“.

„A któż ciebie nauczył pisać“?

Tu opowiedział mu Ali-Beg całą historję swej początkowej nauki i westchnął głęboko, skarżąc się, że nie może się dalej uczyć.

Abbas zapytał pastuszka, czy ma chęć tak wielką się uczyć dalej.

Ach! rzekł chłopiec, byłbym najszczęśliwszym, gdybym się mógł dalej uczyć.

Podczas gdy król tak rozmawiał z pastuszką, nadszedł wielki wezyr, który szukał swego władcy.

Szach zadawał dalej chłopcu różne trudne pytania, na które mu tenże nie został dłużny odpowiedzi.

Abbas zapytał tedy wezyra:

„Jak ci się podoba ten chłopiec“?

„To jest nieocenione dziecko,“ rzekł wezyr.

Szach powiedział teraz chłopcu, że jest królem, że go chce wziąć z sobą do stolicy, aby go kazać uczyć.

Chłopiec uradowany taką wiadomością rzucił się królowi do nóg i prosił, aby mu pozwolił wpierw zawiadomić ojca swego o tem szczęściu.

Wezyr przywołał świętę królewską i rozkazał dwom żołnierzom konnym udać się z Ali-Begiem do jego ojca i zawezwać go, aby się stawił przed szachem.

Gdy to nastąpiło, oznajmił szach ojcu, że syna bierze z sobą do stolicy i zajmie się jego wychowaniem.

Biedny pasterz stary płakał z radości i żalu zarazem, bo pragnął, aby syn został wielkim człowiekiem, ale mu żal było rozstać się z dzieckiem, może na zawsze.

Gdy Abbas powrócił do stolicy ze swoją świętą i z pastuszką Ali-Begiem, oddał go pod opiekę swoim uczynom.

Ali-Beg uczył się tak pilnie i starannie, że wszystkich kolegów daleko starszych, synów wielkich panów, zawstydził i został obdarzony pierwszymi nagrodami.

Po skończeniu nauki król wziął go do swego pałacu i tak go pokochał, jakby swego syna rodzonego.

Bo też Ali-Beg chociaż młody jeszcze, był już doradcą i powiernikiem swego monarchy, który go wkrótce posunął na wysoki stopień godności, t. j. na wielkiego skarbnika, czyli ministra skarbu.

Ali-Beg posiadał wielkie cnoty.

Obok wielkiego talentu i rozumu, był prawym, uczciwym człowiekiem, nieposzlakowanych obyczajów.

Obowiązki urzędu swego wykonywał pilnie i wiernie.

Był szczodrym i wspaniałomyślnym, a przytem wszystkiem bardzo skromnym, pomimo, że był największym ulubieńcem i prawą ręką szacha.

Nie wstydził się swego niskiego pochodzenia; przeciwnie, szczyił się tem, że pochodził z biednych rodziców, których od najmłodszych lat wspierał wedle możności.

Później zabrał ich nawet do stolicy.

Pewnego razu, w czasie uczty wielkiej, na której się znajdowało dużo panów i wysokich urzędników, zameldowano mu, że jakiś staruszek chce się z nim widzieć.

Był to sędziwy ojciec, którego Ali-Beg z cziłą synowską ucałował w rękę, wprowadził na salę jadalną, przedstawił swoim gościom i posadził na pierwszym miejscu.

„Moi panowie!“ rzekł Ali-Beg do gości, „użycie ojcu memu to pierwsze miejsce, na które sobie zasłużył, bo moje obecne stanowisko ja zawdzięczam tylko jego dobremu wychowaniu mnie w cnotach obywatelskich.

Ali-Beg odznaczał się szczególnie bezinteresownością; nie był cheiwy na majątki.

Poprzestawał zawsze na małym.

Jednakże, pomimo tych wszystkich wielkich cnót, znaleźli się źli ludzie, którzy starali się mu szkodzić,

oczerniali go w różny sposób przed szachem i zastawiali różne pułapki na niego.

Ale szach Abbas był księciem także wielkich cnót i wielkiego rozumu.

Wiedział on dobrze, że Ali-Beg był solą w oku niejednemu dworzaninowi, pochodzącemu z wysokiego rodu, lecz niskich przymiotów duszy.

Ali-Beg zaś był to czysty brylant, którego blasku nikt nie mógł niczem zaciemnić i pozostawał w najwyższym poważaniu tak długo, dopóki Abbas Wielki żył.

Po śmierci jego wstąpił na tron szach Sefi, który był zupełnem przeciwieństwem swego poprzednika.

Był on samolubem podejrzliwym, okrutnym, gwałtownym, skąpym, chciwym, niewyrozumiałym i niesprawiedliwym.

Takiego to władcy pragnęli oddawna wrogowie Ali-Bega, aby go mogli poniżyć, lub nawet zgubić.

Co dzień zanosili różne fałszywe skargi przeciw wielkiemu skarbnikowi, na które jednak Sefi długo nie zwracał uwagi, bo wiedział, że to wszystko pochodziło z zazdrości i nienawiści.

Nakoniec oskarżono Ali-Bega o przywłaszczenie sobie kosztownej szabli, którą szach Abbas od tureckiego sułtana otrzymał w podarunku.

Szabli tej nie można było nigdzie znaleźć, pomimo, że była wpisana w rejestrze skarbów szacha Abbasa.

W szachu Sefi ozwało się nakoniec podejrzenie przeciw wielkiemu skarbnikowi.

Tego właśnie pragnęli jego wrogowie i oczerniali go jako największego oszusta.

Wmówili też zaraz w szacha, że Ali-Beg na koszt skarbu państwa pobudował najkosztowniejsze pałace i gmachy dla siebie.

Do stolicy przybył jako nagi pastuszek, a teraz posiada największe skarby w państwie.

I skądże to on bierze te skarby?

Oto okrada króla i całe państwo.

Gdy wrogowie tak oczerniali wielkiego skarbnika, wszedł tenże właśnie do króla, który spojrzął na niego gniewnie i rzekł:

„Ali-Beg! twoja niewierność się wyjawiała; straciłeś więc swój urząd i rozkazuję ci złożyć rachunek w przeciągu 14-tu dni“.

Ali-Beg się wcale nie ustraszył, bo miał czyste sumienie.

To zdziwiło i gniewało nawet szacha, że winowajca wcale się jakoś nie lęka groźby.

Ali-Beg wiedząc, jakby źle mógł na tem wyjść, gdyby pozostawił 14 dni czasu wrogom do pastwienia się nad sobą, dlatego postanowił zaraz dowieść swej niewinności i ukarać swoich oszczerców, zatem rzekł bez namysłu:

„Najjaśniejszy panie! życie moje jest obecnie w ręku twem.

Jam gotów jeszcze dzisiaj lub jutro złożyć klucze od królewskich skarbów i insygniów u twoich stóp, jeżeli mnie raczysz zaszczycić swą godnością.“

Król się zdziwił nie mało taką gotowością skarbnika i był bardzo zaciekawiony dowiedzieć się o prawdzie, więc przyrzekł zwiedzić skarbnicę następnego dnia.

Po obejrzeniu skarbnicy znalazł szach wszystko w największym porządku.

Co do brakującej szabli, przekonał skarbnik szacha dowodami, że poprzednik jego, szach Abbas Wielki, sam wziął szablę ze skarbnicy i brylantami z niej wyjętymi kazał ozdobić inny klejnot, nie zanotowawszy tego w spisie.

Szach już nie mógł mu nic zarzucić, jednakże poderżliwość nie opuściła go jeszcze zupełnie, a przytem nie chciał być sam zawstydzonym.

Szach udał pozorowo, że chce zaszczyścić swoją wizytą skarbnika w jego własnym domu, w gruncie rzeczy zaś spodziewał się tam znaleźć owe skarby ogromne, o których mu tyle prawili złośliwi dworzanie.

Jakież było rozczarowanie szacha, gdy w mieszkaniu skarbnika znalazł ściany obite najskromniejszych tapetami i jaknajskromniejsze umeblowanie?

Sam musiał bowiem wyznać ze wstydem, że pierwszy lepszy obywatel miasta mieszka wykwintniej, niż wielki skarbnik całego królestwa.

Zawstydził się po raz drugi za swoją podejrzliwość i chciał się oddalić, gdy w tem jeden z dworzan złośliwych pokazał duże drzwi na końcu korytarza.

Te drzwi były żelazem okute i silnymi ryglami zamknięte.

Sefi poszedł ku tem drzwiom i zapytał skarbnika:

„Cóż tu przechowujesz pod tak silnymi ryglami?“

Ali-Beg zdawał się być zmieszonym i przestraszonym; jego oblicze zarumieniło się mocno.

To zakłopotanie skarbnika ucieszyło mocno złośliwych dworzan, lecz radość ich była krótkotrwałą.

Ali-Beg ochłonawszy z pierwszego wrażenia rzekł spokojnie:

„Najjaśniejszy panie, królu mój!

W tym gmachu przechowuję to, co dla mnie jest najdroższem i najmilsem na tym świecie, moje największe skarby, moją własność prawdziwą.

Wszystko, coś dotąd widział, należy do króla mego pana, ale zaś to, co się znajduje w tym pokoju, jest moją własnością prawą.

Ale jest w tem wielka tajemnica, nie żądam jej odkrycia.“

To bojaźliwe zachowanie się skarbnika utwierdzało szacha w przekonaniu, że tu jest jakiś nieczysty interes.

Rozkazał więc z gwałtownością drzwi otworzyć.

Lecz jakież było jego zdziwienie i nawet przestach, gdy wszedł do środka izby.

Stanął jak wryty, wodził błędnie prawie oczyma i nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje.

Bo i cóż tam zobaczył? cztery gołe, brudne i to bardzo ciemne ściany, na środku lichy stół drewniany.

Na stole leżał flet, pasterska torba, liche ubranie i laska, to były wszystkie skarby, które zamykały żelazne drzwi i silne rygle.

Wszyscy obecni oniemieli z osłupienia i przestachu, spoglądali to na szacha, to na skarby pasterskie, które zamykały żelazne drzwi i silne rygle.

I nikt nie śmiał ani słówkiem się odezwać więcej.

Szach czuł się również zawstydzonym w największym stopniu po raz trzeci i nie mógł się ani ruszyć, ani zdobyć na słowo.

Takie grobowe milczenie przerwał Ali-Beg temi słowy:

„Potężny królu i władco mój!

W młodości mojej pasażem owce i przygrywałem sobie na flecie, byłem więc bardzo szczęśliwym.

Gdy mnie Abbas Wielki tam w górach spotkał i z sobą zabrał do stolicy, były te oto drobnostki mojem bogactwem.

Od owego czasu przechowuję takowe, jako moje jedyną posiadłość, pomnik mego dzieciennego szczęścia.

Wspaniałomyślny Abbas był dla mnie tak łaskaw, że mi pozwolił zatrzymać takowe.

Spodziewam się, że także i ty, królu potężny nie zechcesz mi takowych zabrać, lecz mi je zostawisz nadal w mem posiadaniu i pozwolisz mi powrócić w owe spokojne góry, gdzie byłem w stanie pasterskim daleko szczęśliwszym, niż w dostatkach twego dworu.“

Szach Sefi i wszyscy obecni, chociaż wrogami będąc, zostali poruszeni do łez takim wyznaniem skarbnika.

Szach zdjął swój płaszcz i włożył go na Ali-Bega, jako dowód największego zaszczytu, kazał go dworzanom złośliwym prosić o przebaczenie za krzywdę mu wyrządzoną i zachęcał go do pozostania nadal skarbnikiem.

Oszczerców zaś surowo ukarał i zapowiedział, że, kto się poważy zanosić skargi na Ali-Bega, ten jest największym zbrodniarzem i zdrajcą.

Ali-Beg pozostał jeszcze na stanowisku skarbnika aż do swej śmierci i nie pozostawił po sobie ani tyle majątku, aby wystarczył na pogrzeb.

Szach kazał go pochować wspaniale na swój koszt, a na pogrzeb jego zgromadzili się wszyscy mieszkańcy stolicy i z całego państwa wielcy i mali, starzy i młodzi, a wszyscy szczerze opłakiwali zgon tak szlachetnego i cnotliwego człowieka, jakim był Ali-Beg.

Długo, bardzo długo wspominał naród z czcią i uwielbieniem tego wielkiego nieocenionego męża, a jeszcze do dziś dnia w stolicy Persyi powtarzają sobie mieszkańcy:

„Szlachetny, cnotliwy, bezinteresowny Ali-Beg.“

Na grobie jego wzniesiono ogromny pomnik kosztem państwa.

Ludzie, żyjący w naszych czasach pozytywizmu, nazwą zapewne Ali-Bega głupcem, że mając skarby królewskie i całego państwa w swem ręku, nie pozostawił majątku i żył zawsze bardzo skromnie, a nawet ubogo.

Dziś tylko zdobywcy kapitałów drogami rozmaitemi nieuczciwymi są w modzie i cenieni, np. Panamczyki we Francyi, i t. p. rycerze nowocześni.

Tylko czy o nich późniejsze pokolenia będą wspominać z takim poszanowaniem, jak o Ali-Begu, to rzecz aż zbyt wątpliwa.

Boć i w dawniejszych czasach byli także źli ludzie, ale się chronili przed oczyma ludzi uczciwych

i nie mogli zasłaniać swych zbrodni pozorem uczciwości tak, jak się dziś dzieje.

Złoczyńcę wcześniej czy później wykryto, ukarano surowo i wykreślono z pamięci raz na zawsze.

---

## S O K R A T E S.

---

Jak człowiek mało potrzebuje do szczęścia swego i jak powinien starać się służyć wiernie Bogu, Stwórcy swemu i spełniać świętą wolę Jego przez dobre uczynki, posłuży nam za wzór wielki i nieśmiertelny filozof grecki **Sokrates**.

Jest on najpiękniejszym wzorem wszelkich cnót, a szczególnie wzorem sprawiedliwości i miłości bliźniego, który dla utwierdzenia uczniów swoich i wszystkich ludzi w spełnieniu sprawiedliwości, wołał raczej ponieść karę śmierci niesprawiedliwie mu wymierzoną, niż się sprzeciwiać prawu.

Sokrates, syn rzeźbiarza Sofroniskosa, urodził się w Atenach 470 r. przed Nar. Chr.. Początkowo oddał się zawodowi swojego ojca i wykonał kilka pięknych posągów, ale Kriton, bogaty Ateńczyk, poznawszy go przypadkiem w pracowni, ujęty bystrością i szlachetnością jego umysłu, zabrał młodzieńca do siebie i kazał go uczyć filozofii.

Sokrates, równie jak inni Ateńczykowie, umiał władać bronią i w kilku bitwach odznaczył się niepospolitą odwagą.

W jednej naprzykład potyczce ocalił od śmierci Ksenofonta, innym razem wydarł z mocy nieprzyjaciół Alcybiadesa.

Ku schyłkowi swojego życia, zasiadając w senacie, którego był członkiem, dawał piękne dowody zamiłowania sprawiedliwości, której największe niebezpieczeństwa osłabić w nim nie zdołały.

Filozofia jego zasadzała się nietylko na mądrości wyszukanych słów; zalecał on przedewszystkiem umiarkowanie, a był sam najumiarkowańszym, więc nie tylko słowem, ale i przykładem zachęcał do dobrego.

Aby łatwiej znaleźć zadowolenie w każdym losie, przyzwyczał się do życia twardego, skromnego i pracowitego.

To też widząc wspaniałe, zbytckowne przygotowania do niektórych obrzędów, widząc rozrzutność możliwych, cieszył się, że umiał poprzestawać na małym i mówił: „Ileż tu srebra, złota, ile zbytcków, bez których ja, na szczęście, umiem się obejść“?

Mimo ubóstwa lubił porządek i czystość tak w domu jak i około własnej osoby.

Pewnego razu, widząc Antystenesa, który przez przesadę wdział na siebie ubiór brudny i podarty i rzekł:

„Antystenesie! próżność wygląda dziurami twego płaszczka!“

Ubóstwo nie było dlań uciążliwe, to też, gdy Archelaus, król Macedoński, ofiarował mu miejsce przy swoim dworze, Sokrates nie przyjął go, mówiąc:

„Nie przyjmuję dlatego, że nie chcę, aby mi ktośkolwiek mógł ofiarować więcej, aniżeli byłbym mu w stanie oddać.“

Jeżeli mu ktoś dokuczał, okazywał się również umiarkowanym.

Raz jakiś półgłówek osmielił się potrącić go, a gdy przyjaciele Sokratesa wyrzucali mu, że zniósł obrazę w milczeniu, filozof odpowiedział:

„Zastanówcież się moi kochani! Gdyby mnie osioł kopnął, czyżbym go za to miał przed sąd zapozwać?“

Innym znów razem, o człowieku, który mu ubliżył nieprzyzwoitemi słowy, rzekł:

„Widać, że ten jegomość nie nauczył się dobrze mówić“.

Zniecierpliwiony zuchwalstwem niewolnika zawołał:

„Gdybym się nie gniewał, uderzyłbym cię“.

To najlepszym jest rysem umiarkowania Sokratesa; człowiek uniesiony gniewem łatwo się zapomina, i często ukarze winowajcę srożej, niż by należało, a potem zapóźno żałuje swej popędliwości.

Ksantypa, żona Sokratesa, jakkolwiek szczerze do niego przywiązana, była nadzwyczaj gadatliwą i opryskliwą, ale filozof tak nawykł do jej gderania, że je znosił prawie bez przykrości.

Chociaż prowadził życie nadzwyczaj wstrzemięźliwe, lubił się czasem rozferwać, lubił uciechy nieprzekraczające granic rozsądku i przyzwoitości.

Niekiedy zapraszał na skromną biesiadkę swoich dobrych przyjaciół, z którymi wesoło się bawił.

Powiadają, że dnia jednego, mając u siebie na wieczerzy kilku zamożniejszych, dostrzegł jak się Ksantypa frasowała i wstydziła, że ich tak ubogo przyjmuje.

„Bądźże spokojną“, powiedział; „jeżeli to są ludzie rozumni i dobrzy, będą zadowoleni z tego, co im podamy, jeżeli są głupi i zli, nie dbam, choćby mnie obmówili.“

Umysł jego zarówno był satyryczny, jak dowcipny.

O bogaczu, który wydał wiele na zbudowanie pięknego domu, a nic nie wydał na naukę, powiedział:

„Niech się ludzie zbiegają, aby podziwiać ten piękny pałac, ale niechaj nikt nie śpieszy poznać jego właściciela.“

Sokrates przyznawał otwarcie, że w młodych latach miał skłonność do rozpusty.

Jakiś fizyognomista, przyjrawszy się jego twarzy, powiedział:

„Mój kochany! musisz być pijakiem, brutalem i rozpustnikiem.“

Uczniowie chcieli się pomścić za tę zniewagę, ale filozof powstrzymał ich, mówiąc:

„Ten jegomość powiedział prawdę, nie czynicie mu nic złego; gdybym się nie był poprawił, miałbym w istocie te wszystkie błędy.“

Filozofija Sokratesa była najczystsza moralnością; badanie tajemnic natury zostawił drugim, sam zaś uważał za rzecz najważniejszą poznać samego siebie i umieć dobrze sobą kierować.

Szukał w sercu ludzkim pierwiastku prowadzącego do szczęścia i nabył przekonania, że człowiek nie może być szczęśliwym, jak tylko przez sprawiedliwość, dobroczynność i czystość obyczajów.

Przemawiał z taką jasnością i prostotą, że go uczniowie zawsze zrozumieć mogli i że każdy z nich znajdował w samym sobie odpowiedź na jego zapytanie.

Zanadto był oświeconym, aby przyjmować za prawdę dziecinne baśnie, które tworzyły całą prawie religiję jego kraju, a za wielkim był przyjacielem prawdy, aby ukrywać swój sposób myślenia, cechujący rzeczywistego mędrca.

Przypuszczał bytność Istoty najwyższej, posiadającej przymioty godne prawdziwego Bóstwa.

Ten to sposób myślenia posłużył później za pozór do skazania go na śmierć.

W sprawach państwa był również otwartym, a nie umiając taić swoich przekonań politycznych, zyskał nowych nieprzyjaciół.

Wszakże najbardziej nienawidzili go sofisci, rodzaj szarlatanów filozofii i krasomówstwa, wielce naówczas uwielbianych.

Z prawdziwym zadowoleniem lubił zbijać ich błędy, poniżać pychę i okazywać w całej nagości ich nieświadomości, do czego używał tylko właściwej ironii.

Jeden z uczonych tak skreślał przyczynę, dla której Sokrates musiał używać owej ironii, tyle sławionej w nim przez starożytnych:

Filozof ten, postanowiwszy założyć trwałą fundament moralności, rozpoczął od pokonywania sofistów.

Ci zarozumieli zuchwalcy świetnym układem frazesów i pełną fałszu, ale na pozór ujmującą wymową, odurzili całą Grecję.

Ponieważ nabyli w Atenach wielkiego poważania, Sokrates musiał ich pozornie oszczędzać, a nawet udawać nieświadomość, dla łatwiejszego przekonania o rzeczywistej wartości ich olśniewającej wymowy i niby moralności.

Poczynał on sobie mniej więcej w taki sposób:

Wywiadywał się, w jakim miejscu publicznem lub domu prywatnym, jeden, a czasem więcej z najsławniejszych sofistów, wykładali swoją fałszywą naukę.

Wchodził tam niby przypadkowo, co nieraz mu było dość trudno i zastawał niby mędrca nadętego ową pychą, jaką zwykle nadaje ludziom próżnym uwielbienie głupców, a zbliżywszy się ku niemu przemawiał nieśmiało:

„Poważyłem się tu wejść chciwy nauki i poczytam się za najszczęśliwszego, jeżeli moje nieudolne pojęcia będą mogły korzystać ze światła tak znakomitych, jak wy mistrzów.

Lecz będąc biednym, nie mam innego sposobu, jak tylko wyznać przed wami moją nieświadomość, moje powątpiewania i kiedy mi się nadarza łatwa sposobność, zasięgnąć waszych rad mądrych“.

Sofista słuchał go pogardliwie, pozwalając mówić.

Wtedy Sokrates rzucał najprostsze zapytania; na przykład pyta go:

„Czem jest wasz zawód? Co nazywacie krasomówstwem? Co to jest piękno? — Na czem polega cnota?“ i t. p.

Sofista, nie chcąc narażać swojej opinii, rad nie rad musiał odpowiadać; ale zamiast odpowiedzi pewnych, jasnych, coraz bardziej się wikłał i mówiąc wiele, wpadał w coraz większe nedorzecznosci.

Sokrates z początku, nie chcąc rozniewać swego uczonego, przyklaskiwał łatwości wysłowienia tego i tylko odpowiadał „tak“ lub „nie“.

Potem dopiero, trafnością rozumowania, doprowadził go do tego, że pan mędrzec tak się w swoich zdaniach poplątał, iż w końcu przeczył temu, co przed chwilą potwierdzał, lub obstawał za tem, czemu dopiero co najusilniej zaprzeczał.

Błędy i przesady, które Sokrates chciał przekonać i zniweczyć, sprowadziły mu tyle nieprzyjaciół, że nareszcie zdołali go zgubić.

Anitus, człowiek zamożny i popularny, podobno garbarz z powołania, Melitus, nędzny poeta tragiczny i Lykon, lichy mówca, połączyli zawzięte przeciw niemu usiłowania oskarżając, że psuje młodzież i wprowadza nowe bóstwa.

Lizyasz, uchodzący w owym czasie za najbiegłego mówcę, przyniósł Sokratesowi rozrzewniającą patetyczną obronę, wypracowaną przez siebie, prosząc, aby się jej nauczył na pamięć i jeżeli uzna za stosowne, aby ją powtórzył wobec sędziów.

Sokrates odczytał ją z przyjemnością, oddał Lizyaszowi zasłużoną pochwałę, jednak obrony nie przyjął, mówiąc:

„Mój przyjacielu, gdybyś mi przyniósł parę sycyońskich trzewików (najmodniejszych wtedy), nie

użyłbym ich, bo nie przystoją dla filozofa, tak też i twoja obrona, jakkolwiek wymowna i podług wszelkich prawideł retoryki napisana, wydaje mi się wcale nieprzystającą do wielkości duszy i stałości prawdziwego mędrca.

Sokrates bronił się z prostotą, ale szlachetnie, bez poniżenia; w jego słowach jaśniał blask niewinności.

Z początku większość głosów oświadczyła się za nim, a oskarżyciel Melitus miał być podług zwyczaju skazanym na zapłacenie tysiąca drachm kary; ale wziętość Anitusa i Lykona przeciągnęła na swoją stronę mnóstwo zdań, przez co okazało się później dwieście osiemdziesiąt jeden głosów przeciw Sokratesowi, a za nim tylko dwieście dwadzieścia.

Pierwszy wyrok uznał filozofa winnym, ale nie wyrzekł rodzaju kary, zostawiając wybór jemu samemu.

Sokrates odpowiedział, że za swoje zasługi chyba, może się skazać na utrzymanie dośmiertne kosztem rzeczypospolitej w Prytaneum (domu starców), co było największym u greków zaszczytem.

Ta odpowiedź tak dalece oburzyła sędziów, że postanowiono jego zgubę pomimo niewinności.

Skazano go na wypicie trucizny (cykuty).

Po odczytaniu wyroku udał się z godną podziwu spokojnością do więzienia.

Apollodor, jeden z jego uczniów, zbliżywszy się rzekł:

„Ileż to boleści, widzieć się umierającym niewinnie!“

„Wolałbyś, abym umierał winnym?“ odpowiedział mędrzec.

Przyjaciele chcieli mu ułatwić ucieczkę i przekupili dozorcę więzienia, ale Sokrates nie chciał korzystać z ich ofiary.

Wypił truciznę z taką samą obojętnością, z jaką spotykał mnóstwo przeciwności życia. Było to w r. 400 przed naszą erą. Miał wówczas lat siedemdziesiąt.

Uczniowie nie odstępowali go do ostatniej chwili; nieśmiertelność duszy była przedmiotem ostatniej jego z nim rozmowy.

— „Moi przyjaciele!“ — mówił Sokrates, — „kiedy życie znika, najwłaściwiej rozmyślać jest o nieśmiertelności duszy, którą trzeba sposobić nie tylko na czas przelotny, nazwany życiem, ale i na istnienie daleko trwalsze, to jest na wieczność.“

Człowiek, który, mając już śmierć w swem łonie, tak rozmawiał, był więcej niż pospolitym.

Był to mędrzec, któremu sumienie zapewniało nagrodę należną jego cnotom.

Skoro umarł, dopiero dostrzeżono, że wielka zbrodnia została popełnioną; dopiero Ateńczykowie, dość

nikczemni, aby dopuścić skazania go, zażądali odpowiedzialności od oskarżyciela za krew niewinnie przelaną.

Militus został skazany na śmierć, a dwóch innych wygnano.

Wtedy to, uwielbienie Ateńczyków posunęło się tak daleko, że sam Sokrates, który był przedmiotem tego zapału, byłby go niezawodnie zganił.

Wystawili mu posąg brązowy i świątynię dla pół-boga.

Wyrocznia delficka ogłosiła go najmędrszym z ludzi, na co Sokrates rzeczywiście zasłużył.

Sama śmierć tego filozofa była dostateczną, aby unieśmiertelnić imię jego.

Twarz jego nie była piękną i Sokrates przyznawał sam, że pierwsze skłonności do złego przyczyniły się do oszpecenia jego rysów, ale później, kiedy mówił o cnocie, o przeznaczeniu człowieka lub o wielkości Boga, wzniosłość myśli, szlachetny zapał, nadały jego twarzy wyraz tak ujmujący, jak gdyby natura obdarzyła go najpiękniejszą urodą.

Często mawiał do swoich uczniów:

„Który z was, patrząc w zwierciadło, dostrzeże, że jest pięknym, niechaj pamięta, aby brzydotą obyczajów nie oszpecił swej piękności; który zaś ujrzy się brzydkim, niechaj pracuje nad tem, aby blaskiem cnót swoich zatrzeć brzydotę urody.“

## D Y O G I E N E S.

Wiek 19-ty, to wiek błyskawicznego postępu.

Ludzkość sadzi się i mózg sobie suszy nad wszelkimi nowymi odkryciami i wynalazkami, nad ich ulepszeniami, i udoskonaleniami.

Nowość za nowością sypie się jak z rogu obfitości; ludzie wielcy wyrastają nagle jak grzyby z ziemi po deszczu, a sława ich rośnie lotem błyskawicy.

Lecz niestety, grzyby nagle wyrastają u podnóża odwiecznych drzew, żywią się sokami ich korzeni i liści, rosną prędko, prawie w oka mgnieniu, lecz jeszcze prędeziej się przeżywają, robacznieją i nikną, nie pozostawiając nawet śladu po sobie.

Drzewa zaś pozostają, rosną, wznoszą powoli i nieśmiało głowy swe ku niebu, ku Stwórcy swemu i składają Mu dziękczynnie rok rocznie w ofierze zielone listowie, wonne kwiaty i wreszcie owoce, z których znowu wyrastają nowe roślinki, nowe drzewa, nieraz olbrzymie i cicho szepczą chwałę Stwórcy swemu, którą unosi w niebiosa silny powiew zefiru.

Drzewa można porównywać z dawną generacją ludzi, wychowanych według odwiecznych praw przyrody, postępujących powoli w cywilizacyi i kroczących

powoli do celu wytkniętego im przez Stwórcę, t. j. do zbawienia.

Grzyby zaś i ciasto na drożdżach można porównać z nową generacją, rosnącą bujnie, szybko, lecz także jeszcze prędzej się zużywającą, marniejącą i spieszącą do zatracenia rodu człowieczego.

Bo do czegoż służą i prowadzą wszystkie nowe odkrycia, nowe wynalazki i udoskonalenia, jeżeli nie do rozpieszczenia, zniewieściałości, zniedołężnienia i zanikania ludzi?

Czyż nowoczesna cywilizacya zapowiada się koźystnie dla przyszłości rodu ludzkiego?

Bynajmniej nie.

Bo najprzód trzeba pamiętać, że wszystkie wynalazki i odkrycia, którymi się tak pyszimy, nie jest niczem innym, jak tylko przeżuwaniem dawnych zasobów, nagromadzonych przez wieki ubiegłe.

Z wysiłków umysłu ludzkiego i nagromadzonych zasobów wiedzy, odnoszą obecne pokolenia korzyści materialne i opływają w dostatkach.

O dobrobyt materialny ubiega się też obecnie każdy przeciętny śmiertelnik i jedynem marzeniem jest dziś każdego, zbogacić się i używać rozkoszy ziemskich.

Nikt się jednakże nie zastanawia nad tem, że majątki i bogactwa nie stanowią jeszcze szczęścia ludzkiego.

Przeciwnie, wiele ludzi przez bogactwo i dostatki stało się najniezszczęśliwsiymi, bo w zbytkach marnują swoje zdrowie, skarb swój najdroższy i skracają sobie życie, a najczęściej z braku dostatków, stają się zbrodnia-rzami dla pozyskania marnej mamony.

Każdy sili się dziś naśladować rozrzutność i rozpusztę, a nikt nie myśli o jutrze, o dalszej przyszłości, o przyszłości wiecznej, o prawdziwym szczęściu.

A jednak, jakże mało potrzeba do prawdziwego szczęścia!

Trzeba tylko umieć być z siebie zadowolonym.

A chcąc być zadowolonym, trzeba umieć poprzestawać na małym.

Ale niestety, takich rozumnych ludzi w przeszłości było wprawdzie niewiele, a dziś zaś wcale ich prawie niema.

A jednak, gdyby ludzie umieli być tak rozumnymi, t. j. poprzestawać na małym, byłiby prawdziwie szczęśliwymi.

Do rzędu takich mądrych i szczęśliwych ludzi należeli niezaprzeczenie filozofowie starożytnego świata, a szczególnie Grecyi.

Najwybitniejsze miejsce między filozofami greckimi zajmuje bez zaprzeczenia, według mnie szczególnie jeden, który, pochodząc z bogatej rodziny, mógł sam być bogatym i opływać w dostatkach i zbytkach; on zaś



Aleksander Wielki odwiedza Dyogenesa.

obrał sobie dobrowolnie ubóstwo i był najszcześniejszym przez całe życie.

Jego krewni i przyjaciele nazywali go dziwakiem, szaleńcem, on zaś był zawsze zadowolonym, zawsze szczęśliwym, aż do śmierci.

Imię jego jest Dyogienes.

**Dyogienes** był cynikiem, to jest człowiekiem, prowadzącym życie surowe i pogardzającym dostatkami.

Cynikiem, nazywa się zwykle człowiek, który sobie lekceważy wszelkie formy towarzyskie, a postępuje tylko podług własnej woli i upodobania, nie troszcząc się o to, czy się komu jego postęпки podobają, lub nie.

Dyogienes urodził się w **Synopie**, mieście **Panflagońskim** 3-go roku 91-ej Olimpiady, t. j. w roku 412 przed narodzeniem Chrystusa, a zmarł w 17 roku 114-ej Olimpiady, t. j. w 323 roku przed Chrystusem, w 90-ym roku swego życia.

Jego ojciec **Izecyusz** był bogatym bankierem, którego oskarżono o fałszerstwo monety.

Równocześnie z ojcem, oskarżono także Dyogienesa o współudział w podrabianiu monety.

Izecyusza, ojca Dyogienesowego, uwięziono i w więzieniu skończył marny żywot; Dyogienes zaś uszedł szczęśliwie przed ręką sprawiedliwości, schronił się do Aten i tam przeżywał czas dłuższy.

Słyszając o wielkiej mądrości Antystenesa, filozofa i słynnego cynika, udał się do niego z prośbą o przyjęcie go w poczet uczniów swoich.

Ale Dyogenes wybrał się w porę niestosowną.

Albowiem Antystenes, zniecierpliwiony lenistwem uczniów swoich, postanowił ich wszystkich odprawić, wysłać do rodziców z powrotem i żadnego nowego ucznia nie przyjmować.

Ale Dyogenes nalegał na niego usilnie z prośbą swą i przyrzekł uroczyście gorliwą pilność w nauce.

Jednakże Antystenes był nieubłagany i nie chciał nawet słyszeć o nowym uczniu.

Przeto groził Dyogenesowi kijem i nawet go potężnie obił.

Dyogenes okazał się również stałym i wytrwałym, nie dał się więc niczem odstraszyć, mówiąc do Antystenesa: „Naprawdę się silisz, aby mnie odpędzić od siebie.

Bij, ile tylko ci się spodoba, możesz mnie nawet zabić, lecz nie znajdziesz tak twardego kija, abyś mnie odpędzić zdołał od siebie.“

Antystenes, widząc taką stałość i żelazną wolę Dyogenesa, dał się nakoniec ubłagać i przyjął go za ucznia swego.

Dyogenes starał się wszelkiemi siłami zadowolnić mistrza swego, a ten znów za usilną i gorliwą pilność w nauce i za posłuszeństwo pokochał Dyogenesa z całej

duszy, jak rodzzonego syna swego i poświęcił się zupełnie jego wykształceniu.

Dyogenes został następnie wypędzony z kraju, musiał się tułać na obczyźnie i zaczął się kłopotać o swój los, bo nie miał nikąd pomocy.

Musiał przeto pędzić bardzo smutne i nędzne życie.

W tak przykrem położeniu spostrzegł raz myszkę, która sobie swobodnie igrała bez troski o pożywienie.

Dyogenes zastanowił się nieco nad sobą i zaczął tak rozmawiać:

„Czyż takie maleństwo, jak ta myszka, ma mnie zawstydząć?

Myszka jest przecież sto razy młodszą i mniejszą ode mnie, jest również słabszą niż ja, przytem nie odbierała od nikogo nauk i mądrych wskazówek, a ma być mądrzejszą niż ja, uczeń sławnego mędrca?

Czyż takie mizerne stworzenie ma mnie uczyć, jak sobie mam radzić?“

Więc też za przykładem myszki, postanowił ograniczać swoje potrzeby życia i wieść spokojnie dalsze dnie swego istnienia.

Podszył płaszcz swój, który mu służył za okrycie i posłanie; za jedyną zbroję służył mu kij, który tylko wtenczas z sobą nosił, gdy szedł w pole.

Jedynym sprzętem i przyborem jego były torba i czarka, które zawsze nosił z sobą.

Chodził boso, bez sandałów, nawet w czasie silnej zimy.

Chciał się przyzwyczać jadać surowe mięso, lecz to mu się nie udało, bo mu szkodziło, więc wołał się zupełnie odzwycząić od jedzenia mięsa.

Prosił raz swego znajomego o pozwolenie mu zamieszkania w małym kąciku domu, ale ten zwlekał, wymawiając się, że ma pewne przeszkody i kazał mu cierpliwie czekać.

Dyogenes kupił sobie beczkę, którą zawsze przed sobą toczył.

Ta beczka była dla niego wszystkiem: twierdzą, pałacem i łóżkiem; w niej się chronił przed napadem psów, przed upałem i przed zimnem.

Latem, tarzał się w piasku, w czasie największego upału, aby się przyzwyczać do gorąca, a zimną obejmował obmarzłe kamienie i posągi, aby się znieczulić na zimno.

Pogardzał całym światem, a filozofa Platona i uczniów jego uważał za marnotrawców i żarłoków.

Mówców nazywał służalcami i okpiewaczami ludu, widowiska uważał za cuda szaleńców.

Jego satyryczny język chłostał wszystko, bez względu na osoby i miejsce.

Jadał, mówił, sypiał, gdzie mu się zdarzyło.

Czasem, wskazując na przysionek Jowisza, wołał:

„Jakież piękne miejsce zbudowali mi Ateńczycy do obiadów moich.“

Mawiał często: kiedy patrzę na tych nauczycieli, lekarzy i filozofów, których jest tyle na świecie, mam ochotę sądzić, że człowiek mądrością swą bardzo się wzniosł pona zwierzęta; ale, gdy spostrzegam wieszczów, tłumaczy snów, ludzi nadętych bogactwami i zaszczytami, przekonywam się, że człowiek jest właśnie najgłupszem stworzeniem ze wszystkich zwierząt.

Przechadzając się pewnego razu spostrzegł dziecko, pijące wodę dłonią.

Tedy wykrzyknął: „co! czyż dziecko ma mnie zawstydzić i lepiej wiedzieć odemnie, bez czego się obejść można?“

Przytem wyjął z torby czarkę, którą nosił przy sobie i wodę nią pijał, rzucił ją na ziemię, jako sprzęt niepotrzebny i odtąd pijał wodę z dłoni.

Chwalił zarówno tych, którzy mieli zamiar ożenić się, ale się nie ożenili, jak również i tych, którzy mając zamiar puścić się na morze, zostali na lądzie.

Ludzi powołanych do wysokich urzędów, a gardzących nimi, uważał za bardzo rozsądnych i porównywał ich z tymi, którzy wezwani na królewską ucztę, pozostali w domu i zadowolnili się swoim skromnym obiadem.

Trudnił się jedynie moralnością, przyczem zaniedbywał inne nauki.

Miał dowcip bystry i przewidywał łatwo, co mu kto będzie przedstawiać.

Jego zdanie o małżeństwie było za bardzo satyryczne i nie mógł, rozumie się, pochlebiać niemłodym generacyom ówczesnym; obecnie zaś, mógł by ściągnąć na siebie gniew całego świata.

Nie uważał tego za złe, aby brać od drugich rzeczy potrzebne.

Pragnął tylko, aby każdy był szczęśliwym, t. j. aby się niczem niemartwił i był z siebieawsze zadowolnionym.

Dlatego mawiał często: „lepiej się pocieszyć, niż powiesić.“

Jednego dnia miał długą mowę o pewnym przedmiocie bardzo ważnym, lecz go każdy omijał i nie zwracał na niego wcale uwagi.

Dyogenes zaczął więc głośno śpiewać, czem zważył wielkie mnóstwo ludzi, którym jednakże robił wyrzuty za to, że pogardzają rzeczami poważnemi, a lubują się w próżnościach i przyjemnostkach.

Muzykantom robił wyrzuty za to, że nastrajali muzyczne narzędzia, a nie myśleli wcale o nastrojeniu własnych umysłów.

Gniewał się na matematyków i astronomów za to, że się zawiele zajmują słońcem, księżycem i gwiazda-

mi, a nie wiedzą, co się dzieje wokoło nich na ziemi.

Mówcom robił także wyrzuty za to, że więcej myślał o tem, jak dobrze mówić, niżeli o tem, jak dobrze czynić.

Dziwił się mocno, że autorowie dręczyli się zbyt mocno nad opisywaniem wszystkich nieszczęść Ulisesa, a nie starali się zapobiedz swojej własnej nędzy.

Naśmiewał się z tych, którzy składają ofiary bogom, aby otrzymać od nich zdrowie, a po skończonych obrzędach religijnych starają się, ażeby przez zbyt częste używanie pokarmów i napojów, zdrowie swe jaknajprędzej zrujnować.

Dziwił się także mocno, że wszyscy ludzie chcą być pod każdym względem pierwszymi, ale nikt nie dobija się o zaszczyt pierwszeństwa na drodze cnoty.

Pewnego dnia spostrzegł Dyogenes, że Platon przy swojej uczcie wspaniałej, zjadał tylko same oliwki.

Tedy rzekł do niego: „ty udajesz mędrca, a dla czegoż nie jadasz tutaj potraw sycylijskich?”

Na to mu odrzekł Platon: „kiedy mieszkałem w Sycylii, to się żywiłem tylko sycylijskimi owocami.“

Dyogenes go zapytał znów: „A po cóż jeździłeś do Sycylii, czyż to mało owoców masz w Atenach?”

Innego razu, gdy Platon, będąc w Sycylii, przyjmował u siebie gościnnie kilku przyjaciół tyrana Dionizyusza, wszedł także do niego Dyogenes.

Stanąwszy zaś na pięknym kobiercu, rzekł Dyogenes: „Depczę nogami dumę Platona,“ na co mu Platon odrzekł: „ale także przez twoją własną dumę“.

Pewien sofista chciał okazać wzniosłość i subtelność rozumu swego i tak się odezwał do Dyogenesa: „ty nie jesteś tem, czem ja jestem; ja jestem człowiekiem, ty zaś nie jesteś człowiekiem.“

Na to odrzekł mu znowu Dyogenes: „temu ja nie wierzę, ale ci uwierzę, jeżeli powiesz tak: nie jestem tem, czem ty jesteś, ty jesteś człowiekiem, ja zaś nie jestem człowiekiem.“

Pewnego razu zapytano go, jakich ludzi widział w Grecyi i gdzie ich widział? Nato on odpowiedział:

„W Lacedemonii widziałem dzieci, ale ludzi nigdzie nie widziałem.“

Innym razem przechadzał się w południe z latarnią zapaloną po ulicach miasta.

Mnóstwo ludzi ciekawych otoczyło go i pytali czego szuka. „Szukam człowieka,“ odpowiedział Dyogenes.

Pewnego razu stanął na ulicy i zaczął wołać: „Ludzie! ludzie! ludzie!“ Zbiegło się znowu mnóstwo

ludzi, a on wziął kij i zaczął ich rozpędzać mówiąc: „ja nie was wołałem, ja ludzi wołałem.“

Pewnego razu znajdował się Demostenes w karczmie i spostrzegł przechodzącego Dyogienesesa.

Nie chcąc być przez niego widzianym i z nim się spotkać, skrył się.

Ale Dyogienes go spostrzegł i zawołał na niego: „Nie kryj się, bo ugrzęźniesz.“

Pewnego razu wszedł Dyogienes nawpół ogolony do izby, w której się bawiła młodzież i ta się z nim obeszła nieprzyzwoicie.

Dyogienes wypisał wszystkie ich imiona na papierze, który sobie przylepił na plecach i chodził z nim po ulicach, przez co zniesławił ich imiona i tym sposobem ich surowo ukarał.

Pewien oszust zarzucał mu raz jego ubóstwo.

Na co mu Dyogienes odrzekł: „za ubóstwo jeszcze nikogo nie powieszono, ale za oszustwo już wiele tysięcy ludzi oddało swe gardła katowi pod stryczek.“

Bardzo często mawiał: „rzeczy najpotrzebniejsze najmniej ludzie cenią, przeciwnie zaś, rzeczy niepotrzebne kupują na wagę złota.

Za posąg marmurowy płacą 3,000 sztuk złota, a za korzec mąki nie płacą ani 20.

Jednego razu, mając zamiar kąpać się, spostrzegł, że woda była bardzo brudna.

Tedy pokiwał głową i rzekł: „ten, co tu się wykąpie, musi szukać innej wody, ażeby się obmyć“.

Między innymi utrzymywał Dyogenes, że mędrcom nie powinno niczego brakować, bo oni umieją rozporządzać tem wszystkim, co Bóg stworzył na pożytek człowieka.

A ponieważ wszystkie twory są własnością Boga, zatem mędracy, jako przyjaciele Boga, mają prawo do wspólnego posiadania wszystkiego tego, co jest własnością Boga.

Między przyjaciółmi jest wszystko wspólne.

Dlatego, gdy Dyogenes czegoś zażądał od ludzi, zwykł mawiać: „mnie to oddać należy!“

Kiedy Aleksander Wielki, król Macedonii, przejeżdżał przez Korynt, zapragnął zobaczyć Dyogenesa, który tam właśnie przebywał.

Zastał go siedzącego na słońcu i naprawiającego swą beczkę.

Przybliżył się więc do niego i rzekł: „Jestem Aleksander Macedoński!“

„A ja jestem pies Dyogenes,“ odpowiedział filozof zimno i obojętnie.

Dalej zapytał go Aleksander: „a czy ty się mnie boisz?“

Dyogenes dał mu również wzajemnie pytanie: „a czyś ty dobry, lub zły?“

„Jestem dobry,“ odrzekł Aleksander.

Dyogenes odpowiedział mu na to: „Jeżeliś dobry, to czegoż miałbym się obawiać, a jeżeliś zły, to ja się także złych nie boję“.

Ta śmiałość Dyogenesa spodobała się bardzo Aleksandrowi, i zapytał go, czego sobie życzy od niego.

„Proś czego tylko chcesz, a wszystko uczynię dla ciebie“.

Ale filozof nie okazał najmniejszego zadowolenia i radości z tej wysokiej łaski potężnego monarchy i powiedział zupełnie obojętnie, jakby od niechcenia:

„Jeżeli mi chcesz wyświadczyć łaskę, to zejdź mi ze słońca i nie zasłaniaj mi sobą światła.“

Aleksander zdziwił się, widząc człowieka nędzarza tak dumnego i wyższego nad wszystkie rzeczy ludzkie.

Dla tego zapytał go znowu: „kto jest bogatszy? czy ten, co się okrywa połatanym i mizernym płaszczem, a w becze mieszka, czy ten, przed którym czołem biją miliony narodów i który rozkazuje niezliczonej armii i posiada niewyczerpane skarby?“

Na to odpowiedział mu znowu Dyogenes:

„Najbogatszym człowiekiem na świecie jest tylko ten, który poprzestaje na małym“.

Dworzanie Aleksandra W. gniewali się na Dyogenesa, który nawet się nie podniósł z ziemi i zrobili

królowi uwagę, że rozmawia z człowiekiem, lekceważącym ich władcę.

Aleksander uspokoił ich jednak, mówiąc: „Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Dyogienesem.“

Zdarzyło się, że Dyogienes został w swej podróży do Eginy pojmany przez rozbójników morskich, którzy zawieźli go do Krety i tam na targ wystawili; Dyogienes nie okazał najmniejszego zmartwienia, a zobaczywszy człowieka tęgiego i dobrze ubranego, imieniem Kseniades, powiedział: „mnie temu sprzedajcie, ten właśnie potrzebuje pana.“

I w istocie, tenże Kseniades kupił Dyogienesa jako niewolnika i powierzył mu wychowanie swych dzieci.

Dyogienes wywiązywał się sumiennie z obowiązku, jaki włożył na niego władca jego.

Wychowywał dzieci bardzo starannie, kazał im się uczyć wyjątków z najlepszych pisarzy, poetów, jak również treści swej własnej filozofii, którą umyślnie dla nich zebrał.

Kazał im się ćwiczyć w gonitwach, polowaniu, konnej jeździe, pływaniu, strzelaniu z łuku, i t. p., przyzwyczajał je do prostych potraw i napojów, prowadzał po ulicach boso i w lichem ubraniu.

Dzieci pokochały go z całego serca jak rodzonego ojca i były mu tak posłuszne, że nie miał wcale trudności w ich wychowaniu.

Po kilku latach niewoli Dyogienesa dowiedzieli się jego przyjaciele o jego smutnym losie i chcieli go wykupić, ale on im podziękował za szczere chęci mówiąc:

„Szlachetni jesteście, ale nie wiecie o tem, że lew nie jest niewolnikiem tych, którzy go karmią, lecz przeciwnie karmiciele jego są niewolnikami“.

Razu pewnego usłyszał Dyogienes, że Dyonizyusz odniósł zwycięztwo nad ludźmi w igrzyskach Olimpijskich. Na to powiedział Dyogienes: „powiedzcie lepiej, że Dyonizyusz zwyciężył tylko niewolników i nieszczęśliwców; ludzi zaś, ja sam tylko zwyciężyłem“.

Jeżeli mu kto mówił, że jest starym i że powinien odpocząć, odpowiadał zwykle: „jeżeli ktoś do mety dobiega, czyż przystoi, aby ustawał?“

Raz zobaczył człowieka, który upuścił chleb na ulicy i wstydzil się go podnieść.

Dyogienes, znalazłszy butelkę stłuczoną, podniósł ją i chodził z nią po całym mieście.

Niekiedy zastanawiał się Dyogienes nad swoim życiem i mawiał: „wszystkie przekleństwa miotane w tragediach spełniły się na mnie, albowiem bez domu, bez miasta, bez ojczyzny żyję z dnia na dzień“.

Jednakże stałością swą opierał się pokusie do posiadania jakiegokolwiek mienia, naturę przekładał nad zwyczaje, rozsądek i spokój duszy nad wszystkie skar-

by świata, nad wszystkie przyjemności i rozkosze życia ludzkiego.

Pewnego razu prosił go ktoś o poradę, o której godzinie ma jadać.

Dyogenes dał mu krótką, a treściwą odpowiedź:

„Jeżeliś bogaty, to jedz wtenczas, kiedy ci się tylko spodoba; jeżeliś biedny, jedz wtenczas, kiedy masz“.

Ateńczycy prosili go, ażeby im odkrył tajemnice ich bogów, twierdząc, że ci bogowie zajmują pierwsze miejsce na tamtym świecie.

Dyogenes odpowiedział im na to: „byłoby to dziwnem, gdyby Epaminondas i Agesylaus którzy pozostali w błocie, mieszkali wyżej niż ja, który znam wasze tajemnice“.

Nogi skrapiał sobie Dyogenes wonnemi maściami.

Gdy go zaś kto zapytał, dlaczego tak czyni wbrew zwyczajowi, odpowiadał: „zapach z głowy ulatnia się w powietrze, zapach z nóg, przeciwnie trafia prosto do nosa“.

Pewien niegodziwy człowiek kazał napisać na drzwiach domu swego następujące słowa:

„Niech nic złego nie wejdzie do domu mego!“

Dyogenes, przeczytawszy ten napis, zapytał: „a któryż wchodzi pan domu tego?“

Kilku filozofów starało się dowieść Dyogenesowi, że nie używa ruchu.

On zaś, w skutek tego zarzutu, podniósł się i zaczął chodzić.

A gdy go zapytano co robi, odpowiedział: „zbi-  
jam zdanie filozofów“.

Pewien astrolog rozprawiał dużo o ciałach nie-  
bieskich i w ogóle o niebie.

Dyogenes go zapytał: „A dawno powróciłeś  
z nieba?“

Platon określał człowieka temi słowy: „jest to  
zwierzę o dwóch nogach bez upierzenia“.

Dyogenes oskubał koguta, schował go pod swój  
płaszcz i poszedł z nim do akademii Platona, a tam,  
stanąwszy w pośród szkoły, zawołał, rzucając koguta  
na ziemię: „patrzcie! oto jest człowiek Platona!“

Pewnego razu spostrzegł podczas swojego skrom-  
nego obiadu myszki, zbierające okruszyny, spadające  
z jego stołu.

Tem zdziwił się i zawołał: „o! patrzcie no, któż-  
by to powiedział, że Dyogenes także żywi darmo-  
zjadów?“

Jeden z jego przyjaciół zapraszał go raz na ucztę,  
lecz Dyogenes nie chciał iść, wymawiając się temi sło-  
wy: „przyjacielu! wczoraj byłem u ciebie, a nie po-  
dziękowałeś mi za to“.

Jeden człowiek, niosący ciężar, potracił Dyogenesa,  
a dopiero potem powiedział: „proszę uważać!“

Dyogenes zapytał go: „czy mnie chcesz potrącić po raz drugi?“ poczem, uderzywszy go kijem kilka razy, dodał: „no, teraz uważaj-że ty sam“.

Jednego razu przemókł na deszczu tak mocno, że woda ciekła z jego płaszcza. Przechodnie żalowali go bardzo i chcieli mu pomódz osuszyć się.

Platon był właśnie przy tem obecny i rzekł do przechodniów: „jeżeli chcecie, żeby Dyogenes był prawdziwie szczęśliwym, to odejdźcie i nie zważajcie na niego“.

Aptekarz, imieniem Lizyasz, zapytał raz Dyogenesa, czy wierzy, że są bogowie; na to mu odpowiedział Dyogenes:

„Jakżebym nie miał w to wierzyć, wiedząc na pewno, że bogowie nie mają większych wrogów nad ciebie“.

Przechadzając się ponad rzeką, spostrzegł złego człowieka, myjącego się w wodzie i niecierpliwącego się, że brud z jego ciała nie chce schodzić.

Dyogenes powiedział mu na to: „dziwię się, że sobie zadajesz tyle trudu na oczyszczenie ciała twego, a nie myślisz wcale o tem, aby się oczyścić z występków swoich“.

Spostrzegł raz dziecko w nieprzyzwoitej postawie, przybliżył się do nauczyciela jego i uderzył go kijem, mówiąc: „czemu tak źle prowadzisz ucznia swego?“

Dyogenes ganił tych wszystkich, którzy się uskarżali na brak fortuny, mówiąc: „ludzie są zawsze nie-nasyceńi, wszystkiego im zamało, pragną zawsze tego, czego nie mają, bo im to się wydaje dobrem, a nie mają pojęcia o tem, co jest prawdziwie dobrem“.

Dyogenes wiedział o tem, że wiele ludzi pochwała bardzo jego sposób życia, ale go nikt nie naśladował, przeto zwykł mawiać:

„Jestem psem bardzo cennym, ale nikt nie chce biedz za mną na polowanie“.

Ludziom, wierzącym w sny, robił Dyogenes wyrzuty, mówiąc: „do władzy umysłowej, imaginacyjnej przywiązujecie wyższe znaczenie we śnie, niż na jawie“.

Raz spotkał kobietę bogatą w lektyce i zawołał: „to zbyt piękna klatka dla takiego ptaszka bez pierzy“.

Pomimo swego ubóstwa i dziwaczego sposobu życia, Ateńscy tak polubili Dyogenesa i przywiązali się do niego, że poczytywali sobie za chlubę i zaszczyt, aby usłużyć mu w czemkolwiek i nie dopuścić nigdy, aby mu ktokolwiek wyrządził najmniejszą przykrość.

Pewnego razu roztlukł mu beczkę swawolny młodzieniec. Ateńscy ukarali go za to surowo, bo go kazali publicznie różgami smagać, a Dyogenesowi sprawili nową beczkę.

Często wiele mawiano o szczęściu Kalikstena, że codziennie obiadał i wieczerzał z Aleksandrem Wielkim.

Dyogenes, słysząc to, mówił: „a ja właśnie dlatego ubolewam nad nim bardzo“.

Krales, uczeń Dyogenesa, starał się bardzo o to, aby mistrza swego zwabić do siebie.

Ale on się zawsze wymawiał temi słowy: „wolę ja u siebie chleb suchy, niż wykwintne potrawy i napoje w pałacu twoim“.

Perdykkas\*) groził Dyogenesowi, że go zabije, jeżeli go nie odwiedzi. Na to mu odpowiedział Dyogenes:

„Nie wielkiej byś sztuki dokazał, to potrafi zrobić najmniejsze zjadliwe zwierzątko“.

Pewnego razu spostrzegł, że niewolnik obuwał pana swego.

Przybliżył się więc do tego ostatniego i rzekł: „a na cóż tobie bogowie dali ręce?“

Innym razem spotkał człowieka, którego sąd skazał za kradzież małej butelki ze skarbu publicznego na karę śmierci i którego sędziowie prowadzili na

---

\*) Perdykkas, wódz Aleksandra Wielkiego, a po jego śmierci zarządca państwa został w r. 321 przed Chrystusem w czasie wyprawy do Egiptu zamordowany przez własnych żołnierzy.

miejsce stracenia; tedy zawołał: „oto wiecey złodzieje prowadzą małego złodzieja!“

Bogatych głupców nazywał Dyogienes baranami, że złotem runem.

Widząc raz młodzieńca, robiącego niezgrabne skoki, powiedział: „nie trudź się tak wiele nad wyćwiczeniem twoich skoków, bo czem więcej się wydoskonalisz w ich robieniu, tem gorzej ci będzie“.

Zobaczywszy na domu pijaka napis: „dom do sprzedania,“ powiedział: „wiem ja to dobrze, że kto za nadto pije, musi się pozbawić domu“.

Ktoś mu wymawiał, że go Synopczycy skazali na wygnanie, a on na taki zarzut odparł:

„Nie oni mnie wygnali, ale ja ich skazałem na wieczne mieszkanie w swoim brzydkim kraju“.

Często stawał przed posągami i prosił ich o różne rzeczy, mówiąc:

„Ja to czynię dla tego, bo chcę się przyzwyczać do odbierania odmownych odpowiedzi na prośby moje.“

Gdy go nędza przymusiła do żebractwa, odzywał się do przechodniów w ten sposób:

„Jeżeliś już dał komu jałmużnę, dajże i mnie drugiemu; jeżeliś zaś jeszcze nie dał, to dajże mnie pierwszemu“.

O Dyonizyzuszu mawiał tak: „Tyran ów obchodzi się z przyjaciółmi swemi tak samo, jak z butelkami,

które ceni tak długo, dopóki są pełne, a po wypróżnieniu tłucze je i rzuca.

Przyjaciół ceni tak długo, dopóki są mu użyteczni, a gdy mu się ich przyjaźń sprzykrzy, robi z nimi to samo, co z butelkami.“

Spostrzegł raz w karczmie marnotrawcę, który na obiad zjadał same oliwki, więc rzekł do niego: „gdybyś był tak dawniej wieczerzał, to obiadowałbyś teraz inaczej“.

Mawiał zwykle, że zbyteczna żądza i chciwość jest największem nieszczęściem rodu ludzkiego, dalej, że żołądek jest przepaścią życia, grzeczna mowa jest to lep łowiący owady; miłość jest zatrudnieniem próżniaków i, że tylko ludzie cnotliwi i uczciwi są obrazem bogów.

Gdy go zapytano, czem być najgorzej, odpowiadał: „starym, ślepym i ubogim.“

Gdy go zaś pytano, co jest w świecie najlepszym, odpowiadał: „wolność i czyste sumienie.“

Na pytanie, jakie zwierzę najdotkliwiej kąsa, mówił: „między dzikimi zwierzętami kąsa najzjadliwiej oszczerca, a między oswojonemi (obłaskawionemi), pochlebca.“

Razu pewnego przechadzając się koło drzew, spostrzegł kilka kobiet na nich powieszonych i zawołał: „ach, bodajby wszystkie drzewa wydawały podobne owoce“!

Gdy go zapytano, dlaczego złoto ma błąd kolor, odpowiedział: „dlatego, że ma wiele zazdrośników.“

Kiedy niewolnik jego, imieniem Manes, mu uciekł, namawiano go, ażeby za nim gonił.

Roześmiał się na to Dyogenes i rzekł: „Jeżeli on się bezemnie obejdzie, czyż ja się nie mogę obejść bez niego?“

Pewien tyran zapytał go, jaka miedź jest najlepsza na posąg.

Dyogenes odpowiedział mu: „Ta miedź jest najlepsza, z której wystawiono posągi Aristogytonowi i Harmodyuszowi, największym wrogom tyranów.“

Pewnego razu objaśniał Platon kształt stołu i szklanki.

Dyogenes powiedział: „ja widzę dobrze stół i szklankę, ale kształtu ich nie rozumiem.“

Platon dał mu taką odprawę: „ja tobie wierzę, bo, żeby widzieć, wystarczy mieć oczy, ale, żeby rozumieć, trzeba mieć rozum.“

Dyogenes spostrzegł raz młodzieńca, który przy rozmowie się rumienił, więc mu powiedział: „bardzo pięknie, widzę, że nosisz barwę cnoty.“

Gdy go pytano, dlaczego każdy człowiek daje jałmużnę chętniej kulawym i ślepym, niż filozofom, odpowiedział: „bo każdy spodziewa się prędzej zostać kulawym i ślepym, niż filozofem.“

Gdy go pytano, dlaczego nie trzyma sobie służącego, odpowiadał: „nie potrzebuję być niewolnikiem płatnego szpiega.“

A gdy go zapytano, kto go pochowa po śmierci, odpowiedział: „o to się nie troszczę, znajdzie się zawsze ktoś taki, co będzie potrzebować mieszkania mego.“

Pewien nieuczciwy człowiek wymawiał mu, że niegdyś fałszował monetę.

„Prawda,“ odpowiedział Dyogenes, „ja byłem niegdyś rzeczywiście tem, czem ty jesteś, ale ty nie będziesz nigdy tem, czem ja dziś jestem.“

Wszedłszy raz do szkoły znakomitego mistrza, który miał mało uczniów, ale zato wiele posągów, powiedział mu Dyogenes: „masz rzeczywiście wielką liczbę słuchaczy, a przeważnie bogów.“

Gdy go czasem pytano, z jakiego kraju pochodzi, odpowiadał:

„Jestem obywatelem świata, więc wszystkie kraje do mnie należą.“

Pewnego razu prosił przechodzącego marnotrawcę o sztukę złota.

Proszony zdziwił się mocno i zapytał go: „dlaczegoś od drugich ludzi żądasz tylko obola, odemnie zaś całą sztukę złota?“

Na to mu odpowiedział Dyogenes: „to jest rzecz bardzo prosta i jasna, bo inni ludzie dadzą mi jeszcze nieraz jałmużnę, a ty zaś podobno nigdy mi nic nie dasz i może wkrótce sam przyjdiesz do mnie po jałmużnę.“

Gdy go pytano, czy śmierć jest nieszczęściem i złem, odpowiadał:

„Jakże może być śmierć nieszczęściem, jeżeli ludzi uwalnia od największych cierpień i przersedza ludzkość, która bez niej mogłaby cię tak rozmnożyć, żeby nie miała się czem żywić i musiałaby cierpieć katusze głodowe.“

Zobaczywszy raz strzelca niezręcznego, który mierzył do celu, pobiegł tam Dyogenes i stanął wprost owego strzelca, mówiąc: „tu jestem bezpieczny przed strzałami.“

Jeżeli się kto dziwił i zapytał go, dlaczego się tem nie martwi, że się wiele ludzi z niego naśmiewa, on odpowiadał: „a cóż mi to tam szkodzi, że osły wyszczerzają zęby; czyż się mam taką drobnostką martwić?“

Pytano go często, dlaczego się psem nazywa?

Na to odpowiadał: „Nazywam się psem, bo szczekam na złych.“

Pewien człowiek wymawiał mu, że jada i pija na ulicy.

Dyogenes na to odpowiedział: „jadam i pijam tam, gdzie mnie spotka głód i pragnienie i gdzie mogę dostać pokarmów i napojów.“

Kiedy wracał z Lacedemonii do Aten, zapytał go ktoś: „dokąd idziesz?“

Na to Dyogienes dał taką odpowiedź: „wracam od mężczyzn, a idę do niewiast?”

Pewnego razu wyśmiewali go ulicznicy, gdy jadł na środku ulicy, mówiąc: „oto żarłoczny, bezwstydy pies“!

Dyogienes odpląsił im temi słowy: „to wy psy jesteście, zebraliście się wokoło mnie, zagładacie mi w gębę i szczekacie, żeby coś odemnie wyżebrać“.

Pewien lichy szermierz cierpiąc niedostatek, porzucił swój zawód i obrał sobie inny, tj. został lekarzem.

Dyogienes spotkawszy go, powiedział mu: „To właśnie pole stosowne dla ciebie, bo będziesz miał sposobność pomścić się za wszystkie odebrane kułaki“.

Pewien bogaty człowiek podarował Dyogienesowi płaszcz, a pogniewawszy się na niego za to, że mu robił wymówki o złe postęпки, chciał mu go napowrót odebrać, ale Dyogienes opierał się i odmówił żądaniu jego, mówiąc:

„Jeżeliś mi go podarował, to on jest moją własnością, jeżeliś mi go zaś pożyczył, to zaczekaj trochę, bo mi jeszcze jest potrzebny.“

Chwalono pewnego bogatego człowieka, który dał Dyogienesowi jałmużnę.

Ten słysząc pochwały, powiedział: „A pochwalcież i mnie za to, żem przyjął jałmużnę i żem na nią zasłużył.“

Wymawiano mu często, że mieszkał w brudnych zakątkach, na co odpowiadał:

„Słońce wszędzie świeci i zagłada do najciemniejszych zakątków, a przecież nie traci blasku.“

Pewien uczony wymawiał mu, że jest nieukiem. „Jak ty śmiesz zwać się filozofem, jeżeli nic zgoła nie umiesz?“

Dyogenes mu na to odpowiedział: „Właśnie w tem jest wielka sztuka, że nic nie umiem, a filozofem jestem, ty zaś dużo umiesz, a nim nie jesteś.“

Pewien ojciec, mając zamiar oddać syna swego Dyogenesowi na naukę, zachwalał go temi słowy:

„Jest to mądry, cnotliwy i pobożny młodzieniec.“

Dyogenes zapytał ojca: „a pocóż mi go oddajesz na ucznia, jeżeli już jest tak doskonałym; ja nauczyciela nie potrzebuję, bo już jestem za stary.“

Dyogenes nie gardził także widowiskami, ale przychodził na nie dopiero wtenczas, gdy się wszyscy widzowie porozchodzili i mówił: „teraz będzie najlepsze widowisko, bo będę sam aktorem i spektatorem; do tego już przywykłem przez całe moje życie i w tem wytrwam do końca.“

Słynny tyran Dyonizyusz, zostawszy wypędzonym z Syrakuzy, zmuszony był szukać sobie środków do utrzymania życia, aby z głodu nie umrzeć i założył szkołę w Koryncie.

Dyogenes wszedł do tejże szkoły pewnego dnia i zastał tam wielki krzyk i hałas, więc zwrócił się do nauczyciela i rzekł:

„Jakże ty mogłeś dobrze rządzić w królestwie twojem, jeżeli dzieci porządnie prowadzić nie umiesz?“

Widząc raz rodziców bezdzietnych, składających bogom ofiary na intencję, aby ich obdarzyli synem, powiedział:

„Pragniecie syna, a czy wiecie, że on będzie uczciwym i cnotliwym?“

Słyszając ludzi nie bardzo uczciwych, którzy obszernie rozprawiali o cnocie, mawiał: „Jesteście narzędziami muzycznymi, wydajecie wprawdzie głos, ale grać sami nie umiecie.“

Zachęcał pewnego człowieka do poprawy życia, który się wymawiał, że nie jest uzdolnionym do filozofii.

Dyogenes go zapytał: „Pocóż więc żyjesz? co życie twoje jest warte, jeżeli się nie chcesz poprawić i żyć lepiej?“

Dyogenes mawiał często: „ludzie wszyscy są niewolnikami i żyją w niewoli, albowiem niewolnicy słuchają panów, a panowie słuchają namiętności swych.“

Gdy go zapytano: „gdzie chcesz być pochowanym?“ odpowiedział: „żyłem wśród ludzi, zatem chcę spoczywać sam i chcę być pochowanym w polu.“

A gdy mu powiedziano: „Tam cię zjedzą ptaki i zwierzęta drapieżne, on odpowiedział: w takim razie postawię kij przy sobie.“

Gdy go zaś zapytano: „na cóż tobie kij się przyda, jeżeli będziesz martwym i bez czucia?“ na to odpowiedział znowu:

„Jeżeli czuć nie będę, to co mnie może obchodzić, jeżeli mnie ptaki i zwierzęta jeść będą.“

Niektórzy historycy twierdzą, że Dyogenes, mając lat 90 zjadł surową nogę wołową i umarł z niestrawności.

Inni znowu twierdzą, że znużony starością, dech w sobie zatrzymał i tak skonał.

Lecz ani jedno, ani drugie twierdzenie nie jest poparte pewnymi faktami; jestto więcej tylko nierozważne przypuszczenie.

Bo człowiek, który całe życie nad tem tylko pracował, aby się wydoskonalic w znoszeniu wszelkich przykrości życia, nie mógł być samobójcą.

To jest tylko pewnie, że przyjaciele jego znaleźli go nieżywego w polu, owiniętego w płaszcz.

Dyogenes umarł w Koryncie tego samego dnia, co i Aleksander Wielki.

Mieszkańcy Koryntu pochowali go wspaniale, umieścili na jego grobie kolumnę, a na niej psa z pięknego marmuru sprowadzonego z Poros.

Pamięć jego uczcili następnie Grecy kilkoma nawet okazałymi posągami.

---

## WALENTY JAMERAY-DUVAL.

---

Walenty Jameray-Duval (wymawia się: zamerejdjuwal) był synem ubogiego wieśniaka z Szampanii.

Miał dziesięć lat, kiedy ojciec jego zmarł, zostawiając wdowę i kilkoro dzieci na pastwę nędzy.

Matka oddała Walentego sąsiadowi, który go obrócił na pastuszka indyków.

Niewiadomo z jakiej przyczyny, ów sąsiad obił i wypędził malca który, nie mając śmiałości wracać do matki, ruszył w świat, gdzie go oczy poprowadzą.

Było to w początkach zimy 1709 r., a zimy takiej nie pamiętano od dawna.

Pojąć więc łatwo, że wśród trzaskającego mrozu podróż nie była łatwą dla małego wędrowca, nie mającego grosza przy duszy.

„Idąc z Prowins do Brie“, opowiada sam, „dostałem tak silnego bólu głowy, że sądziłem, iż lada moment czaszka mi pęknie.

Przybywszy do wrót jakiegoś folwarku, błagałem człowieka, który wyszedł naprzeciw mnie, aby mi po-

zwolił ogrzać się i położyć w jakim kątku, gdzie może-  
bym prędzej zniósł ten fatalny ból głowy.

Człowiek zaprowadził mię do owczarni, gdzie od-  
dech owiec ogrzał moje skostniałe ciało, lecz nie ule-  
czył z bólu doprowadzającego mnie do szaleństwa.

Nazajutrz człowiek ten, przyszedłszy dowiedzieć  
się co porabiam, zastał mnie z oczyma zaczerwienio-  
nemi, z twarzą spuchniętą, z ciałem jak szkarłat czer-  
wonem i obsypanym krostami.

Poznał zaraz i powiedział mi, że to ospa.

Mróz nie pozwalał mnie puścić w świat, zresztą  
nie mogłem kroku postąpić.

Pocziwy człeczysko, ujęty litością, wyszedł i wró-  
cił po chwili z pakietem starej bielizny, w którą  
rozebrał mnie, poobwijał jak mumię.

Potem wykopał jamę w kupie owczego nawozu,  
wysłał ją owsianą słomą, ułożył mnie, przykrył warst-  
wą słomy i narzuciwszy na wierzch sporą ilość nawo-  
zu, polecił mię łasce Boga, pewny, że wkrótce skonam.

Lecz inaczej się stało.

Ciepło nawozu i oddechu owczego było mojem  
ocaleniem.

Ono wywołało obfite poty, wydobyło na wierzch  
ospę, po której zostały tylko ślady na mojem ciele.

Tymczasem zima, której ostrości nie czułem, zrzą-  
dzała najokropniejsze spustoszenia.

Drzewa i kamienie z hukiem pękały od mrozu, nie było nocy, w której by mnie nie zbudził jaki prze-rażający łoskot.

Litościwy dzierżawca tego lichego folwarku (bo nim był właśnie człowiek, który mi dał schronienie) żałował, że mnie nie może otoczyć wygodami, jakich stan mój wymagał; ubóstwo nie pozwalało mu na to.

Powiedział, że przed paru tygodniami wierzyciele stradowali go do szczętu, że tylko owce, należące do właściciela folwarku ocalały.

Biedaczysko przez piętnaście dni przynosił mi rodzaj papki z solonej wody i troszką chleba w naczyniu podobnem do kamionki, które zagrzebywałem w nawóz, ażeby papka nie wystygła.

Za napój piłem wodę; później zaś, gdym potrzebował posilniejszego pokarmu, przynosił chleb tak zmarznięty, że musiał rozrąbywać go siekierą.

Mimo to dzierżawca oświadczył, że nie może trzymać mnie dłużej; ale wspomniał o mojej niedoli proboszczowi, który pozwolił, aby mnie przyniesiono do chaty obok parafialnego domku.

Wydobyto mnie tedy z nawozu, owinięto w kilka pęków siana, włożono na osła, przymocowano i tak przetransportowano do owej chaty.

Gdyśmy przybyli, byłem nawpół umarły.

Starania litościwego proboszcza po pewnym przeciągu czasu powróciły mi życie i zdrowie.“

Na nieszczęście, proboszcz nie był bogatszym od dzierżawcy, dał więc małeńką zapomogę Walentemu i puścił go świat.

Walenty, po dość długiej wędrówce, szczęśliwym trafem dostał się do klasztoru Świętej Anny, zamieszkiwanego przez starych pustelników, którzy ujęci poczciwą miną chłopca, przyjęli go za pastuszka.

„Tam“, mówi on dalej osobie, „nowe rozpocząłem życie.

Jeden ze starców drżącą ręką pisał mi litery ołówkiem, prowadził moją rękę i zwolna wyuczył mnie pisać, ma się rozumieć, nie szczególnie.

Znalazłem w ich niewielkiej bibliotece skróconą arytmetykę, z której nauczyłem się sam czterech działań, a nawet więcej.

Ta książka zaciekaowała mnie i bardzom ją polubił.

Wybrałem w lasku ustronie dobre do cichej pracy; tam się uczyłem, tam nieraz przepędzałem połowę pogodnych nocy.

Jednego wieczora, kiedym się ciekawie przyglądał rojowi światła, rozsypanych po przestrzeni niebios, przypomniałem sobie, że czytałem w jakimś kalendarzu, iż słońce w pewnych dniach roku wstępuje w znak Barana, Byka i tem podobnych zwierząt.

Wyobrażałem sobie, że gromady gwiazd muszą tworzyć podobieństwo do owych zwierząt i koniecznie chciałem się o tem przekonać.

Wybrałem największy w lesie dąb i urządziłem sobie prawie na jego czubku siedzenie z drążków i sitowia.

Było to obserwatorium podobne do bocianiego gniazda.

Co wieczór, wdarłszy się tam, szukałem na niebie postaci barana albo byka.

Po długich, a bezużytecznych usiłowaniach, miałem już dać za wygraną mojemu niepowodzeniu, kiedy wypadek pchnął moje usiłowania na właściwszą drogę.

Posłany do Luneville na jarmark, dostrzegłem w jednym z kramów mnóstwo rysunków porozwieszanych na ścianach.

Między niemi była mapa niebios, na której gwiazdy poznaczano ich nazwami i wymieniono, do której należą wielkości.

Ta mapa niebios, mapa dwóch ziemskich półkuli i karty wszystkich części świata, wyczerpały mój cały majątek, dochodzący do sześciu franków.

W kilkanaście dni poznałem już względnie położenie znaczniejszej części konstelacyj, lecz, chcąc spożytkować tę wiadomość, trzeba mi było znaleźć na nie-

bie jakiś punkt stały, który by moim obserwacyom posłużył za podstawę.

Słyszałem, że gwiazda północna jest jedyną nieruchomą gwiazdą na naszym pół-sferzu, ale jak ją wynaleźć?

Mówiono mi także o igle magnesowej, obracającej się zawsze ku północy, lecz nie chciałem w podobny cud wierzyć.

Na szczęście, najstarszy z naszych druidów miał kompas z sobą, którego mi pożyczył.

Przy pomocy kompasu, poznałem cztery punkty, zwane kardynalnemi, lecz gwiazdy północnej jeszcze nie mogłem znaleźć.

Bogu tylko wiadomo, jakich używałem sposobów, aż wreszcie znalazłem pożądaną gwiazdę.

Potem już nietrudno mi było obeznac się z konstelacyami i ucześnie pilnie do mojego obserwatoryum; sam, bez niczyjej pomocy, nabyłem niemałej wprawy w wyszukiwaniu różnych gwiazd od pierwszego rzutu na niebo.

Oswoiwszy się z kartą niebios, postanowiłem za-poznać się z ziemią.

Gieografia przypadkiem zdobyta dopomogła mi do tego.

Polubiwszy tę naukę, uczyłem się jej na-miętnie.



Jameray-Duval obserwuje z drzewa gwiazdy na niebie.

Wkrótce też skrócona geografija nie wystarczała dla mojej ciekawości, lecz za cóż kupić obszerniejszą?

Postanowiłem wydać wojnę leśnem zwierzętom i za ich skóry nakupić map i książek.

Niezadługo miałem tyle skór lisich, zajęczych i kunich, żem dostał za nie przeszło sto franków.

Natychmiast pobiegłem do księgarni w Nancy.

Kupiłem przekład historyi naturalnej Pliniusza, Tytusa—Liwiusza, historyę Incasa, listy de Bussy-Rabutin'a, bajki La Fontain'a, i mnóstwo innych książek, między któremi, rozumie się obszerna geografija i mapy trzymały pierwsze miejsce.

Odtąd moja stancyjka w klasztorze stała się zmniejszonym światem.

Ściany jej i sufit pokryłem mapami; tak jest, na suficie, ponad mojem łóżkiem, rozpiąłem kartę niebios, abym, zbudziwszy się rano, patrzył jeszcze na gwiazdy.“

Jednego dnia Walenty znalazł na drodze pieczętkę złotą z herbem.

Kazał ogłosić to z ambony i jakiś Anglik, dowiedziawszy się, przyszedł po zgubę.

„Jeżeli ta pieczętka jest pańską własnością“, rzekł młody pasterz, „chciej pan opisać mi swój herb i znaczenie wszystkich jego części.“

„Zgłupiałeś chyba!“ zawołał Anglik, „heraldyki nie uczą pastuchów; więc, ponieważ się nie znasz na tem, prawilbym ci jak o żelaznym wilku.”

„Jak się panu podoba,” odrzekł Walenty, „lecz, jeżeli nie opowiesz znaczenia herbu, nie oddam panu pieczętki.”

Anglik rad nie rad musiał opowiedzieć, a gdy odebrał pieczętkę, zaczął ciekawie zadawać pytania pasterzowi, którego wiadomościami tak się zadziwił, że mu dał sporą sumę pieniędzy na zakupienie nowych książek.

Młody uczony w bluzie i sabotach zabrał się na dobre do nauki i, jak każdy człowiek, poczuwający w sobie wyższe powołanie, zaczął tęsknić za innym życiem, t. j. życiem pozwalającym spożytkować zebrane wiadomości.

Jednego razu, kiedy krowy powierzone jego opiece pasły się spokojnie na łące, a pasterz otoczony mapami i ulubionymi książkami leżał pod drzewem, jakiś nieznajomy, wyszedłszy z lasu, zbliżył się i zapytał:

„A ty co robisz chłopcze?”

„To, co pan widzisz,” odpowiedział pastuszek, „uczę się geografii.”

„I rozumiesz się na niej choć trochę?”

„Naturalnie, ja nie zwykłem zajmować się tem, czego nie rozumiem.”

„W którym że miejscu jesteś?”

„Szukam drogi do Quebec, aby się udać do uniwersytetu tego miasta, gdzie radbym ukończyć nauki,”

odpowiedział naiwnie Walenty, który wyczytał w książkach, że w Quebec istnieje sławny uniwersytet.

„Są bliższe uniwersytety,“ odrzekł z uśmiechem nieznamy, „mogę ci wskazać jeden z nich, gdzie będziesz dobrze przyjęty.”

W czasie tej rozmowy kilkanaście osób zbliżyło się z lasu i z wielkim uszanowaniem stanęło w pewnej odległości od nieznanego.

Walenty Jameray-Duval miał przed sobą księcia Leopolda z Lotaryngii, który zaproponował młodemu pasterzowi wysłanie go własnym kosztem do kolegium w Pont-à-Mousson.

Nie potrzebujemy mówić, że pasterz przyjął ofiarę z wdzięcznością.

Nauka szła mu tak prędko, że po trzech latach książę Leopold wysłał młodzieńca w podróż po Europie, a po powrocie mianował go swoim bibliotekarzem i profesorem historii w Luneville.

Jameray-Duval zmarł 1772 r. w Wiedniu, gdzie był bibliotekarzem i konserwatorem gabinetu medalów.

Skromność i dobroczynność były zawsze głównymi cnotami ubogiego, a później zubożonego pasterza.

Odwiedziwszy rodzinną wioskę, zakupił domek, w którym się urodził i na jego miejscu wybudował dom na szkołę; potem pustelnikom, którzy go przygarnęli, a którzy mieli zaledwie kilka morgów gruntu na swoje utrzymanie, dokupił jeszcze parę włók ziemi.

Jednego dnia w bibliotece w Wiedniu jakiś półgłówek zażądał od niego objaśnienia, którego mu Duval nie mógł udzielić.

Żądający oburzył się, lecz Duval wyznał otwarcie swoją w tym względzie nieświadomość.

„Jednakże cesarz płaci panu za to, więc powinienś umieć i wiedzieć,“ zawołał natręt.

„Przepraszam,“ odpowiedział uczony, „cesarz płaci mi tylko za to, co umiem; bo gdyby mu przyszło płacić za wszystko, czego nie umiem i nie wiem, to cały skarb państwa nie wystarczyłby na taką pensję.“

---

## J A N G U T E N B E R G.

---

Do XV-go stulecia druk był nie znany.

I nie wiadomo, kiedy go wynaleziono, gdyż Chińczycy i inne ludy, którym wynalazek ten przypisać chciano, posługiwali się jedynie odciskami na drzewie rycin i liter, co w języku dzisiejszym drzeworytami się nazywa.

Trzcionki i odlewy są podstawą drukarni, a Gutenberg wynalazł jedno i drugie około 1440 r.

Aż do początku XV-go wieku posługiwano się rękopisami, stanowiącymi zwykle biblioteki zamków i klasztorów,

Musimy w skróceniu opowiedzieć, jak się ta czynność odbywała.

Księgarz, człowiek biegły we wszelkich znanych na te czasy naukach, powierzał przepisywaczowi rękopisy do skopijowania.

Fabrykant pergaminu przygotowywał skórę miękką, lśniącą i równą, na której kaligraf wykonywał swą pracę, rysownik ozdabiał stronnice dzieła malowidłami i złoceniem, introligator składał, zeszywał i oprawiał luźne stronnice i tak przygotowane dzieło dostawało się do rąk świeckiego księgarza.

Z tego łatwo zrozumieć można, iż każda książka była przedmiotem rzadkim a niezmiernie cennym.

Na początku XV-go wieku wzrastająca chęć oświaty i kształcenia zrodziła wynalazek rytownictwa na kawałkach drzewa kart geograficznych, obrazów religijnych, które objaśniano krótkim tekstem.

Na to kładziono stosownie przygotowany, wilgotny pergamin i otrzymywano potrzebne odciski.

Z czasem, liczba legend i wielkość ich treści, rozszerzyła się i musiano odbijać całe długie stronnice.

Można mniemać, że w 3 wieku ten sposób odbijania znanym był już w Chinach, gdzie i pozostał dotąd, nie ulegając żadnym zmianom i ulepszeniom do naszych czasów.

Ojciec drukarni, jeden z największych dobroczyńców świata, Jan Gutenberg, urodził się w Moguncyi



Jan Gutenberg, wynalazca sztuki drukarskiej.

w 1409 r. z rodziny szlacheckiej, piszącej się Suge-  
loch na Gutenbergu.

Wczesną młodość spędził w domu rodzicielskim.

Dom ten, według ówczesnego zwyczaju, był upięk-  
szony rzezbami.

Nad głównymi drzwiami wyłobiono olbrzymią gło-  
wę bawołu z napisem: „Nic się przedemną nie ostoi.“

I tę dewizę przybrał później i pieczętował się nią  
Gutenberg.

W piętnastym roku życia Jan Gutenberg, odzie-  
dziczywszy po zmarłym ojcu drobną fortunę, porzu-  
cił Moguncyę i udał się do Strasburga.

Tam powziął szczęśliwą myśl ułatwienia liczby  
rękopisów za pomocą tłustej masy, która, przeniesiona  
na papier, pozwalała odbijać wielką ilość egzemplarzy.

Przez dziesięć lat pracował w Strasburgu nad  
urzeczywistnieniem tego wynalazku.

W braku środków, których wymagał pomysł, musiał  
związać się z Heilmanem, Andrzejem Dryzen i Rifem,  
trzema obywatelami miasta, którzy zobowiązali się do-  
starczać mu potrzebne pieniądze dla udoskonalenia  
przedsięwziętej pracy.

Lat tych dziesiątek nie przeszedł bezowocnie, gdyż  
doszedł do wynalazku liter ruchomych; lecz trzeba by-  
ło jeszcze wyszukać metal, t. j. odpowiednią mięszani-  
nę do wykonania pomysłu.

Żelazo było za twardem, bo łącał papier; ołów za miękkim, bo łamał się pod uderzeniami prasy; drzewo nie przedstawiało ani mocy, ani trwałości potrzebnej.

Okazało się koniecznem użycie mieszaniny przetróżnych kruszców, łączącej w sobie: siłę i trwałość.

Pomimo, że dotychczasowe a bezskuteczne próby współników Gutenberga poczyniły znaczne szczyby w ich mieniu, odważni i wytrwali ci ludzie sprzedali klejnoty, dziedzictwo i sprzęty.

A tak ufali gienjalnemu młodzieńcowi, że nigdy skarga lub wyrzut najmniejszy ust ich nie skrzywiły.

Zniechęcony długimi próbami, zmartwiony śmiercią współników, prześladowany przez wierzycieli, Gutenberg porzucił pracę i Strasburg i powrócił do Moguncyi.

Mysł wielka wszelako nie dała mu pokoju i samotny ciągnął dalej nie wynalazku.

Rysował, wyrzynał, odciskał, próbował różnych metalów, a gdy wykonanie nie odpowiadało zamiarom, rąk nie opuszczał, lecz zaczynał na nowo.

I znowu brak środków i konieczność pomocy i spółki.

Nowym współnikiem został Jan Faust, bogaty złotnik Moguncki.

Był to człowiek chciwy i przebiegły. Zapewniwszy sobie wszelkie korzyści w przyszłości, pożyczył pieniędzy i dodał jako pomocnika pracy, kopistę Piotra Schoeffera, późniejszego zięcia i współnika Fusta, czyli Fausta<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Jedni nazywają protektora sztuki drukarskiej *Faustem*, inni *Fustem*.

Gutenberg i Schoeffer użyli mieszaniny *ołowiu i antymoniū*, co razem wydało metal mniej twardy, niż żelazo, lecz odpowiadający zupełnie celowi i wytrzymujący nacisk prasy.

Nikczemność i chciwość wzięły górę w umyśle Fusta i tyle dokuczał, tak podłych używał sposobów, że Gutenberg, by się uiszczyć z należności, musiał mu prawo wynalazku odstąpić.

W nędzy i zgryzocie Gutenberg opuścił miasto.

Fust i Schoeffer drukowali księgi, robotnicy musieli przysięgać na Ewangielję, że sposobu nikomu nie odkryją, w razie nie dotrzymania słowa, groził Fust odjęciem im zarobku; drukarnię zaś umieścił w piwnicy, czeladź trzymał pod kluczem, jakby w więzieniu.

Dzięki tym ostrożnościom wyprzedził znaczną ilość ksiąg w Paryżu, które powszechnie brano za rękopisy.

Wśród olbrzymich dochodów, nawiedzony zarazą, skonał.

Po naglej i niespodziewanej śmierci Fusta, Schoeffer drukował dalej i bogacił się, dopóki w czasie oblężenia, a później wzięcia szturmem miasta, nie zginął pod waląciami się murami.

Syn Schoeffera, Jan, nie wstąpił w ślady ojca.

Objąwszy drukarnię, na pierwszej stronnicy książki wydanej w r. 1505, a ofiarowanej cesarzowi Maksymilianowi, pisze on co następuje: 1).

---

1) Autor nie podaje tytułu dzieła.

„Moguncyści należy się sława pobytu Gutenberga i jego wynalazku druku w r. 1440, oraz ulepszenia onegoż później przez Fusta i Schoeffera.“

W dwa lata po śmierci Fusta umarł Gutenberg.

Po opuszczeniu Moguncyści wielki wynalazca w nędzy i smutku błąkał się lat dziesięć po świecie.

Co robił, niewiadomo.

Pewnem jest tylko, że prawie konającego w ostatniej biedzie, przytulił arcybiskup Moguncyści, pomieścił na swym dworze i wyznaczył pensję z własnej szkatułki.

Dzięki tej, choć spóźnionej, szcudrośliwości Gutenberg ostatki życia poświęcił wydoskonaleniu sztuki drukarskiej. Umarł d. 14 Lutego 1468 r.

Po śmierci wynalazcy czczonek, „dzieci Gutenberga“ jak nazywano wszystkich drukarzy, rozbiegły się po całej Europie.

Osiedlili się oni w Kolonii, w Augsburgu, w Norymbardze, Bazylei, i t. d.. Niemcy, Holandya, Francya i Szwajcarya, pootwierały kolejno drukarnie.

W Rzymie po raz pierwszy ustawiono prasę drukarską w r. 1467.

W Polsce otworzono drukarnię około tegoż czasu.

W Paryżu w 1470 otworzył drukarnię Ulrich Gering do Anglii przywiózł ją Kaston w 1473 r., do Rossyi przybyła dopiero w r. 1553.

Monarchowie przyjmowali łaskawie tę znakomitą nowość.

Między r. 1488 i 1580 słynęła we Włoszech rodzina Aldes, której praszczur, Aldes Manuce zwany, inaczej „Stary“, sprowadził do Wenecyi pierwszą drukarnię i wyłaczał w niej arcydzieła starożytności.

Znakiem owej drukarni był delfin około kotwicy.

Synowie i wnucy nie wyrzekli się sławy i pracy poprzednika.

Drukarsz holenderski Elzevir znanym był w końcu XVI i na początku XVII wieku.

Najpiękniejsze ówczesne wydanie zawdzięczano Bonawenturze Elzevir, drukarzowi w Leydzie (od 1618 do 1653 r.) i bratu jego Abrahamowi.

We Francyi wielce zasłużył się Widot.

Z innych wyliczyć nam wypada: Baskerville, Anglika, um. 1775, który był zarazem rysownikiem, rytownikiem i giserem; po nim Étienne Crapelet, Ibarra i Boldoni.

Drukarnia królewska w Paryżu założona przez Ludwika XIII, a raczej przez jego pierwszego ministra Richelieu, jest najbogaciej uposażona w charaktery wschodnie.

Drukarnia cesarska w Wiedniu najwięcej przyczyniła się do postępu tej sztuki; w niej to pierwszy raz zastosowano galwanoplastykę i fotografię.



Pomnik Jana Gutenberga.

Wynalazek Gutenberga najbardziej przyczynił się do rozpowszechnienia dobroczynnego światła cywilizacji.

Pamięć mu więc i cześć się od nas należy.

---

## DYONIZY PAPIŃ.

---

Dyonizy Papin, urodzony 22 Sierpnia 1647 roku, kształcił się najpierw na lekarza, ale mechanika tak go zajmowała, że wkrótce dla niej porzucił medycynę.

Robił on często doświadczenia z różnemi przyrządami, służącymi do wytłomaczenia niektórych zjawisk przyrody, a prace jego ogłaszane drukiem, zajęły świat uczony.

Nie czekając jednak rezultatu pracy swej w Paryżu, udał się do Anglii i tam pod opieką i w pracowni znakomitego fizyka Roberta Boyle w dalszym ciągu prowadził doświadczenia.

Tutaj zajmował się głównie zbadaniem własności pary wodnej i zbudował przyrząd, zwany „kociołkiem Papina“.

Potem wynalazł nową maszynę, która poruszała

się za pomocą pary wodnej i stała się niejako podstawą przyszości maszyn parowych.

Ale ponieważ ruch jej nie dał pomyślnych rezultatów, zniechęcony Papin postanowił opuścić Angliję.

Na razie chciał wrócić do ojczyzny, lecz jako protestant miał tam drogę zamkniętą, z powodu przesładowań religijnych.

Zmienić zaś religiję za nicby się nie zgodził.

Wtedy udał się do Magdeburga, gdzie został profesorem matematyki.

Tam ponowił próby z wynalezioną przez siebie maszyną parową i doszedł do tego, że poruszała prawidłowo.

Wtedy powstała w głowie Papina nowa myśl.

Zamierzał on zniewolić maszynę swą do poruszania statków na wodzie.

W tym celu kazał zbudować łódź i, umieściwszy na niej maszynę parową, płynął z prądem i przeciwko prądowi wody. Łódź posuwała się równo i szybko.

Uszczęśliwiony tem Papin, pragnął puścić się swoją łodzią do Londynu, aby ją tam pokazać.

Ale na taką podróż musiał, wedle ówczesnych praw uzyskać pozwolenie wszystkich miast, leżących nad rzeką, którą miał się dostać do morza.

Tymczasem zabobonni i niechętni mu mieszkańcy Magdeburga, nieprzychylnie patrzyli na próby i odmówili pierwsi pozwolenia wyjazdu.

Napróżno Papin robił starania u rady miasta, wreszcie postanowił wyjechać pomimo zakazu.

Wsiadłszy na statek z żoną i z dziećmi, szczęśliwie wypłynął z miasta.

Wszystkie fundusze wyczerpał na budowę łodzi tak, że cały majątek jego stanowiło tylko trochę sprzętów domowych.

Pchany siłą pary, Papin nie dbał o wiatr przeciwny lub fale i już liczył dni do końca swej podróży.

Po drodze jednak wypadło mu zatrzymać się na rzece Wezerze, pod miastem Loch.

Zaciekawiony nowym widokiem lud zebrał się na wybrzeżu i, jedni z podziwem, drudzy ze strachem, przypatrywali się temu statkowi.

Tymczasem miejscowi rybacy, porozumiewszy się między sobą, broniąc niby praw swoich (jako właściciele rzeki) i wreszcie bojąc się, aby nowa sztuka nie odebrała im z czasem zarobku, postanowili zabrać statek.

Wpadli tedy na łódź i w oczach bezbronnego właściciela porąbali ją na kawałki, niszcząc przytem z wielką zawziętością wszelkie ślady parowej maszyny.

Zrozpaczony Papin dostał się do Anglii, ale nie zastał tam dawnych znajomych i przyjaciół, którzyby mu dopomogli.

Pozbawiony całkiem środków utrzymania i obarczony liczną rodziną, nie próbował już więcej odbudować swą maszynę, a potem umarł w nędzy i niedostatku.

---

## J A M E S W A T T.

---

Z pomiędzy ludzi, którzy szczególnie zasłużyli się w zakresie ulepszenia maszyn parowych, wymienić należy przedewszystkiem Jamesa Watta (wymawia się: dzems uott), którzy w nielicznym szeregu naczelne zajmuje stanowisko.

Był on jednym z najpilniejszych i najwytrwalszych między tymi, którzy pracę swą oddali na usługi ludzkości.

Urodzony w Szkocyi w Iweenock w r. 1736, od wczesnej młodości okazywał szczególniejsze zamiłowanie do pracy w samotności i do badań nad mechaniką.

Żywy, chciwy wiedzy i gruntownej nauki młodzieniec, przy każdej sposobności starał się usilnie rozszerzać zakres swych wiadomości przez pracę gorliwą i samodzielną.

Rok tylko mógł poświęcić naukom praktycznym pod kierunkiem jednego z najsłynniejszych mechaników Londyńskich, chorowity bowiem organizm wymagał starannej opieki.

Wyjechał więc do Glasgowa, gdzie rozpoczął kucrację.

Nie spędzał jednak czasu beczynnie i zaraz po powrocie urządził własną pracownię mechaniczną. W krótkim przeciągu czasu zyskał wziętość tak wielką, że zarząd uniwersytetu miejscowego powierzył mu dozór nad gabinetem fizyczno-mechanicznym, chociaż Watt liczył dopiero 21-y rok życia.

Gdy zajmował się sporządzaniem przyrządów matematycznych, otrzymał zawezwanie, czyby nie podjął się budowy organów kościelnych.

Watt nie miał o tem najmniejszego pojęcia, gdyż wogóle obcemi mu były wszelkie wiadomości muzyczne; nie powstrzymało go to jednak od przyjęcia zlecenia.

Nie tracąc czasu, z zapalem zaczął studyować naukę harmonii, a wkrótce potem wziął się do budowy organów i dzieło to ukończył ku ogólnemu zadowoleniu.

Świat naukowy ówczesny obznajmiony już był dobrze z maszyną, czyli tak zwanym „kociołkiem Papina,” o którym to wynalazku wspominaliśmy już poprzednio.

Mechanik angielski, Newcomen, poczynił pewne udoskonalenia w tym przyrządzie, pomimo to jednak przedstawiał on pewne niedokładności, uderzające na pierwszy rzut oka.



James Watt.

Uniwersytet glasgowski, ufając w zdolności Watta, polecił mu zająć się ulepszeniem maszyn Newcomena.

Zanim się zabrał do tej pracy, przeszedł gruntownie wszystko to, co nauka wyrzekła o naturze ciepła, pary, i t. d., a równocześnie pracował nad mechaniką i budownictwem.

Przygotowany odpowiednio zabrał się do roboty, której rezultatem było, że zamiast ulepszyć model przepelniony błędami, zbudował maszynę nową i zupełnie wykończoną tak, że śmiało można go nazwać drugim po Papinie wynalazcą, a nawet twórcą maszyny parowej, gdyż dopiero skutkiem jego poprawek umożliwionem zostało zastosowanie jej nie tylko do podnoszenia wody, do czego pierwotnie służyć miała, ale i do bezpośredniego poruszania młynów, statków parowych i kolei żelaznych.

Watt, jak to już powiedzieliśmy, był biednym, miał bardzo mało przyjaciół, żył w ciągłej walce z przeciwnościami, pozostawiony własnym siłom.

Wówczas nawet, gdy maszyna jego pracowała już regularnie, trudności z którymi walczył wytrwale, zewsząd go otaczały.

Przypadek zaznajomił go z doktorem Ronbuck, człowiekiem przedsiębiorczym.

Zachęcony i poparty przez niego Watt zbudował nową maszynę dla kopalni węgla kamiennego, która



James Watt przed kociołkiem z kipiącą wodą.

też, poprawiana od czasu do czasu, znakomicie została udoskonaloną.

Wynalazca zajęty był właśnie budową maszyny na wielką skalę, gdy współnik jego skutkiem nieszczęśliwych spekulacyi na wielkie straty został narażony tak, że ujrzał się w konieczności odmówienia dalszych nakładów.

Watt znowu popadł w nędzę poprzednią i potrzeba było silnego hartu duszy, ażeby nie upaść zupełnie.

Z biedy tej jednak wydzwignął go znowu człowiek nader bogaty i wpływowy.

Człowiek ten, któremu świat zawdzięcza wprowadzenie w użycie wynalazku Watta, nazywał się Mateusz Bulton „ojciec Birminchański“ jak go z uszanowaniem tytułowali współziomkowie.

Zawarł on spółkę z Watterem w r. 1773-im.

---

## B U L T O N.

---

Bulton przedstawia nam się jako człowiek zupełnie odmiennego od Watta usposobienia, lecz zdolności ich wzajemnie się uzupełniały.

Watt miał prawdziwie twórczą naturę, skłoną do samotnych rozmyślań i pracy samodzielnej, ale

wstrętą do wszelkiego niespokojnego rzucania się na polu handlowem, zwłaszcza w zakresie przedsiębiorstw.

Nieraz oświadczał, że milejby mu było stać na przeciw armaty naładowanej, aniżeli wdawać się w rachunki kupieckie i nigdyby nie osiągnął zysków pieniężnych ze swej pracy, gdyby nie współdziałał Bultona.

Bulton otrzymał wychowanie staranne od ojca swego, fabrykanta stali, a następnie rozwinął je pracą samodzielną.

Był przedewszystkiem kupcem w szerokim znaczeniu tego wyrazu, ale z zamiłowaniem oddawał się pracy umysłowej.

Połączywszy się z Wattem, zwrócił głównie usiłowania swoje ku temu, aby maszynę parową zużytkować jako dźwignię przemysłu swej ojczyzny.

Zadanie to nie było tak łatwem, jakby się na pozór zdawać mogło.

Potrzeba było niesłychanej cierpliwości i wytrwałości, aby zamiar tak piękny urzeczywistnić.

Wdzięczność kilkunastu tysięcy robotników, jacy jeszcze za życia Watta i Bultona znaleźli zajęcie przy jego maszynach, była dla nich największą nagrodą.

Długi szereg znakomitych mechaników przyczynił się do udoskonalenia maszyny parowej, która przechodzi siłą swoją wszystko, cokolwiek starożytni bajali o pracach cyklopów.

Dopiero wtedy, gdy już można było oddać maszynę na usługi przemysłu, wyzwolono ducha ludzkiego z pod jarzma tysiąca zajęć mechanicznych, ogłupiających.

W tem właśnie spoczywa korzyść i zaleta tej maszyny, chroniącej człowieka od prac, któreby go do rzędu machin poniżyć mogły.

Tym sposobem przez wydoskonalenie maszyny parowej położono podwalinę dla olbrzymiego przemysłu bawełnianego w Anglii.

---

## RYSZARD ARKWRIGHT<sup>1)</sup>.

---

Mężem, którego imię nazawsze połączone zostało z historią przędzalnictwa, był Ryszard Arkwright (wymawia się erkrajt) człowiek niskiego pochodzenia.

Chciano mu, tak samo jak Wattowi i Stephensovi odjąć zasługę wynalazcy, lecz niesłusznie; Arkwright jest w takim stosunku do przędzalni, w jakim Watt znajduje się do maszyny parowej, a Stephenson do lokomotywy.

Zabrał rozpierzchłe nici, które przedtem dowcipny pomysł nawiązał i sprzągnął je według obmyślonego planu w jedno całkowite ogniwo.

---

<sup>1)</sup> Wyraz angielski *arkwright*, znaczy budowniczy arki, cieśla.



Ryszard Arkwright, wynalazca przędzalni bawełnianej.

Ryszard Arkwright urodził się w r. 1732-im w Preston z rodziców ubogich.

Jako trzynaste z rzędu dziecko nie mógł korzystać z dobrodziejstwa nauki i zdobywać ją musiał sam własnymi siłami, dla tego też sztuka pisania do końca życia wiele pracy go kosztowało.

Ojciec oddał syna na naukę do balwierza, a po ukończeniu terminu założył mu golarnię, na szyldzie której młody Ryszard zawiesił napis: „Wstąpcie do podziemnego balwierza, goli po jednym penny od osoby.“

Przez kilka lat Arkwright prowadził golarnię, wreszcie porzucił swą piwniczkę i chwycił się zawodu perukarza wędrownego.

W owym czasie peruki były bardzo modne i stanowiły ważną gałąź zawodu golarskiego.

Podróżował więc Arkwright za kupnem włosów, szczególnie po jarmarkach, gdzie mu się też często udawało skłonić niejedną młodą dziewczynę do pozbycia się warkoczy za stosownem wynagrodzeniem.

Od dzieciństwa już Ryszard znajdował przyjemność w zatrudnieniach mechanicznych i poświęcał im wszystkie chwile wolne.

Z wielką usilnością pracował nad rozmaitemi modelami maszyn i, jak wiele umysłów twórczych tego rodzaju, przemysliwał nad wynalezieniem „perpetuum

mobile“, to jest przyrządu, któryby raz w ruch puszczony, nie ustawał nigdy.

Zajęciom tem oddawał się z takim zamiłowaniem, że zaniedbał przez to swe interesa, stracił pieniądze zaoszczędzone i popadł w wielką biedę.

Żona jego z niechęcią oddawna już spoglądała na tajemnicze przyrządy swego męża, głównie zaś na stratę czasu i pieniędzy trwonionych na fatalaszki mechaniczne.

Pewnego dnia, gdy Arkwright udał się do swego przyjaciela, w napadzie gniewu podruzgotała wszystkie modele, w których widziała źródło pieniężnej ruiny swego męża.

Powróciwszy do domu, Arkwright ujrzał nieszczęsne skutki i w pierwszej chwili opanowała go rozpacz i gniew bez granic.

Uspokoił się jednak po chwili i oświadczył, z bólem tajonym, zimno i spokojnie swej żonie, że popeliła wielką zbrodnię, której nigdy nie będzie w stanie jej przebaczyć.

Istotnie też wkrótce z tego powodu rozwiódł się z nią zupełnie.

W podróżyach swoich po kraju zapoznał się raz Arkwright z pewnym zegarmistrzem, nazwiskiem Kay, który mu niejednokrotnie udzielał rad i wskazówek przy budowie swego niemożliwego do wykonania „perpetuum mobile.“

Tenże sam Kay, jak to Arkwright przyznawał, pierwszy zwrócił uwagę na przędzalnię, a raczej na jej wydoskonalenie i wskazał mu w głównych zarysach zasadę przędzenia na przyrządach formy walcowej.

Arkwright przejęty do głębi tym pomysłem, przemyślał ciągle nad doprowadzeniem swego zamiaru do skutku.

Chcąc poświęcić się zupełnie tej nowej pracy, porzucił perukarstwo i zajął się gorliwie zbudowaniem modelu przędzalni ulepszonej.

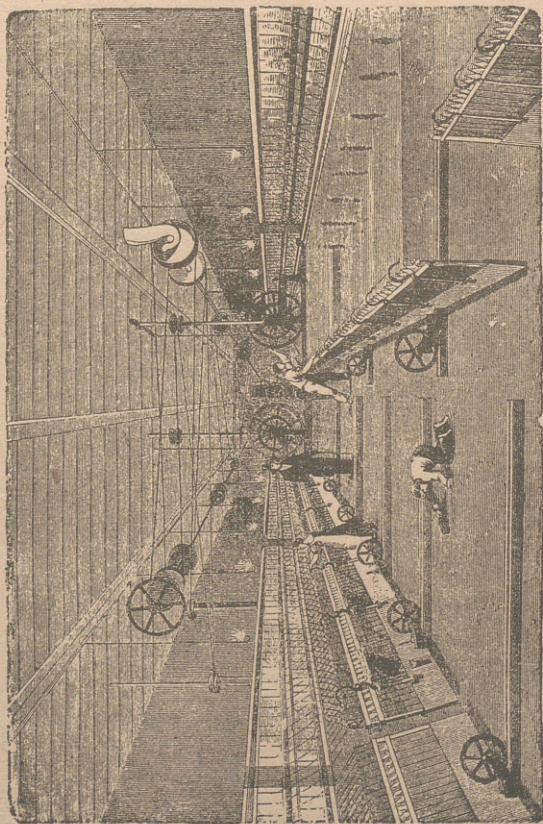
Pracę kilkunastu miesięcy uwieńczył nareszcie skutek pożądaný; model przędzalni nowego pomysłu ustawiony został w jednym z lokalów publicznych.

Arkwright był podówczas tak biednym, że raz, gdy obecność jego niezbędną była przy wyborach, musiano go jako tako od stóp do głów przyodziać.

Wystawienie modelu w miejscowości Preston, gdzie znaczna część robotników żyła z zarobku ręcznego, okazało się przedsięwzięciem niebezpiecznym.

Od czasu do czasu dawały się słyszeć odgróźki tłumowi niechętnego.

Przy sposobności wspomnimy tu, że na kilka lat przed wynalazkiem Arkwrighta, w r. 1763, Hargreaves obmyślił także przędzalnię mechaniczną i nazwał ją imieniem swej córki Joanny.



Przędzalnia bawełny Arkwrighta.

Pierwszy ten model wystawiony na widok publiczny został zniszczony przez robotników, którzy w nowej maszynie obawiali się szkodliwej konkurencji dla swej pracy.

Arkwright obawiał się, aby maszyna jego, ustawiona w Preston, nie została zniszczoną przez robotników miejscowych, szemrzących przeciw temu nowemu wynalazkowi, uznał więc za stosowne zapakować ją i przenieść w miejsce bezpieczniejsze.

W tym celu udał się do Nottingham, gdzie zamierzał zjednać kilku bankierów dla swego przedsięwzięcia.

Wskazano mu panów Strutt i Need, z których pierwszy wynalazł maszynę do cerowania pończoch.

Strutt szybko ocenił wyższość udoskonalonej maszyny i zawarł spółkę z jej wynalazcą.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym roku 1769-ym, kiedy Arkwright otrzymał patent wynalazku i Watt także uzyskał takiż patent na pierwszą maszynę parową.

Pierwszą przędzalnię bawełny, wprowadzaną w ruch siłą koni, urządzono w Nottingham, wkrótce potem druga poruszana wodą, zbudowaną została w Cramford, w hrabstwie Derby i z tego też powodu maszyna ta nazywaną jest w Anglii „water frame,” tj. wodne snowadło.

Trudności z jakimi Arkwright walczył jeszcze się nie skończyły, gdyż trzeba było wykończyć maszynę we wszelkich szczegółach.

I to jednak przemógł siłą woli.

Przez długie lata bieg przedsiębiorstwa był tak niekorzystny, że współnik Arkwrighta na seryo myślał o odstąpieniu od interesu.

Wśród tych wszystkich okoliczności Arkwright nie tracił nadziei.

Strutt, rozgniewany z powodu strat poniesionych, czynił wynalazcy gorzkie wyrzuty i to w obecności obcych osób.

Pewnego np. razu, trzymając w ręku garść przędzy, zawołał:

„Piękny materyał! pełen nierówności i węzłów.

Najprostszą babą lepiej to wykona na zwykłym kołowrotku.

I na tej maszynie pan Arkwright myśli dorabiać się majątku?“

Dzięki niez mordowanym usiłowaniom maszyna została udoskonaloną i nawet Strutt wyrażał się już o niej z coraz większym zadowoleniem.

Zamówienia na przędzę maszynową zaczęły nadpływać coraz liczniej, gdy w tem pewnego dnia tłum robotników, zbuntowawszy się, zburzył maszynę i całą fabrykę do szczętu.

Na dobytek złego dzięki najrozmaitszym intrygom Arkwrightowi odebrano patent wynalazku.

Pomimo to wszystko nieustraszony ten mąż nie zwątpił jeszcze i wkrótce potem w kilku punktach kraju zbudował nowe przędzalnie.

Wkrótce upłynął termin kontraktu ze Struttem i Arkwright sam nadal prowadził swe przedsiębiorstwa.

Wytrwała i niczem nie ugięta praca została nareszcie wynagrodzoną.

Fabryki rozwijały się z każdym rokiem do tego stopnia, że gdy w r. 1792 Arkwright rozstał się z tym światem, zostawił majątek wynoszący pół miliona funtów szterlingów, czyli około pięciu milionów rubli.

Ziściły się więc jego marzenia i nadzieje, że na maszynie tej dorobi się majątku.

Arkwright zarówno jak i Watt, wynalazca maszyny parowej, był człowiekiem niezmiernie czynnym i przemysłnym.

Żył i przął w zapomnieniu o wszystkim, co do jego zawodu nie należało.

Zarząd, kierownictwo i urządzenie fabryki tak go pochłaniały, że od 4-ej rano do 9-ej wieczorem bezustannie był zajęтым.

W chwilach wolnych starał się o uzupełnienie wykształcenia, którego zupełnie nie posiadał.

Mając lat 50 ślęczał całemi godzinami nad gramatyką, chciał bowiem wydoskonalić swój styl i pisownię.

Czas uważał za rzecz najdroższą i z tego też powodu, wybierając się gdziekolwiek za interesami, jeździł zawsze powozem w cztery konie zaprzężone.

Takim to sposobem człowiek niskiego rodu pracą jedynie i usilnością doszedł do tego stopnia pomysłowości i znaczenia.

Dzięki tej jego pracy miliony rąk ludzkich mają dzisiaj sposób do życia, a zarazem przysparzają bogactwa społeczeństwu, do którego należą.

---

## J A C Q U A R D.

---

Pomiędzy przemysłowcami francuskimi także znajduje się wielu, których samodzielność postawiła w rzędzie dobroczyńców swego kraju, a nazwiskom ich zapewniła sławę nieśmiertelną.

Zacznijmy od Jacquarda (wymawia się: *żakard*).

Historia wynalazcy tego wybitnie wykazuje wpływ, jaki ludzie zdolni w warunkach społecznych, nawet niezbyt przyjaznych, mogą wywierać na rozwój produkcyjny swego kraju.

Jacquard zawdzięczał życie biednym wyrobnikom, zamieszkałym w Lyonie.

Ojciec jego był tkaczem, matka zajmowała się układaniem deseni do warsztatów tkackich.

Zbyt biedni, ażeby mogli dać synowi wyższe wykształcenie, poprzestali jedynie na udzieleniu mu początków nauki pisania i czytania.

Gdy nadszedł czas wyboru rzemiosła, oddano go do introligatora.

Stary jakiś rachmistrz, który dopomagał jego ojcu w prowadzeniu ksiąg rachunkowych, udzielił mu kilka lekcyj i tym sposobem otworzył chłopcu nowe na przyszłość widoki.

Chłopak okazywał wielkie zdolności do matematyki, a spostrzeżenia jego trafne tak dalece zadziwiły starego rachmistrza, iż poradził ojcu, aby wybrał dla syna zawód odpowiedniejszy.

Oddano go więc do nożownika, ale ten tak się źle z chłopcem obchodził, że wkrótce odebrano go ztamtąd i oddano do gisera, odlewającego trzcionki drukarskie.

Po śmierci rodziców młody Jacquard objął tkacki warsztat ojca.

Przyrząd ten był mu dobrze znanym; dzieckiem bowiem będąc, musiał pomagać ojcu, jako *pociągacz*.

Praca to była zmusna i wzbudzała w nim odrazę.

Obecnie więc, gdy został panem warsztatu, postanowił go udoskonalić tak, ażeby tkacz sam mógł wykonywać robotę bez pociągacza.

Bez wachania zabrał się też do roboty i to z takim zapalem, że zaniedbał obstalunków i blizkim był ruiny majątkowej.

Sprzedził zatem warsztat cały dla opłacenia długów.

Z ożenieniem się przybyły i wydatki, wreszcie Jacquard tak dalece podupadł, że zmuszonym był sprzedać domek oddziedziczony po rodzicach.

Długo szukał zatrudnienia i nie mógł go znaleźć, uważano go bowiem za próżniaka i marzyciela, rzucającego się na niemożliwe odkrycia.

Po długim wyczekiwaniu znalazł nareszcie zajęcie u fabrykanta sieci rybackich w Bresse, żona zaś jego pracowała w fabryce kapeluszy słomkowych.

Tak upłynęło lat kilka, podczas których Jacquard nie ustawał w swych poszukiwaniach nad ulepszeniem warsztatu tkackiego.

W r. 1790 udało mu się wynaleźć przyrząd do oddzielania przędzy, dzięki czemu i cała praca została ułatwioną.

Wynalazek jego nie zaraz został przyjęty i długo pozostawał w ukryciu.

W skutek rewolucyi prace Jacquarda zostały przerwane.

W r. 1793-im widzimy go walczącym w szeregach ochotników Lyońskich przeciwko armii konwencyi, dowodzonej przez Dubois Cran.

Po wzięciu miasta Jacquard wyemigrował do armji reńskiej, gdzie się dosłużył stopnia sierżanta.

Możeby był został żołnierzem, lecz niestety, pewnego dnia w utarczce kula nieprzyjacielska przeszła głowę jedyne go syna.

Od tej chwili stan żołnierski stał się dla niego uciążliwym, powrócił więc do Lyonu dla odszukania żony.

Znalazł ją przy nieustannej pracy nad wyrobami słomkowemi.

W Lyonie długi czas ukrywał się przed oczyma ludzkiemi, a nie mając innego zatrudnienia, powrócił znów do swoich wynalazków ulubionych.

W pewnym czasie towarzystwo przemysłowe londyńskie ogłosiło w gazetach, że wypłacą 50,000 franków temu, kto obmyśli przedziałnię mechaniczną.

Jacquard, usłyszawszy o tem, w gronie kilku robotników niby od niechcienia z patyczków i nici złożył przyrząd, który zachwycił obecnych, poczem dodał:



Józef Marya Jacquard, wynalazca maszyny do przędzenia.

„Prawdziwie ci anglicy widocznie za dużo mają pieniędzy, skoro za lada głupstwo mogą ofiarować tak znaczne sumy.

Wygrałem ich 50 tysięcy franków!“

Rozgłos o wypadku tym przybrał tak wielkie rozmiary, iż wkrótce potem prefekt departamentu wezwał go do siebie, zażądał objaśnień dotyczących nowego wynalazku, a otrzymawszy je przesłał do Paryża.

Napoleon Bonaparte był podówczas pierwszym konsulem i zajmował się wielce sprawami przemysłowemi Francji.

Obawiając się, aby pomysł przedzalni mechanicznej istotnie nie został sprzedany anglikom, wezwał Jacquarda do Paryża.

Jeden z biografów tego wynalazcy w następujący sposób opisuje ową ważną chwilę w życiu wynalazcy warsztatu, nazwanego później jego nazwiskiem:

W towarzystwie prefekta lyońskiego Jacquard przybył do Paryża i bezwłocznie wprowadzony został do gabinetu ministra Carnot'a.

Carnot sądził, że zobaczy przed sobą jakiegoś wyniosłego samouka i zdziwił się wielce, ujrzawszy potulnego człeczynę, jakim był nasz Jacquard.

„Ach!“ rzekł Carnot, mierząc od stóp do głów pocziwego Jacquarda, „więc to ty jesteś tym, który podjął się rozwiązać zadanie uznane za niemożliwe do rozwiązania?“

Chcesz nawiązać węzeł na wyciągniętym sznurze?"

W odpowiedzi na to Jacquard szybko złożył swój model i licznemu otoczeniu ukazał próbę, w jaki sposób można wykonywać czynność tkania, bez pomocy robotników, jak to czyniono dotychczas na warsztatach zwyczajnych.

Obecny przy tem doświadczeniu Napoleon wyzna-  
czył Jacquardowi 6,000 fr. rocznej pensyi, zastrzegając,  
że wynalazek zostanie własnością państwa.

Wezwanie ogłoszone w Monitorze w r. 1810, będąc podobno pomysłem Napoleona, miało na celu nie-  
tylko rozwój przemysłu, ale i cele ściśle polityczne.

Nie chodziło tu jedynie o ulepszenie przędzy lnia-  
nej, ale o zgębienie przemysłu angielskiego.

Ponieważ kwestya ta, w owym czasie bardzo waż-  
na, do dzisiejszych dni jest interesującą, zaznaczymy  
ją więc nieco obszerniej.

Dawniej używano na płótno prawie wyłącznie  
tkanin lnianych, wyrabianych na warsztatach ręcznych,  
mniej więcej takich samych, jakie dziś jeszcze spoty-  
kamy po wsiach, w mieszkaniach naszych włościan.

W początkach 17-go wieku zaczęto sprowadzać  
z Indyj bawełnę, która powoli wypierała len z ryn-  
ków targowych.

Anglicy pierwsi wynaleźli sposób przędzenia ba-  
wełny i wyrabiania z tej przędzy tkaniny, które od

miejsowości, gdzie były wyrabiane, nosiły rozmaite nazwy.

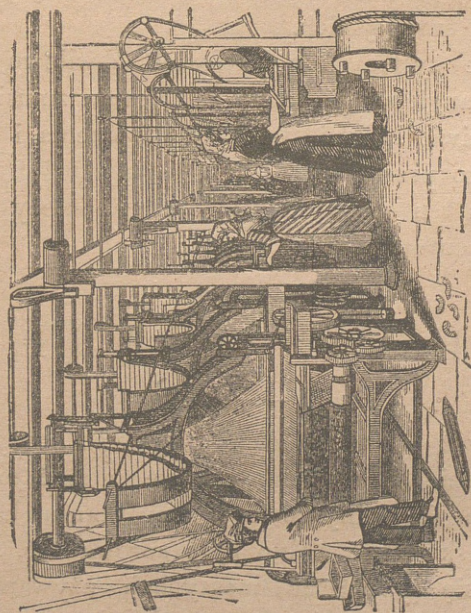
I tak Arkwright w r. 1769-ym wynalazł maszynę mechaniczną do przędzenia bawełny, Watt zaś w tymże samym roku maszynę parową, która została zastosowaną do nowej przędzalni.

Od tego czasu Anglija w dwóch kierunkach oparowała wszystkie rynki Europy: po pierwsze, ona jedna tylko sprowadzała z Indyj bawełnę, której plantacye znajdowały się wyłącznie prawie w rękach angielskich, po drugie zaś, dzięki ciąglem ulepszeniom maszyn, Anglicy wyrabiali najlepsze tkaniny bawełniane i zalewali niemi rynki europejskie.

We Francyi również powstało kilka fabryk tkackich, pokrywających pewną część potrzeb miejscowych, lecz fabryki te musiały sprowadzać materyał surowy, t. j. bawełnę lub przędzę bawełnianą z Anglii, jak się to dzieje dotychczas.

Francuzi po dawnemu hodowali na polach swoich len i wyrabiali z niego tkaniny na warsztatach pierwotnych, później zaś na ulepszonych warsztatach Jacquarda.

Kiedy Napoleon, pokonawszy Europę środkową, miał jedynie do zwalczania Angliję, największą swą nieprzyjaciółkę, wówczas chwycił się środka, mającego na celu zniszczenie przemysłu angielskiego, a miano-



Maszyna Jacquarda.

wicie zmusił wszystkie państwa europejskie do t. zw. systemu kontynentalnego, polegającego na tem, że do Europy nie wolno było sprowadzać żadnych bez wyjątku towarów, któreby albo pochodziły z Anglii, albo nawet za jej pośrednictwem sprowadzane były z kolonji po za europejskich.

Istotnie system ten zachwiał chwilowo potęgą przemysłu angielskiego, a co ważniejsza, zmusił Europę, a właściwie łąd jej stały, do tworzenia i rozwijania własnego przemysłu.

Ostatni ten cel wymagał pewnej pomocy ze strony rządów europejskich.

---

## F I L I P G I R A R D.

---

Ponieważ po wprowadzeniu systemu kontynentalnego na łądzie europejskim dał się odczuć ogromny brak tkanin, (bawełny bowiem, ani tkanin bawełnianych angielskich nie wolno było sprowadzać, len zaś nie dawał się prząść na maszynach używanych do przędzenia bawełny) dlatego to Napoleon wyznaczył aż milion franków nagrody temu, kto wymyśli maszynę mechaniczną do przędzenia lnu:

Rozwiązanie tego zagadnienia przypadło w udziale Filipowi Girard (wymawia się: *zirard*).

W ciągu miesiąca zbudował model maszyny żądanej, przywiózł go do Paryża i d. 18-go lipca 1810-go roku otrzymał nań list przyznania wynalazku, czyli jak dzisiaj nazywają patent.

Sędziowie wezwani do sądenia nowej maszyny przyznali jej wszelkie zalety i warunki do spełnienia celu wskazanego, twierdzili nawet, że metoda przędzenia została na maszynie Girarda znakomicie ulepszoną.

A jednak mimo to wszystko, skutkiem wpływów postronnych, oraz intryg, których pełno było na dworze Napoleona, nie otrzymał Girard przyrzeczonego milijona.

Dostali go częściowo mechanicy, protegowani przez osoby blisko dworu stojące, które, przywłaszczywszy sobie pomysł Girarda, poczynili w nim tylko niejakie zmiany drobne, nie zmieniające w niczem właściwej zasady, która była wyłącznym pomysłem Girarda.

Zniechęcony niepowodzeniem, genialny wynalazca opuścił chwilowo ręce i rok cały spędził w Paryżu beczynnje.

Po upływie pewnego czasu bracia Girard postanowili sami eksploatować wynalazek Filipa.

W roku więc 1812 założyli w Paryżu na ulicy Moslay pierwszą przędzalnię lnu, a gdy ta się doskonale rozwinęła, wnet urządzili drugą przy ulicy Charanne.

Obie fabryki cieszyły się bardzo wielkiem powodzeniem, kiedy nagle nastąpiła katastrofa.

Klęska Napoleona w r. 1814-ym spowodowała upadek przemysłu francuzkiego, który dopiero co zaczął wydobywać się z powijaków.

Towary angielskie, przez długi czas wytrzymywane w składach, pojawiły się na rynkach, a niska ich cena uniemożliwiła konkurencyę towarów francuzkich.

Tysiące fabrykantów i kupców zbankrutowało, a między innymi i Filip Girard, który za długi osadzony został z więzieniu.

Pomimo tych wszystkich przeciwnieństw jego duch wynalazczy nie zaprzestał pracy ani na chwilę.

Kiedy bowiem armije sprzymierzone maszerowały ku Paryżowi, Girard wymyślił maszynę, mogącą wyrzucać 60 pocisków na minutę.

W tym samym czasie Napoleon po powrocie swoim z Elby, kazał rozpatrzyć jeszcze raz sprawę Girarda, a mianowicie, czy istotnie należy mu się ów przyobiecany milion za wynalezienie pierwszej maszyny przędzalnej.

Sprawa wypadła na korzyść Girarda.

Niestety, zanim wypłacono mu tak pożądaną sumę, Napoleon został pobity pod Waterloo.

Ludwik XVIII, uważając zaś rozporządzenia Napoleona za czyny rewolucyjne, nie poczuwał się do

obowiązku płacenia długów, zdetronizowanego i wygnanego cesarza.

I tym więc razem Girard nic nie zyskał, chyba tyle tylko, że wypuszczono go z więzienia i zezwolono mu na uregulowanie długów.

Zaraz po wstąpieniu na tron Ludwika XVIII-go Girard znowu udoskonalił maszynę i przedstawił ją rządowi, lecz i tym razem bezskutecznie.

Równocześnie otrzymał wezwanie od rządu austriackiego, aby czemprowadzić w sprawie swych wynalazków przybył do Wiednia.

Przedstawiony cesarzowi austriackiemu, założył przedsiębiorstwo w Wiedniu, przenosząc w ten sposób pożyteczny wynalazek na obcą ziemię, gdy go własna ojczyzna nie przyjęła.

Dziwnie plotły się losy Girarda; bo kiedy w Austrii oceniono i w praktykę wprowadzono jego maszynę, we Francji komisya uznała ją za nieodpowiednią celowi, a nawet potępiła ją jako psującą len, oraz wyrabiającą przedzę wadliwą.

Postanowiono też, że model Girarda nie zasługuje na to, aby go tak, jak inne przechowywano w konserwatorium sztuk i rzemiosł.

Girard tymczasem rozwijał z powodzeniem fabrykę przędzy lnianej, założoną pod Wiedniem w Hirtenbergu, zajmując się równocześnie ważnymi wynalazkami.

Wtedy to Girard podał myśl kotłów t. zw. tubularnych, które były zastosowane najprzód do machin parowych na statkach żeglujących po Dunaju, i które, uległszy różnym modyfikacyom, wkrótce potem powszechnie zostały przyjęte.

W r. 1827-ym Girard powołany został z Austrii do Królestwa Polskiego.

Ówczesny minister skarbu, ks. Lubecki, pragnąc rozwinąć przemysł krajowy, a mianowicie górnictwo rządowe, postanowił korzystać z talentu Girarda w tem ważnem dla kraju przedsiębiorstwie.

Mianowany naczelnym inżynierem w tej gałęzi służby, Girard pełnił te obowiązki przez czas dosyć długi, kiedy górnictwo przyszło pod zarząd Banku. Przedsiębiorca miejscowy Steinkeller, również gorliwy o rozwój w kraju przemysłu, podjąwszy się osuszenia kopalń Olkuskich, mających dostarczać galman do hut cynkowych w Dąbrowie, wezwał do pomocy Girarda, który obmyślił sposób wypompowywania wody ze wspomnianych kopalń.

Między wielu innymi pomysłami, jakimi się odznaczał przedsiębiorczy umysł Girarda, wspomnieć należy fortepian, którego wadliwy mechanizm nie uszedł uwagi znakomitego mechanika.

Wiadomo, że już wielu ludzi fachowych kusilo się o nadanie temu instrumentowi, zajmującemu w rzę-

dzie instrumentów muzycznych najwybitniejsze miejsce tonu, któryby według woli lub potrzeby przedłużać można, czego brak dotąd stanowi ujemną stronę fortepianu.

Otóż Girard postanowił niedostatek ten usunąć i w tym celu, obmyśliwszy plan odpowiedni z ówczesnym fabrykantem Zrodowskim, zbudował instrument, którego młoteczki przy klawiszach, wprawiane w ruch za pomocą oddzielnej maszyny, miały ten cel osiągnąć.

Fortepian ten nie odpowiadał wprawdzie żądaniu, lecz dał świadectwo, że Girard nawet w gałęziach obcych dla niego szukał urzeczywistnienia myśli nowych, których duch jego był pełen.

Podczas pobytu w Królestwie, Girard wykonał chronometr dla Banku, wynalazł przyrząd do wytłaczania i ulatniania soku buraków, ulepszenia w wyrobie strzelb, koło hydrauliczne do użytkowania przy wielkich spadkach wody i wiele innych.

Najważniejszą pamiątkę w kraju naszym pozostawił Girard po sobie zbudowaniem na żądanie Banku fabryki Inianej, w pobliżu miasteczka Ruda Guzowska.

Fabryka ta nazwana od jego nazwiska *Żyrardowem* prosperuje do dnia dzisiejszego z wielkim pożytkiem dla przemysłu krajowego.

W fabryce tej Girard zastosował przędzalnię własnego pomysłu, z biegiem czasu zmodyfikowane i ulepszone.

Pomimo tak wielkiej czynności i ruchliwości, czy to we Francyi, czy zdala od swej ojczyzny, niepowodzenie wszędzie ścigało kroki niespracowanego Girarda.

Od początku do końca zawodu ubóstwo było nieodstępnym jego towarzyszem.

Po 18-tu latach pobytu w Królestwie Polskiem stary i zmęczony ciągłemi wysiłkami, opuścił Warszawę i wrócił do Francyi, aby złożyć swe kości na rodzinnej ziemi.

Umarł spokojnie w r. 1843-im, przeżywszy lat 70 w trudach nieustannych, nie nagrodzony za nie według zasługi, nie doczekawszy się też pociechy, aby ziomkowie własni uznali w nim gienijusz wynalazczy, nie otrzymawszy nagrody cesarskiej, o której marzył do śmierci, wiedząc, że mu się ona słusznie należała.

A jednakże z jego usilnej, niezmordowanej pracy mają niewyczerpane źródło dochodów właściciele fabryki przędzalni w Żyrardowie, osadzie powstałej na miejscu pierwszej fabryki założonej przez Żyrarda, gdzie kilka tysięcy pracowników ma stałe zajęcie i stałe utrzymanie.

Nie jeden z tych pracowników nie ma nawet może pojęcia, z kąd powstał zakład olbrzymi w Żyrar-

dowie, kto go założył i jak wiele wysiłków kosztowało, nim położono pierwszy kamień pod obecny gmach olbrzymi, rozrastający się coraz potężniej.

---

## BENJAMIN FRANKLIN.

---

*Benjamin Franklin* <sup>1)</sup>, to wzór pracy i potęgi ducha ludzkiego.

Urodził się w Bostonie w Ameryce Północnej r. 1706 z ubogiej, pracowitej i uczciwej rodziny, a zmarł 1790 r.

Ojciec jego i bracia byli zwykłymi robotnikami i zdawało się, że i Benjamina też sama przyszłość czeka.

Jednakże gorąca chęć do nauki we wczesnem dziecięctwie okazana, zbudziła w ojcu zamiar obleczenia go w sukienkę duchowną.

I aby go przygotować, oddano go do szkółki, lecz po roku spostrzegł się ojciec, iż wychowanie syna kosztuje za drogo; odebrał go ztamąd i posłał do tańszej szkoły, w której nauka nie sięgała po nad czytanie, pisanie i początkowe rachunki.

---

<sup>1)</sup> Franklin znaczy po polsku wójt, starosta i wymawia się: frenklejn.



Benjamin Franklin, wynalazca konduktora, czyli piorunowodu.

Gdy skończył rok dziesiąty, ojcu wydało się, że syn dosięgnął już należytego szczebla wykształcenia i zapędził go do pracy w swym warsztacie lichtarzy.

Dziecku nie podobało się to zajęcie, żywa wyobraźnia pędziła go na morze; pociąg do czytania wzrastał z dniem każdym.

Nieznane krainy ludziły i drażniły; dzieje świata i podróże paliły ogromem piękna ten wrażliwy umysł.

Za drobny grosz, jaki posiadał, kupował książki, pochłaniał dzieła, jakie znajdowały się na półce ojca, między którymi znalazł dwa, które go zachwyciły najwięcej i wywarły wpływ stanowczy na całą przyszłość, były zaś niemi:

Żywoty Plutarcha i Badania Pomysłów przez de Foë, autora Robinson Kruzue.

Badania zastanawiały się nad wszelkimi zmianami, mogącemi ulepszyć stan społeczeństwa nowożytnego.

Łatwo pojąć wpływ, jaki wywarły te dzieła na bystry umysł i gorącą wyobraźnię młodego Franklina i jak rozwinęły w nim to zamiłowanie wynajdowania ciągłych ulepszeń, którego nie porzucił przez całe swe życie.

Ojciec, widząc to namiętne zamiłowanie do książek, postanowił po długich ociąganiach oddać go na naukę do drukarni, pomimo, że jeden z jego synów poświęcił się już tej sztuce.

Dwunastoletni Benjamin wszedł w służbę do swego brata, pod warunkiem, że aż do 21-go roku pracować będzie bezpłatnie.

Wkrótce Franklin posiadał niepospolitą biegłość w nieznanem rzemiośle.

Znajomości, jakie koniecznie musiał zawierać z subiektami księgarń, ułatwiały mu możliwość czytania i pożyczania książek, które zawsze najsumienniejsz od-  
dawał nie chybiając terminu.

Drukarza nawiedzał często pewien kupiec, posiadający przeszliczną bibliotekę i ocenił szlachetny popęd Benjaminą; zaprosił go do siebie, a oprócz książek nie skąpił rozsądnej rady.

Wtedy w młodzieńcu obudziła się chęć tworzenia wierszy i napisał mnogą ich ilość.

Starszy brat, w chęci skorzystania z talentu młodego brata, namówił go do dalszego rymotwórstwa i dwie z jego ballad, które Franklin sam nazywał obrzydliwemi, drukował.

Brat wysłał go z balladami na miasto celem ich sprzedania.

Jedną zyskała nadszpodziewane powodzenie, co pochlebiło jego dumie własnej; lecz ojciec, człowiek rozsądny i dosyć wykształcony, wykazał mu wszystkie słabe jej strony.

W tym czasie wpadł mu do rąk dziennik angielski „Spectator.“

Nic podobnego dotąd nie widział Franklin; ten dziennik zachwycił go, odczytywał go więc po kilkakroć i postanowił naśladować styl poprawny.

By zamiarowi uczynić zadość, codziennie przerabiał ustęp wybrany, chował go, później poprawiał, porównywał z oryginałem i znowu błędy prostował i jeszcze przerabiał na wiersze i znowu na prozę.

I oto, co mu nadało łatwość i wdzięk pisma w nieskończonej liczbie drobnych utworów, w których najzdrowszy morał podany jest w uroczej formie.

A pracował w chwilach wolnych od zajęć, to jest rano i wieczorem do późnej nocy, po ukończeniu obowiązującej roboty.

W życiu był nadzwyczajnie skromnym i nieraz objad jego składał się z chleba, suchych winogron i szklanki wody; za zyskane oszczędności zaś kupował książki.

Sam studyował arytmetykę i geometryę i doszedł tak wysoko, iż mógł czytać dzieła naukowe żeglarskie, a wszystko to bez nauczyciela lub przewodnika.

Opowiadamy te szczegóły jedynie dla tego, aby dowieść, że człowiek, mający moc charakteru i wytrwałość, może dojść zawsze do zamierzonego celu.

Pierwsze próby tak ciężko zdobytej wiedzy są nie mniej oryginalne.

Brat, u którego pracował, założył dziennik.

Do redakcyi schodziło się wiele ludzi wykształconych, a Franklin przysłuchiwał się uważnie ich rozmowom, krytyce i pochwałom różnych prac.

Owładnęła nim chęć publicystyki i w tajemnicy napisał kilka artykułów, które bez podpisu wrzucał do skrzynki redakcyjnej.

Wydrukowano je wszystkie, oddając zasługi nieznanemu autorowi.

Benjaminowi sprawiało to przyjemność, iż go chwਾਲono w oczy, nie podejrzewając najzupełniej, że to jest jego pióra dzieło.

Niedługo, wskutek nieporozumień zaszłych między nim i bratem, porzucił go.

Starszy brat tak niegodziwie go bezcześcił wszędzie, iż w żadnej drukarni Bostońskiej nie znalazł miejsca.

W trzy dni później był już w New-Jorku, o trzydzieści mil od domu rodzicielskiego, w siedemnastym roku życia, bez listów rekomendacyjnych, nie znając nikogo w mieście i prawie bez grosza.

W New-Jorku nie dostał roboty, podążył więc do Filadelfii, w której mieszkało dwóch drukarzy.

Pierwszy odmówił mu zajęcia, drugi zatrudnił go.

Zawsze skromny i wtrzęmięzliwy, żył Benjamin szczęśliwie.

Radosnym zbiegiem okoliczności, poznał się z nim Sir Wiliam Keith, rządca prowincyi, a chcąc otworzyć drukarnię na własny rachunek, jemu zaproponował kierownictwo i podróż do Anglii, celem przywiezienia koniecznych materyałów.

Franklin zgodził się.

Po krótkim pobycie w Bostonie, dokąd podążył, by krewnych pożegnać, wrócił do Filadelfii, gdzie odpłynął zaopatrzony w listy polecające gubernatora.

Przybywszy do Londynu, przekonał się, że listy te nie mają najmniejszego znaczenia.

I znalazł się znowu w kraju nieznanym, wśród obcych ludzi, bez znajomości i z nadzwyczajnie drobną kwotą pieniężną.

Bez nadziei przyszłości i w niewiadomości, czem dzień dzisiejszy opędzi, poszedł smutny i zamyślony do drukarza, który go zatrudnił dni kilka, a potem nowe starania o nową robotę.

Tym razem jednak poczuł i uznał potrzebę stosowania swego prowadzenia do stałych zasad surowszych niż dotąd.

Nie tylko że tam poddał się zmianie, lecz wpływał jeszcze na swych towarzyszków, zalecając im: trzeźwość, skromność, oszczędność, porządek, a słowom wtórowały czyny jego.

To postępowanie zjednało mu pewne uznanie wyższości i co więcej warto jeszcze, szacunek prawdziwy.

Namawiano go, by został w Anglii, lecz chęć ujrzania raz jeszcze swej ojczyzny przeważała.

Franklin oszczędzał, by choć z maluczkim zasobem wrócić do ojczyzny, to było jego dumą i ambicyą i od tej chwili prócz książek i teatru nie znał innych przyjemności.

Nakoniec powrócił do Filadelfii.

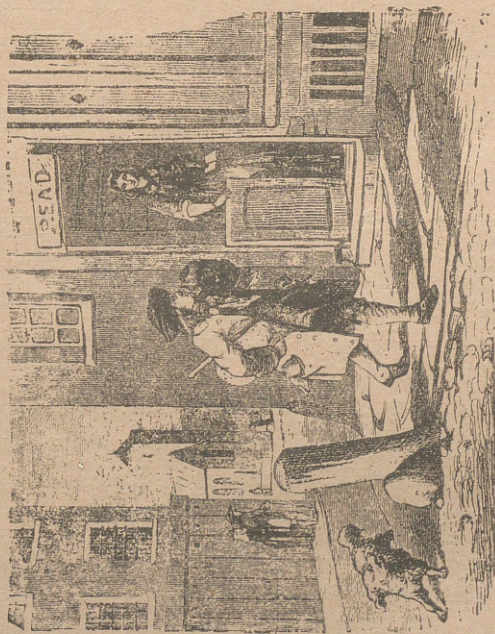
Napróżno szukając zajęcia w jakim biurze, wstąpił do drukarza, u którego pracował przed swym wyjazdem do Europy; lecz teraz warunki były daleko korzystniejsze.

Niedługo po tem jeden z dawnych towarzyszków namówił go, by wspólnie założyli drukarnię na siebie.

Franklin, wniósł do spółki pracę i znajomość rzeczy, a jego towarzysz: pieniądze i próżniactwo.

Lenistwo współnika obudziło podwójną pilność Franklina, pracował od rana do późnej nocy, nie zażywając wywczasu, jeżeli dobrowolnie naznaczonej pracy nie wykończył.

Tutaj właściwie zaczyna się jego działalność publiczna, a jeżeli przyszłość jego więcej ma rozgłosu, to już ta walka o byt, ten krwawy pot trudu, to wyniesienie się drogą uczciwości i wytrwania w każdym niezeputym umyśle zyska mu szacunek i hołd należny.



Benjamin Franklin przybywa do Filadelfii.

Między najszczytniejszemi postaciami, błyszczącemi w krainie sławy, nie znajdziemy prawdopodobnie wielu, któreby tak z niczego umiały się stworzyć.

By zasadam i celom swoim szersze nakreślić koło, Franklin urządził tygodniowe zebrania ludzi naukowych, by wspólnie radzić nad rzeczami tyczącemi się polityki, filozofii i fizyki.

Każdy z członków obowiązany był czytać raz na miesiąc rozprawę obranej treści.

Zakupił dziennik, w którym rozwijał swoje zasady; każdy artykuł odznaczał się głębokością myśli i poprawnością stylu.

Gdy wspólnik porzucił przedsięwzięcie, Franklin, nie znajdując przeszkód, szybko podniósł majątek.

Znając dobrodziejstwo książek z doświadczenia, założył towarzystwo literackie, a później, by rozpowszechnić zasady uczciwości i moralności, zaczął wydawać w r. 1732 „Rocznik pocziwego Ryszarda“<sup>1)</sup>.

W roczniku tym podawał i dowodził praw najzdrowszych i najszlachetniejszych.

Tak więc wszędzie i zawsze, pożytek z cnotą szedł w parze.

W r. 1736 został Franklin wybrany na posła

---

<sup>1)</sup> L'Almanach du bonhomme Richard.

zgromadzenia głównego w Filadelfii, a w następnym roku powołano go na korzystną posadę dyrektora poczt w temże mieście.

Miasto zawdzięcza mu zaprowadzenie straży ogniowej stałej, aż dotąd nieznannej.

W r. 1744 w czasie wojny francusko-angielskiej, Indianie grozili Pensylwanii napadem.

Na wniosek Franklina stanęła obrona krajowa zbrojna w liczbie 10,000 żołnierza.

Chciano mu powierzyć dowództwo, lecz odmówił.

Myśli jego pochłonęła wieść nowa.

Otrzymano w Filadelfii wiadomość o doświadczeniach elektryczności, wprawiających w podziw świat uczony całej Europy.

Franklinowi powierzono sprawdzenie tych doświadczeń, a on je nietylko sprawdził, lecz je także ulepszył.

On to pierwszy wpadł na pomysł sprowadzania piorunów na ziemię.

Zabawka dziecinna pomogła do rozwiązania i urzeczywistnienia śmiałego zadania.

Do zwykłego balonu przywiązał klucz i trzymając za sznur, puścił go podczas burzy w powietrze.

Gdy deszcz zmoczył sznur, metal zajaśniał iskrami błyskawic; był to dowód, że żelazo ściągnęło pioruny w powietrzu drzemiące.

Gdyby sznur był zanadto zmoczony, życiem przypłaciłby Franklin to doświadczenie.

Nie znalazł by się prawdopodobnie nikt, któryby nie zadrzał przed niebezpieczeństwem, lecz Franklina ożywiła nadzieja ochrony ziemi od wypadków piorunowych.

Te piękne i wielkie doświadczenia nie przeszkodziły Franklinowi, by w chwilach wolnych nie zajmował się gorąco polepszeniem stanu swych współziomków.

W r. 1750 wypracował plan oświaty publicznej i założył szkoły drogą składek.

Prócz genijuszu wynalazczego, nie odmówił Pan Bóg Franklinowi zdrowego rozsądku spożytkowywania cudzych, a użytecznych pomysłów i ulepszeń.

Tak powstał z jego inicjatywy, a z ofiar dobrowolnych szpital i zakład dla ubogich i chorych.

Sprawy publiczne nie przeszkadzały mu w sprawowaniu obowiązków urzędowych.

A tak sumiennie i dobrze wywiązywał się z obowiązków dyrektora poczty w Pensylwanii, że w 1753 r. powołano go na posadę dyrektora jeneralnego.

Wojna francuzka naraziła koloniję na ogromne wydatki i niepodobna było ich zaspokoić zrazu; Franklina więc wysłano do Londynu, aby stosunki pieniężne wyrównał.

Po zadawalniającem załatwieniu sprawy pozostał jeszcze czas jakiś w Anglii, jako pełnomocnik stanów Pensylwanii, a wkrótce okazane zdolności i znajomość rzeczy, zyskały mu takiż sam urząd przy wielu państwach.

Pobyt zagranicą pozwolił mu się oddać zajęciom naukowem.

Zawarł stosunki z uczonymi i został powołanym na członka najpierwszych akademii europejskich.

W lecie 1762 r. powrócił do Ameryki.

Lecz nowe kwestye i nieporozumienia wynikłe w r. 1764 powołały go raz jeszcze jako posła pełnomocnika Pensylwanii do Londynu.

Skarb ojczyzny wielce był zagrożony.

Koszta ostatniej wojny z Francją dobiegły tak szalonych rozmiarów, że nie wiadomo było, jak je zaspokoić.

W tym kłopotcie ogromną ich część chciał minister zrzucić na barki Amerykanów.

By zamiarowi uczynić zadość, wydał rozporządzenie, mocą którego wszystkie artykuły handlu wywozowego z kolonii podlegały opłatom celnym.

Stany związkowe zawrzały gniewem, położyły swe veto i nie zgodziły się na to, by obcy parlament narzucał im swe prawa i rozporządzał ich miernem.

Nie odmawiały one współudziału, lecz słusznie żądały, by im zostawiono własne uchwały.

Gdy Anglii nie uwzględniono wniosku, utworzył się związek, nie przyjmujący najzupełniej towarów angielskich, dopóki kolonia nie zyska prawa niepodległego.

Po zmianie ministeryalnej, Franklin bawiący wtedy w Londynie, powołany został przez izbę gminu (izbę niższą) dla dania potrzebnych objaśnień co do stanu krajów zjednoczonych.

Uczył zadość żądaniu, a to z taką jasnością i tak rozumnie, że wywód ten wywarł ogólne wrażenie.

Przemysł, administracye, finanse, stan polityczny przedstawił umysłowi słuchaczy tak rozumnie i wy-czerpująco, a to z taką prostotą, że nikt przeczyć nie ośmielił się.

Minister odwołał prawo cła i stempla, chociaż to było więcej ustępstwem dla gienijalnego obrońcy, niż oddaniem słuszności zasadzie, gdyż w gruncie rzeczy Anglii przysługiwało prawo wszelkich rozporządzeń.

O tę zasadę szło głównie dumnej Brytanii.

Polityka nakazywała uwzględnić żądania Ameryki, lecz potrzeba pieniędzy i, co najwięcej, obrażona duma angielska wzięła górę nad rozsądkiem i kanclerz wznowił prawa nad handlem wywozowym herbaty, papieru, farb, i t. p.

Amerykanom nie zostało nic innego, jak wyrzeczenie się najzupełniej towarów angielskich.

Opór stał się ogólnym.

Starano się burzę zażegnać, stosując podatkowe przepisy tylko do herbaty.

Zastrzeżenie to rozdrażniło ludność bardziej jeszcze i wrzucono herbatę do morza.

Użyto środków surowych, a przybycie siły zbrojnej wywołało powstanie.

Zachowanie się Franklina w tym wypadku zasługuje na najwyższe uznanie i zajęcie, gdyż, stojąc ciągle po stronie swych rodaków i ani na chwilę nie odstępując od chorągwi prawdy, starał się pokój przywrócić.

Kolonijom oddawał usługi przez swe stosunki, znajomości, rady nie skąpił, rozsądek budził, hamował namiętności, pragnął przejednać Angliję, przedstawiając w rzeczywistości światle ministrom stanowisko i potrzeby Ameryki; lecz ile razy dojrzał jakiś zamiar ze szkodą swych współziomków, ostrzegał ich o tem.

Najważniejszym wypadkiem było przesłanie w roku 1773 wielu listów oryginalnych, pisanych przez gubernatora głównego (generalnego) do namiestnika.

Ogłoszenie tych listów, w których o Amerykanach wyrażano się z najbrudniejszą pogardą, wyrodziło gniew i oddaliło stanowczo wszelką myśl pojednania.

Zemsta spadła na głowę Franklina.

Rząd wytoczył śledztwo, aby się dowiedzieć jakim sposobem listy te dostały się do jego rąk i odjęto mu urząd dyrektora poczt w Ameryce.

Widząc, że wszelkie pokuszenia do zgody na nic się nie zdadzą, podążył dzielić dobre i złe losy ze swymi rodakami.

Przybył do Ameryki na początku 1775 r. kiedy wojna szeroką łuną pożarła Stany Zjednoczone.

Nazajutrz po przybyciu wybrano go na deputowanego Pensylwanii na kongres ogólny.

Udział jego w obradach kongresu był stanowczy i znakomity.

W następnym roku wysłano go do Kanady, by mieszkańców tamtejszych przyłączyć do ligi innych stanów.

Nakoniec, gdy się przekonał, że pojednanie stało się niepodobnem, ogłoszono niepodległość dnia 2 Lipca 1776 r.

Tak do tego dzieła jak i do podtrzymania go w całej sile najwięcej przyczyniał się Franklin.

Pierwszą potyczkę po ogłoszeniu niepodległości stoczono z Anglikami nad rzeką Hudson i ta wypadła niepomyślnie dla Ameryki.

Jenerał, korzystając z wygranej, wezwał do złożenia broni, przyrzekł amnestyę i wezwał nieprzyjacie-

la, by wysłał trzech posłów dla wspólnego naradzenia się nad koniecznością przywrócenia pokoju.

Franklin był jednym z trzech komisarzy.

Narady nie doprowadziły do skutku.

Zwycięstwo chyliło się wciąż na stronę Anglików i gdyby nie nadludzkie wysiłki Waszyngtona, sprawa niepodległości przepadłaby na zawsze.

Zrozumiano, że pomyślny los wojny zależy od pomocy państw wielkich europejskich i rzucono się w objęcia Francji.

By dalej prowadzić rozpoczęte rokowania udał się Franklin do Paryża w końcu 1776 r.

Skutek odpowiedział zamiarom.

W r. 1778 Francja zawarła przymierze ze Stanami Zjednoczonymi, uznanymi jako państwo niepodległe.

Francję naśladowała Szwecya i Prusy.

Franklin pozostał lat kilka jeszcze we Francji jako minister-pełnomocnik.

Mieszkał w Passy, rozkosznej willi pod Paryżem i tylko dla ważnych spraw jeździł do stolicy.

W Passy napisał najznakomitsze swoje rozprawy w rodzaju Spectatora.

Choroba zbudziła tęsknotę do kraju, który jeszcze raz przed śmiercią pragnął zobaczyć i pojechał tam w 1785 roku.

Przyjazd jego do Ameryki był prawdziwym tryumfem.

Mieszkańcy Filadelfii i okolic zgromadzili się tłumnie i błogosławili twórcy i rycerzowi wolności.

Franklin zajął swe miejsce w zgromadzeniu prowincjonalnem i dwa razy był wybrany na prezesa.

Lecz w r. 1788 starość i niemoc, zmusiły go do porzucenia urzędów.

Resztki życia poświęcił zawiązywaniu pożytecznych zakładów.

Prócz tego pisał swe pamiętniki i doprowadził je do pięćdziesiątego roku.

Wśród tych użytecznych i miłych zajęć z chrześcijańskim spokojem i sumiennem przeświadczeniem, że przeżył swe lata szlachetnie, oczekiwał dni końca.

Gorączka i wrzód piersiowy przerwały nie żywota dnia 17 Kwietnia 1790, w osmdziesiątym czwartym roku ziemskiej wędrówki.

Śmierć tego mędrca, którego cnoty i gienijusz ludzkość uszlachetniły, wywołała nieutulony żal całej Ameryki.

Kongres i ludność Filadelfii oddały należny hołd pamięci i dziełom nieśmiertelnego męża.

We Francyi zgromadzenie narodowe nakazało żałobę.

Testament w zgodzie z życiem wypełnionym był darami szlachetnymi i patryotycznymi.

Kończy się zaś temi słowy:

„Laskę z dzikiej jabłoni, towarzyszkę długich dni żywota, zapisuję memu przyjacielowi, Wasyngtonowi.

Choćby ten kij był berłem, nie mógłby przyjść w poczciwsze ręce.“

Jakiż to hold! Co za czarowna przyjaźń tych dwóch ludzi, wzorów cnoty doskonałej, poświęcenia i uczuć szlachetnych w kraju zaledwie oświeconym.

Franklin był nie tylko wielkim obywatelem i uczy-nym, ale jeszcze charakterem czystym i wzorem nieposzlakowanej cnoty.

Postawił sobie za zadanie reformę moralną, polegającą na zwalczeniu każdego występku i przez pisma swe wiele się przyczynił do udoskonalenia swych rodaków.

Na kilkanaście lat przed śmiercią sam ułożył napis grobowy, dający zarazem świadectwo oryginalności pomysłu i zacności serca:

„Tu spoczywa na pastwę robactwa oddane ciało Benjamina Franklina, drukarza, jako okładka starej książki, z której karty wyrwano i starto tytuł i złocenia.

Mimo tego dzieło nie przepadło, gdyż pojawi się, sądzi nieboszczyk, w nowem przejrzanem wydaniu, poprawionem przez Autora Boga.“

## JERZY STEFENSON.

Robotnicy Angielscy mają także swych bohaterów, gdyż można ochrzcić tem mianem ludzi, którzy bez majątku, bez opieki i protekcyi w dziedzinie postępu spokojnego odnieśli wyższe zwycięstwo, niżli dowódcy wojsk, niosący mord i pożogę.

Między takimi **Jerzy Stefenson** (wymawia się: *stefensen*) wynalazca lokomotywy i dróg żelaznych, znakomite powinien zająć miejsce.

Życie niez mordowanego pracownika, któremu wiek nasz zawdzięcza tyle dobrodziejstw, który tak bardzo zasłużył się ogólnemu postępowi nauki, nie powinno przejść bez śladu, gdyż jest ono żywą księgą, z której przekonać się można, co zdziałać może: praca, zdolność, wytrwałość i cnota.

Newcastle (*njukest*), jak wszystkim wiadomo, jest punktem środkowym najobfitszych kopalń węgla kamiennego w Wielkiej Brytanii.

Niedaleko od miasta rozsiadła się wioska Wylam, a w niej około studni, sączącej olej skalny, ubożuchne chaty robotników.

Wioska istnieje po dziś dzień z lepianką, w której 9 Czerwca 1781 r. narodził się Jerzy Stefenson.

Ojciec jego, Robert, był strażnikiem kopalń.

Pierwsze wrażenia, jakie poczuł badawczy umysł dziecka, zarysowały się na ciemnym tle węgla podziemnych kopalń, wśród pracy niewyczerpanej, wśród trudów, zdobywającego w pocie czoła twardy chleba kawałek.

Węgiel ziemny wydobyty, wrzucano w odpowiednie naczynia i składano na wagony, które przesuwały się po szynach, czasem drewnianych, często z żelaza lanych aż do głównego składu.

Biedny Robert miał sześcioro dzieci.

Najstarszy z nich, Jerzy, musiał pilnować drobne rodzeństwo, by w czasie przejścia wagonu nie wpadło które pod koła.

Tak więc od wczesnej młodości pokumał się z ruchem wagonów, szynami, węglem, a wielki wynalazek, kiełkujący w wiosennej wyobraźni, czekał chwili dorostu i sprzyjających okoliczności.

Od czasu, w którym pierwszy śmielszy krok postawił Jerzy, musiał pracować.

Jako kilkoletni malec, pilnował trzody sąsiada, by ją koła pociągu nie stratowały, wieczorem zamykał baryerę.

Jeżeli wypadła swobodniejsza chwila, czepiał się gałęzi, darł się na drzew wierzchołki, wybierał gniazda, lub, co najczęściej się zdarzało, z mokrej gliny

lepił wzory maszyn, na podobieństwo tych, jakie mu ojciec pokazywał.

Później znów zapędzano go do robót w polu: pielenia zagonów, poganiania wołów przy pługu, a biedny malec ciągle się napierał i krzyczał: „chcę być górnikiem, górnikiem być chcę!“

W drodze łaski pozwolono mu najprzód: zamiatać miał po węglach pozostały, później kierować koniem używanym do roboty, nakoniec, jako uczeń (terminator) przy ojcu pracował przy maszynie Dewlaja.

Miał wtedy lat czternaście i cieszył się niezmiernie, iż marzeniom jego stało się zadość.

Gdy wyczerpano kopalnię w Dewlej (*djuli*), cała rodzina udała się do Newburn (*njubern*).

Jerzy pomagał ojcu przy maszynie; czworo innych dzieci pracowało, jak mogło i umiało.

Rodzeństwo jadło i spało, smuciło się i radowało w jednym pokoiku.

Gdy wynaleziono nowe pokłady węgla w okolicach Newburn, dano tam Jerzemu, by przyjętej zwyczajem hierarchii nie naruszyć, miejsce czyściciela pompy.

Zważywszy, iż wtedy miał zaledwie lat siedemnaście, zajęcie to zaś wymagało wielkiej czynności i rozsądku, więc posada ta była dowodem przekonującym o uznaniu zasług i zdolnościach chłopaka.



Jerzy Stefenson, wynalazca parowej maszyny (lokomotywy).

Zwykła praca obowiązkowa zabierała mu 12 godzin dziennie.

Lecz, by zbadać skład maszyny, wyczyścić ją, trzeba było coś jeszcze z czasu swojego dołożyć, a to kosztem niewyspania się lub zrozumianych bardzo i koniecznych w tym wieku przyjemności.

Biedny chłopiec pojął, że: by się czegoś nauczyć, trzeba umieć czytać.

Nie uląkł się żartów swoich współtowarzyszów w szkole, którzy go witali dzikim okrzykiem: drągał, osieł, i t. p.

Z zarobku skromnego opłacał szkołę.

Pilnując maszyny, wypracowywał szkolne zadania.

Na zwykłej dachówce w braku papieru, rozwiązywał arytmetyczne zadania.

Pomimo że był zgięty nad wypompowywaniem, Stefenson nauczył się użycia wędzidła.

Tak nazywają w górnictwie przyrząd, służący do zrównoważenia wydatku tłustości z głębi kopalni w ten sposób, że zatrzymuje się w górnym otworze studni.

Czynność ta wymaga zręczności i wprawy.

Stefensonowi powierzono urząd dozorczy wędzidła.

Zyskał na czasie i nauczył się szewctwa.

Naprawianie starych bótów i trzewików przyniosło mu w zysku dukata, którego schował, jako kapitał zakładowy przyszłych dostatków.

Tę sztukę złota zachowywał troskliwie do końca życia.

Czyż pierwszy grosz, zapracowany uczciwie nie stanowi o majątku w przyszłości?

W sercu szlachetnego robotnika zakwitła miłosa piosenka i do narzeczonej.

Dla Fanny Henderson uszył własnymi rękami przesłiczną parę trzewiczków.

Po ślubie zamieszkali w Willington — Quay nad brzegiem Tyny.

Tam znajdujemy Stefensona znowu jako dyrektora wędzidła, lecz męczonego pomysłem ruchu nieskończonego (*le mouvement perpetuel*), a cały swój zarobek, który zebrał jako mechanik, szewc, doktor wszelkich zegarów i obcasów, szyjąc bóty, nakręcając zegary, przeznaczał na postawienie wymyślonej maszyny.

I oto w Willington-Quay narodził się Robert Stefenson.

Kołyska i trumna — to przeznaczenie, to cel pracy, radości i cierpienie naszych.

Matka po narodzeniu syna umarła.

Stefenson dla chleba, zawsze dla chleba, dziecię pożegnał i poszedł piechotą w głąb Szkocyi naprawiać pompę.

Powróciwszy, dowiedział się, że w czasie jego nieobecności, para oślepiła ojca, a nad chatą nieszczęśliwego starca chorągiew nędzy zawisła.

Syn pośpieszył zapłacić, co się należało i zapewnił starcowi przytułek.

Synek jego dorastał i potrzeby jego się zwiększyły, a ojciec chciał dziecięciu byt niezależny, szacunek i stanowisko pomiędzy ludźmi o ile można niezależne zapewnić.

Złotem trzeba by wydrukować te kilka słów, które Stefenson napisał z tego powodu:

„W początkach mego zawodu, kiedy Robert był jeszcze małym pacholęciem, czułem całą maluczkość zdobytych krwawo wiadomości i nie chciałem, by syn cierpiał za przykładem ojca.

Chciałem go do szkół oddać, pragnąłem by się mógł kształcić, lecz byłem biednym, bardzo biednym.

Cóż myślicie, że uczyniłem?

Zmęczony pracą dzienną, w nocy naprawiałem zegarki i oto w jaki sposób zdobywałem krwawo zapracowany grosz.

Z pod nabrzmiałych od bezsenności powiek spoglądałem na moją pacholę, drżącą ręką tuląc je do piersi.“

Tak więc, sprawując rzemiosła zegarmistrza i szewca, Stefenson z zapalem zajmował się mechaniką.

To też wprowadził w budowie machin znakomite ulepszenia.

Zdaleka przychodzono pytać go o radę i pomoc i niedługo zyskał dobre imię.

Zdołał wprowadzić w życie kilka machin do wyczerpywania kopalni, o czym wszyscy zwątpili, a kilka doświadczeń szczęśliwych zjednały mu niepospolite stanowisko pomiędzy współpracującymi.

Chciwy wiedzy, skorzystał z uśmiechem pomysłowości i pracował dalej; studyował arytmetykę, nauczył się rysunku planów, a nawet wtajemniczył się w dane mechaniki i chemii.

Syn jego, uczący się w akademji w Newkastle (nju-kesl) przysyłał mu odpowiednie książki, które ojciec czytywał gorliwie.

Mimo tylu i tak uciążliwych zajęć nie zbrakło mu czasu na wielką przyjemność, oswajania zwierząt.

Przyzwyczał trznadla do tego, że przylatywał dziobać okruszyny, posypane na maszynie, mimo dymu i hałasu.

Opowiadano również bardzo zajmujące zdarzenia o jego psie owczarskim, Spocie (żart), o długich kudłach i bardzo rozumnem spojrzeniu.

Psisko było łagodne, a że wdziękami nie grzeszyło, wynagradzało te braki wielkiem do pana przywiązaniem.

Stefenson w nieograniczonem zaufaniu do poczciwego zwierzęcia pozwolił mu przynosić sobie objad z domu.

Psisko wywiązywało się znakomicie z zadania.

Kręciło nosem do góry, machało ogonem, by pokusę odpędzić, lecz nakarmiło pana zawsze, a spełniwszy rozkaz, łąsiło się rozkosznie.

Lecz z psami dzieje się jak z ludźmi; różnica wychowania, poczucia godności osobistej i delikatności wrodzonej tu i tam bez granic.

Zapach potraw skusił czworonogich towarzyszków.

Na psiego rodzaju Dawida napadł olbrzymi Goliat w osobie rzeźniczego buldoga.

Walka trwała zacięta.

Gdzie sił braknie, talent, rozum i zręczność górę bierze.

I stało się, że owczarek wyszedł z walki obronną nogą.

Poszarpany, skomlać, w zębach według zwyczaju przyniósł panu nadpsuty objad.

Stefenson przeczuł ze skawalowej krwi czworonożnego jakąś katastrofę, upieścił nieboraka i wyszedł wzruszony:

„Doprawdy, to tanio, kosztem jednego objadu zyskać pewność wiernej przyjaźni.“

W tym czasie umysłem Stefensona zawładnęła myśl, z której wysnuł nieocenione korzyści i odkrycia.

We wszystkich kopalniach rozmyślano nad sposobami oszczędniejszego wydobywania węgla.

Użycie wagonów sunących się po szynach drewnianych, lub żelaznych było już wielkiem ułatwieniem, to jednak nie zaspokoilo badawczego umysłu Stefensona i w r. 1815 wprowadził w ruch pierwszą maszynę parową.

Że sąsiedzi i właściciele pól, przez które przechodziła, żalili się na parę i dym, urządził komin w sposób taki, że tenże dym pochłaniał.

Około roku 1818 przyjaciele Stefensona doradzali mu, by maszynę zastosował do dróg wszelkiego rodzaju, traktów i gościńców; zawiele jednak przesądów i złej woli wstrzymywało go od przedsięwzięcia.

Upartych przekonać nie mógł i czekał.

Wierzajcie, że czekać i przeczekać to cnota i mądrość.

Odległość Killingwortha od Londynu, skromność wrodzona wynalazcy działały, że ślimaczym obyczajem pod czaszką gienijalną skrył nowości rogi.

Jednakże w r. 1817 pewien kwakier, nazwiskiem Pease (*piiz*), przedsięwziął wybudować drogę żelazną z Stockon nad Teesą (*tisq*) do Derlingtenu.

O lokomotywie wszelako nie miano najmniejszego wyobrażenia.

Stefenson odwiedził Peasa i zalecił mu użycie parowej maszyny.

Jasność wykładu, skromne zachowanie się podbiły serce i umysł kwakra i ten po zwiedzeniu Killing-

wortha otrzymał w r. 1823 nowy projekt urządzenia dróg żelaznych za pomocą lokomotywy.

Nie dość na tem, aż dotąd ubożuchny Stefenson został jego współnikiem nowo urządzonej fabryki lokomotyw i inżynierem drogi żelaznej z Darlington do Stockton z pensją 300 funtów szterlingów (280 rs).

Tak więc otworzyła się droga dla pomysłów Stefensona i on to przekonał towarzystwo o wygodzie i konieczności użycia szyn żelaznych, zamiast lanych z mosiądzu; oznaczył szerokość drogi i narysował plany trzech lokomotyw.

Droga żelazna ze Stocktonu do Darlingtonu otwartą została 27 Września 1826 r. wśród niezliczonych tłumów ciekawej ludności.

Pierwsza lokomotywa poprowadziła pociąg, złożony z trzydziestu ośmiu wagonów, napełnionych węglem i ciekawymi ludźmi.

Nad bilem (patentem wynalazku, reskryptem), tyjącym drogi żelaznej z Liwerpoolu do Manchester radzono w Izbie niższej w Marcu 1825 r., a rozprawy wywołały wielki opór.

Stefenson stanął do walki i zwyciężył przeciwników, nie mających innego argumentu niż: „to być nie może.“

Przedstawiono bil nowy i ten zyskał powszechne uznanie.



Jerzy Stenson kieruje parową maszyną.

Stefenson postanowił niewiernych przekonać.

Pierwszą stacyę wystawiono na torfiskach Chat-Moss.

By przebyć tę przestrzeń bagnistą, zawsze zalaną wodą, uginającą się pod najłżejszym ciężarem, Stefenson wystawił stałą i mocną tratwę z drzewa, mchu i gliny zeszlęj.

Tratwa musiała być szeroką i silną, by nie uledez przeciw działaniu mokradeł.

Niepodobna tutaj opowiadać wszystkich szczegółów i przeszkód, z jakimi Stefenson walczyć musiał.

W końcu wątpiący ludzie złej woli pochylili kornie czoła przed gienijalnym zwyciężcą.

Stefenson sam kierował robotami około żelaźnicy z Liwerpulu do Manczesteru.

W trudnej tej nadwyras pracy, nie mającej ani poprzednika, ani towarzysza, okazał wielką zdolność organizatorską i techniczną.

„Wydać rozkaz, nakreślić plan, to wiele; dopilnować wykonania, to dopiero korona i sława dzieła.“

I znowu niepowołani, a niemądry, znów pycha nadęta rada zniszczyć wszystko, co jednym źdźbłem przeważyło uparte głowy konwencyonalnej i okutemi raz na zawsze przyjętemi formułkami nauki, a z drugiej strony ta szlachetna i pogodna do walki gotowość, z podniesioną do góry przyłbicą, słowem praw-

dy i doświadczenia miazdząca w głupocie swej bezczelne zarzuty.

Wyznaczono sowiłą nagrodę 500 funtów szt. dla tego, kto przedstawi wzór lepszej i dogodniejszej lokomotywy.

Stefenson stanął do walki, od zwycięstwa której zależała jego przyszłość i sława.

Do pomocy zawezwał syna, który aż dotąd w południowej Ameryce zajęty był wydobywaniem złota.

Ojciec z synem, podawszy sobie ręce zdwoili siłę lokomotywy.

W pracy tej dopomógł im wielce Henryk Booth (*budz*), sekretarz drogi żelaznej, wprowadzeniem ogrzewaczki tubularnej (*chaudière tubulaire*) t. j. przechodzącej przez wszystkie piece i otwory maszyny, a tem samem szybkość płomienia zwiększającej.

Pomysł przyjął Stefenson z wdzięcznością i odtąd już pracował nad zwiększeniem ilości pary.

Tak więc, jakkolwiek sprawa kolei żelaznych odniosła zwycięstwo, pozostała wszelako konieczność ulepszenia materyałów.

Szyny, wagony, jednym słowem wszystko, co służyć miało ku wygodzie podróżnych i transportów, ulegało ciągłym poprawkom.

Tyle o zasługach w dziedzinie postępu nauki i przemysłu.

A jakiego są one znaczenia, każdy, kto spojrzy na pędzący pociąg, zrozumie.

Oszczędność czasu i wydatku, pośpiech w załatwianiu spraw doczesnych, a zawsze wielkiej wartości, oto dzieło Stefensona; ziejąca ogniem i parą lokomotywa, to pomnik wiekowy sławnego człowieka.

---

## JOZYASZ WEDGWOOD.

---

Jak dalece prawdą jest, iż wielkość i dobrobyt kraju, zależą od pilności, usilności i dzielności jednostek, dowodem żywot robotnika, Jozyasza Wedgwooda<sup>1)</sup>, założyciela garncarni w angielskiem hrabstwie Stafford.

Ojciec jego mieszkał jako biedny garncarz w Bow-sleem, obecnem ognisku przemysłu garncarskiego i zaledwie był w stanie wyżywić swoją rodzinę.

Umarł, gdy mały Jozyasz liczył zaledwie 11-ty rok życia i już w tym wieku pracował w garncarni swego starszego brata.

W tym stanie rzeczy nie mogło być mowy o wychowaniu i wykształceniu lub jakiegokolwiek nauce, a to

---

<sup>1)</sup> Wyraz „wedgwood“, znaczy po polsku drzewo klinowe, klin i wymawia się: uedżudd.

wszystko, czem Wedgwood później się odznaczył, zawdzięczał wyłącznie tylko samodzielnej i usilnej pracy nad sobą.

W epoce, gdy młody Wedgwood zaledwie stawał pierwsze kroki na swej drodze, garncarstwo stało na bardzo niskim stopniu.

Nie zadawałoby ono nawet potrzeb krajowych, a o wywozie wyrobów garncarskich angielskich za granicę nie można było nawet myśleć, gdyż znaczna liczba zagranicznych zalegała rynki angielskie.

Porcelanę sprowadzano z Chin i Francji, a garnki sporządzone w kraju były tak niezdarne kształtu, że z trudnością można było myśleć o ich sprzedaży.

Wedgwood pracował jeszcze u brata, gdy nagle, nawiedziony ospą, zmuszony został zaprzestać pracy.

Ospa uszkodziła mu palce u nóg tak dalece, że musiano amputować mu stopę.

Wstawszy z łóżka, na którem przeleżał kilka miesięcy, zaznajomił się z robotnikiem Wildonem i zawarł z nim spółkę.

Już wówczas zajęty był ciągle myślą ulepszenia wyrobów garncarskich.

Nie zadawałoby go sporządzanie garnków do użytku domowego, lecz myślał o nadaniu im pięknego kształtu, odpowiednio do przeznaczenia.

Powodowany tą myślą, zaczął wyrabiać naczynia różnych kształtów, talerzyki w formie liści, miseczki, naśladowujące kształt rozłupanego melona, i t. p.

Wildon nazywał to zajęcie błazeństwem i wkrótce potem rozwiązał umowę co do prowadzenia warsztatu do wspólni.

Wedgwood nie stracił jednak ochoty do swych planów i zamiarów, lecz, założywszy własny warsztat, oddał się z zamiłowaniem swemu zawodowi.

Fabryka jego, odznaczająca się doskonałością wyrobów, szybko się rozwijała i wzbogacała w zasoby.

W rok czy w dwa lata musiał przybrać do pomocy kilkunastu robotników, a wkrótce potem liczba ich tak się zwiększyła, że Wedgwood ujrzał się zmuszonym urządzić fabrykę wielkich rozmiarów w specjalnie na ten cel wzniesionym budynku.

Powodzenie, jakie Wedgwood pozyskał dzięki swej pilności i wytrwałości, zachęciło go do dalszych poszukiwań i pomysłów.

Przy nieustannej pracy wpadł na myśl, czyby nie udało się pewnej gliny krzemienistej doprowadzić do koloru białego, a to za pomocą powiększania temperatury aż do czerwoności.

Badania na tej drodze doprowadziły Wedgwooda do odkrycia „sztejnitu.“

Przyrządziwszy kilka gatunków gliny, rozpoczął fabrykację na wielką skalę.

Między wyrobami jego głównejsze zajmowały miejsce: szteingut biały, miękki w dotknięciu (white-china) i fajans zwykły, wpadający cokolwiek w barwę żółtą (cream-ware).

Naczynia fajansowe wyrobu Wedgwooda wkrótce zyskały sławę w całym świecie.

Udoskonalenie wyrobów garncarskich było celem, któremu Wedgwood przez całe życie z prawdziwym oddawał się zapałem.

Wszystko, cokolwiek dzielny ten człowiek przedsięwziął, nabierało życia dzięki silnej i niezłomnej jego woli.

Pracował ściśle według prawideł naukowych i artystycznych i dla tego też starał się o ciągłe utrzymanie stosunków z mężami nauki i artystami.

Spokój był mu obcym.

Nie wiedział co znaczy: „dosyć.“

Nawet, gdy wyroby jego osiągnęły możliwie najwyższy stopień doskonałości, pracował wciąż dalej, myśląc jedynie nad nowymi ulepszeniami.

I jakkolwiek od niego datuje się nowa epoka garncarstwa, mimo to zawsze był przekonany, że dał światu tylko pierwsze wskazówki, które dopiero przyszłość zdoła urzeczywistnić.

Sporządził pierwszy serwis roboty angielskiej dla stołu królewskiego i otrzymał za to tytuł nadwornego garncarza.

Tytuł ten nappełnił go większą dumą, aniżeli gdyby został szlachcicem lub baronem.

Muzea powierzały mu kosztowne naczynia porcelanowe do naśladowania i wkrótce na tej drodze doszedł do niebywałej doskonałości.

Nieraz na pierwszy rzut oka nie można było odróżnić prawdziwego oryginału chińskiego od wyrobu wykonanego w fabryce Wedgwooda.

Jego kopije starożytnych waz etruskich stały się towarem do dzisiejszego dnia bardzo wysoko cenionym.

Ciągłym studyowaniem udało mu się odkryć na nowo, znany przez Etrusków, a zatracony przez Rzymian sposób malowania na rozpalonej glinie.

Wynalazł także ogniomierz (pyrometr) uznany w owej epoce za najlepszy.

Anglija zawdzięcza mu również doprowadzenie do skutku komunikacji wodnej między wschodnią i zachodnią częścią wysp brytańskich.

Rozgłos jego sławy ścigał liczne rzesze ciekawych ze wszystkich stron Europy do osady, którą nazywano „Nową Etrusją.“

Wielką zasługą Wedgwooda jest to, że podniósł surowe garncarstwo do godności sztuki, która ogrom-

nego w Anglii doznała powodzi i zapewniła chleb tysiącom familij. 63

Jeszcze w początkach XVIII-go wieku okrąg Pottery był słabo zaludniony; dziś, w czternastu drobnych miasteczkach, połączonych następnie w jedno wielkie miasto, żyje 94,000 mieszkańców, produkujących rocznie za dwa miliony funtów szterlingów.

Zasada Wedgwooda, którą się w ciągu całego życia posługiwał, zasługuje, ażeby ją złoconemi literami wypisano nad każdą fabryką.

Brzmiała ona:

„Czystość w pracy, czystość w obyczajach.“

---

## J A N K E P L E R.

---

Znakomity ten uczony urodził się w r. 1571 w Weil, a umarł r. 1630 w Regensburgu.

W dzieciństwie był on posługaczem w szynku swego ojca, ale wstąpił i za słaby do pracy, oddany został do szkoły.

Tu dopiero okazało się do czego młody Jaśko był zdolny.

W naukach prześcignął wszystkich współuczniów, a ukończywszy chlubnie niższe szkoły, poświęcił się nauce teologii (wyższej nauce o Bogu), chcąc zgodnie z wolą rodziców, zostać pastorem protestanckim.

Lecz nie wytrwał w tem postanowieniu, bo nie-równie więcej od teologii zajmowała go matematyka i astronomija; im też w zupełności się oddał.

W 23-m roku życia został profesorem matematyki w Gratz (Hradec) w Styryi i tam zaczął opracowywać i pisać naukowe dzieła.

Ożenił się też z Barbarą Müller, ale związek ten nie był szczęśliwy.

Żona jego dostała pomięszania zmysłów, a troje dzieci zmarło.

Prócz tego jeszcze jedno nieszczęście spadło na Keplera.

Staruszkę matkę jego posądzono o czary (co w owych czasach zwykłą było rzeczą) i grożono jej torturami, a nawet spalaniem na stosie.

Kochający syn pięć lat robił starania w celu uniewinnienia matki i nakoniec dokazał tego, że wypuszczono biedaczkę z więzienia.

Ale na tem nie koniec.

W Styryi zaczęto w końcu XVI wieku prześladować protestantów, a więc Kepler, chcąc uniknąć złego, musiał ztamtąd uchodzić.

Wtedy znany astronom Tycho de Brahe wezwał go do Czech, gdzie sam przebywał na dworze Rudolfa II.

Zdawałoby się, że los się uśmiechnął Keplerowi, zwłaszcza kiedy po śmierci swego protektora Tycho

de Brahe został nadwornym astronomem Rudolfa z płacą 1,500 florenów rocznie.

Cóż z tego, kiedy skarb był pusty i biedny Kepler pensyi regularnie nie otrzymywał.

Nieraz musiał, jak sam skarży się do swych przyjaciół, drogi czas tracić na wystawanie u drzwi skarbnika, żeby choć cokolwiek na życie wyprosić.

Tymczasem praca, której się oddał, była wyczerpująca.

Szeregi liczb i domysłów napełniały mu głowę, a niekiedy znużenie, jak powiadał, doprowadzało go do szaleństwa.

Jednakże nie upadał na duchu wobec takich niepowodzeń i wtedy właśnie odkrył znakomite prawo o ruchu planet, które sławą okryło jego imię i postawiło go na równi z Kopernikiem.

Po śmierci Rudolfa, kiedy wstąpił na tron czeski Maciej, mniej od poprzedniego cesarza przychylny naukom, sprawy Keplera poszły jeszcze gorzej, a zaległa pensya doszła do 12 tysięcy florenów.

Wtedy Kepler porzucił Pragę i przyjął posadę w Linz.

Następnie prześladowany za wiarę, jako protestant, musiał uchodzić do Niemiec.

Tam ożenił się powtórnie i miał siedmioro dzieci.

Nie miał jednak dostatecznych dochodów na utrzymanie tak licznej rodziny, więc bieda w jego domu graniczyła z nędzą.

Jedyną pociechą były mu prace naukowe; kiedy zagłębiał się w przestworzu niebios, zapominał co mu dolega na ziemi.

Zmuszony okolicznościami, udał się raz w czasie słotnej jesieni pieszo do Regensburga, aby tam poczynić starania o odbiór zaległej pensyi.

Ze znużenia jednak i niepogody zachorował i umarł, zaledwie przybywszy na miejsce.

Dopiero po śmierci oceniono jego zasługi.

Należną mu pensyję wypłacono pozostałej wdowie.

W roku zaś 1808 postawiono Keplerowi pomnik w Regensburgu.

---

## A. W. F A B E R.

---

Niemcy przed wojną 30-letnią zajmowały zaszczytne stanowisko w Europie pod względem handlu, a wskutek tej wojny rozwój zupełnie został powstrzymany.

Zacząwszy jednak od trzeciego dziesiątka lat w bieżącym stuleciu, Niemcy zaczęły na nowo rywa-

lizować z innymi narodami i, trzeba przyznać, z walki tej, w ostatnich zwłaszcza czasach, wychodzą zwycięzko.

Przemysł niemiecki śmiało może się dziś równać z francuzkim, a w wielu razach i angielskiemu nie ustępuje.

Niedawne to jeszcze czasy, gdy w całych prawie Niemczech używano ołówków angielskich.

Obecnie nietylko w Niemczech, ale i za ich granicami wszędzie spotykać się można z tego rodzaju wyrobami fabryki **A. W. Fabera** w Norymberdze, które zyskały przywilej doskonałości.

Dziś już sława tu jest tak ustaloną, że innym fabrykom trudno rywalizować z zakładem norymberskim.

I u nas w Warszawie znajduje się doskonale urządzona fabryka ołówków, wyroby jej nie ustępują w niczem wyrobom niemieckim; ponieważ zaś sporządzone są na miejscu, a zatem muszą być tańsze.

A jednak produkt miejscowy nie cieszy się tak wielkim zbytem, jak produkt zagraniczny.

Zkąd pochodzi wielka sława ołówków Fabera?

Historia rozwoju fabryki najlepiej nam na to odpowie, a zarazem rozjaśni tajemnicę, polegającą jedynie na tej zasadzie, że tylko samodzielność może zapewnić powodzenia tam, gdzie jest połączona z silną wolą i wytrwałością.

W roku 1760-ym osiadł w Stein pod Norymbergą niejaki Kacper Faber, człowiek skromny, ale przedsiębiorczy, który, doszedłszy do posiadania domku wraz z ogródkiem, rozpoczął wyrabiać ołówki dla kupców norymberskich.

Jak skromnym był kapitał włożony przez założyciela w ten przemysł, dowodzi spis inwentarza z roku 1786-go, znajdujący się w archiwach Faberów, wykazujący jako rezultat 59 guldenów dochodu.

Cokolwiek dostarczyła praca tygodniowa, szło starannie upakowane na sprzedaż do Norymbergii.

Ta zależność od handlu norymberskiego nie była wcale korzystną dla początkującego fabrykanta.

Sredniowieczny rozkwit rękodzielni norymberskich od dawna już minął, a nowy na jego miejsce jeszcze zejść nie zdołał.

Przesady i pokątne między cechami intrygi przeciwniały się wprowadzeniu jakiegokolwiek metody do pracy, nawet choćby im rokowała najpomyślniejsze skutki tak, że wreszcie odbyt towarów norymberskich ustał zupełnie.

I fabryka Fabera wskutek tak opłakanego stanu, została powstrzymaną w rozwoju.

Nie bez trudności syn założyciela, Antoni Wilhelm Faber, którego nazwisko stało się firmą zakładu, a od 1810 roku Jerzy Leonard Faber zdołali

utrzymać zakład i, ocaliwszy go od upadku, na nowe, obszerniejsze wprowadzić drogi.

Osiągnięcie tego powodzenia, jakim cieszy się fabryka Faberowska, jest zasługą następnego posiadacza.

Jan Lotaryusz Faber, który po śmierci ojca w roku 1839 objął zarząd fabryki, kształcił się do 19-go roku życia w Norymberdze, dla przyswojenia sobie wiadomości kupieckich, przyczem jednak nie zaniedbywał i zawodu, któremu miał się poświęcić w przyszłości.

W Paryżu i Londynie, gdzie przez czas pewien przebywał, nabył wiele wiadomości koniecznych dla swego fachu.

Wobec olbrzymiego handlu tych okolic, młody Faber powziął myśl dźwignięcia przemysłu swojskiego dla umożliwienia współzawodnictwa z zagranicą.

Fabryka, na której czele stanął, zatrudniała 20 robotników.

Trudne to było zadanie walczyć z zakamieniałym zastojem i ospałością, ale wzięwszy sobie za dewizę „moralność i pilność,“ ochoczo zabrał się do dzieła.

Początkowo ograniczył się tylko na wyrobie gatunków pośledniejszych, poczem dopiero przeszedł do ołówków delikatniejszych wyższej ceny.

Ponieważ kupcy norymbergscy odmówili mu ich przyjęcia, wyruszył tedy do Rosyi, Austrii, Belgii, Włoch i Szwajcaryi i wszędzie pozawiazywał stosunki, których skutkiem było podniesienie się odbytu i rozprzestrzenienie zakresu fabrykacyi.

Szybko wznosiły się nowe budowle, liczba robotników zwiększała się z dniem każdym, a wraz z nią i dobrobyt fabryki.

Właściciel jej nie zapomniał także o swoich pracownikach: założył dla nich kasę oszczędności, otworzył trzy szkółki dla ich dzieci i wogóle starał się o polepszenie ich bytu.

Jan Lotaryusz Faber był pierwszym przemysłowcem w Niemczech, który przemysł swojski starał się zjednoczyć z ideami zachodu i, wbrew zwyczajowi przyjętemu, wyroby swoje zaopatrywał w firmę własną, niemiecką, nie zaś zagraniczną.

Jak wiadomo, ołówki wyrabiają się przeważnie z grafitu, to jest minerału szarego, będącego mieszaniną węgla zanieczyszczonego z ciałami ziemnistymi lub żelazistymi.

Główne pokłady granitu, znane dawniej, znajdowały się tylko w Anglii, Bawaryi i Morawii.

Wobec wielkiego zapotrzebowania kopalnie owe zaczęły grozić zupełnem wyczerpaniem.

Gdyby się tak stało istotnie, fabryka Fabera zostałyby zrujnowaną, a z nią i niemiecki przemysł ołówkowy.

Na szczęście, w chwili największego zapotrzebowania, rozeszła się wiadomość, że niejaki Piotr Alibert odkrył w pobliżu Irkucka w Syberyi olbrzymie pokłady grafitu, dorównującego dobrocią angielskiemu, czerpanemu w Borrowdale.

Alibert zaproponował Faberowi, jako najznacznieszemu fabrykantowi ołówków, układ, mocą którego odaną mu została cała eksploatacja odkrytego pokładu.

Od tego czasu Rossya stała się głównym dostawcą grafitu do wszystkich fabryk wyrabiających ołówki.

Faber zaś, który dokonywał eksploatacyi na własną rękę, doszedł do takiej w swym zawodzie potęgi, że nikt przez długie lata nie był w stanie z nim konkurować.

I dziś jeszcze, chociaż fabrykacja ołówków rozwinęła się w różnych stronach Europy, towar Faberowski jest rywalem, z których trudno walczyć na rynkach targowych.

Wogóle u młodzieży, a zwłaszcza szkolnej, panuje dotychczas przekonanie, że ołówki faberowskie są najlepsze.

Jest to już tylko wynik przyzwyczajenia; od wielu bowiem osób, mających dużo do czynienia z ołówkami, jak np. od malarzy i rysowników, można usłyszeć zdanie, iż ołówki wyrabiane w Warszawie pod firmą Majewski i sp. w niczem nie ustępują wyrobom norymberskim.

A jednak produkt nasz krajowy nie jest tak rozpowszechniony jak niemiecki, który zdobył sobie uznanie dzięki jedynie wytrwałości i zabiegliwości jego wytwórców, a zarazem dzięki dokładności i sumienności wykonania.

---

## RYSZARD HARTMAN.

---

Godnym uwagi jest życiorys fabrykanta niemieckiego, który własną pracą i pomocą z prostego robotnika stał się najpierwszym przemysłowcem niemieckim.

Był nim **Ryszard Hartman**, syn garbarza.

Hartman urodził się w r. 1809-ym pod Strasburgiem w Alzacyi z rodziców ubogich.

Za młodych lat oddany do terminu do ślusarza, został dosyć wczesnie czeladnikiem, poczem udał się na wędrowną w okolice Renu, sądząc, że w stronach bardziej odległych od swego gniazda rodzinnego pręcej znajdzie zarobek.

Pracował kolejno u różnych fabrykantów, wreszcie wstąpił do zakładu Haubolda w Chemnitz w Saksonii, gdzie wrodzone jego zdolności wkrótce się rozwinęły i pobudziły go do szukania sposobności samodzielniejszego wystąpienia.

Każdy początek jest trudny, a nieraz droga, na której pierwsze kroki są nieznaczące, wiedzie do rezultatów najpomyślniejszych.

Tak się też stało i z Hartmanem.

W r. 1837-ym założył mały warsztat z trzema robotnikami przybranymi do pomocy.

Saksonia celowała podówczas w Niemczech pod względem wyrobów bawełnianych.

Wziąwszy to pod uwagę, Hartman przedewszystkiem postanowił podjąć się fabrykacyi przyrządów odpowiednich do tego rodzaju przemysłu.

Wkrótce jednak przekonał się, że kapitał jego był niewystarczającym, aby mógł odpowiedzieć warunkom koniecznym do rozwoju warsztatu.

Dla zaradzenia temu Hartman zawiązał spółkę najpierw z jakimś Illigiem, a następnie z Götzem, człowiekiem bardzo zdolnym i obrotnym, który później stanął na czele największej przędzalni w Chemnicach.

Świeżo otworzony zakład szybko się rozwinął, tem bardziej, że w maszynach przędzalnych udało się Hartmanowi poczynić pewne ulepszenia, które wkrótce w całych Niemczech powszechne zyskały uznanie między fabrykantami.

W ciągu trzech lat Hartman wypuścił z zakładu swego 2,400 sztuk maszyn tego rodzaju.

W r. 1842-im spółka Hartmana z Götzem została rozwiązana, bowiem każdy z nich czuł potrzebę rozwinięcia swych planów na własną rękę.

W dwa lata później Hartman rozpoczął budowę nowego gmachu fabrycznego, który miał przewyższyć wszystko, cokolwiek w tym rodzaju działośo.

Dokładne i sumienne wyroby jego fabryki wszędzie zapewniały wziętość firmie.

Wkrótce olbrzymie sale zakładu nie starczyły dla objęcia coraz bardziej wzmagającej się liczby obstacków.

Z każdym miesiącem powstawały nowe budowle.

Założeniu giserni metalowej towarzyszyło urządzenie zakładów parowych dla wyrobu machin i kotłów, a w dziesięć lat później założono olbrzymią fabrykę lokomotyw i tendrów kolejowych.

W r. 1857-ym fabryka zajmowała przestrzeń wynoszącą około 30 tysięcy metrów kwadratowych.

Wycieczka Hartmana do krajów ościennych, a mianowicie do Anglii i Francyi, wzbogaciła fabrykę mnóstwem ulepszeń, które rokowały zakładom najświetniejszą przyszłość.

Powiadają, że warunkiem powodzenia jest szczęście.

Kto tak twierdzi, ten ani powodzenia, ani szczęścia mieć nie będzie.

To chyba szczęściem nazwać można, gdy kto posiada ducha samodzielności, gdy wyrobił w sobie przyioty tak cenne, jak pilność i wytrwałość.

Życie Hartmana jest dowodem tej prawdy.

W chwili, gdy powodzenie zaczęło mu się już uśmiechać, spotkało go straszne nieszczęście, bo w roku 1806-ym prawie cała fabryka spłonęła ze szczętem.

Przeszło tysiąc robotników pozbawionych zostało zarobku.

Właściciel zakładów w ciągu kilku godzin stracił wszystko, co nagromadziła praca lat długich.

Pomimo to jednak, Hartman nie stracił odwagi i bogaty w doświadczenie, a zarazem cieszący się zaufaniem fabrykantów i ustaloną już firmą, postanowił rozpocząć na nowo.

Ciężar przeciwności nie złamał go, lecz przeciwnie, dodał mu sił do dalszej pracy.

Z robotnikami ułożył się w ten sposób, że wszystkich zatrzymał, lecz przeznaczył ich tymczasem do innej pracy.

Jedni oczyszczali zgliszcza i naprawiali uszkodzone maszyny, drudzy zajęli się ustawianiem olbrzymiej drewnianej szopy, inni znowu na ocalałych częściach fabryki starali się doprowadzić połamane maszyny do dawnego stanu.

Czego nie można było zrobić na miejscu, skupowano z wielkimi nieraz ofiarami.

Już po upływie trzech tygodni, dzięki niezmiordowanej pracy, w kuźniach odbywała się budowa lokomotyw, a po miesiącu w szopie drewnianej ręczo szła robota i wkrótce potem zaczęto oddawać zamówienia już ukończone.

Tegoż samego miesiąca położono kamień węgielny pod budowę nowej fabryki na miejscu spalonej; z jakim zaś pośpiechem wzięto się do pracy, dosyć powiedzieć, że w pół roku później nie było już i śladu po strasznym pożarze.

I w tym wypadku, jak zresztą w wielu innych, sprawdziła się legenda o feniksie powstającym z popiołów.

Nowe zakłady zajęły przestrzeń 50-ciu tysięcy metrów kwadratowych z zasobem przeszło 500 maszyn pomocniczych, około których pracowało przeszło dwa tysiące ludzi.

Obecnie prawie wszystkie koleje saskie posługują się wyłącznie lokomotywami Hartmana.

---

## COBBET WILLIAM.

---

William Cobbet, sławny publicysta angielski, syn właściciela małego kawałka ziemi, porzucił rolę w sie-

demnastym roku życia i został pisarzem u jednego adwokata w Londynie.

Zajęcie to jednak przykrem było dla młodzieńca przywykłego do ruchliwości, więc je porzucił i wstąpił do wojska.

Tutaj wszystkie chwile wolne od służby i ćwiczeń poświęcał w zupełności czytaniu, a przedewszystkiem dokładnemu wyuczeniu się gramatyki angielskiej.

W pamiętnikach pozostawionych po sobie skreślił sam historję tych studyów, będącą przykładem i zachętą dla młodzieży, mającej do walczenia z cierpieniami i przeciwnościami.

Historja ta jest najlepszym dowodem, a zarazem wskazówką, czego człowiek może dokonać w najtrudniejszych nawet warunkach i okolicznościach, jeżeli tylko szczerze i z silnem postanowieniem zabierze się do pracy i bez obawy, bez wahania, bez spoglądania wprawo i wlewo, lecz prosto, spokojnie, a wytrwale i usilnie podąży do celu, jaki sobie nakreślił.

„Uczyłem się gramatyki,“ pisze Cobbet „jako prosty żołnierz, mający 6 pensów dziennego żołdu (około 15 kop.).

„Brzeg tapczanu służył mi jako siedzenie podczas lekcyj, kawałek deski położonej na kolanach, stanowiło biurko, tornister zaś mieścił całą moją bibliotekę,

składającą się z dwóch książek i dwóch zeszytów do pisania.

Pracować mogłem tylko dorywkowo. Byłem zbyt biednym, ażeby sobie kupić świec albo oleju i rzadko podczas wieczorów miałem inne światło, prócz blasku ogniska obozowego.

Chcąc kupić pióro, lub arkusz papieru, musiałem odmówić sobie części pożywienia, chociaż głód szarpał mi wnętrzności.

Nie miałem ani chwili spokoju, musiałem czytać i pisać przy gawędach, śmiechach, śpiewach, gwizdaniach i hałasach co najmniej dwudziestu bezmyślnych chłopaków i to jeszcze w godzinach, gdy byli wolnymi od wszelkiego nadzoru.

Nie należy uważać za błahostkę tego pieniążka miedzianego, który od czasu do czasu musiałem wydać na atrament, pióro lub papier.

Każdy grosz był podówczas dla mnie wielką sumą. Dwa pensy (około 5 kop.) na tydzień stanowiły cały kapitał, jaki po zrobieniu zakupów na targu, pozostawał każdemu żołnierzowi.

Przypominam sobie, jak gdyby to było wczoraj, że pewnego piątku ujrzałem się w możności, po zaspokojeniu wydatków koniecznych, zachować pół pensa, za którego chciałem sobie kupić nazajutrz śledzia marynowanego.

Niestety, wieczorem, przed pójściem na spoczynek o głodzie, spostrzegłem, że zgubiłem pieniądze zaoszczędzone.

Ukryłem twarz pod nędzną kołdrą i płakałem jak dziecko.

Jeżeli w podobnym położeniu, bez zachęcającego słowa ojca lub przyjaciela, mogłem prowadzić dzieło rozpoczęte, to dziś śmiało powiedzieć mogę, że niema uniewinnienia dla młodzieńca, zaniedbującego pracy około kształcenia umysłu.

Nie usprawiedliwiają go zajęcia, ani ograniczenia pod względem miejsca i swobody.

Kto chce się uczyć, ten zawsze może swój cel osiągnąć.

---

## KRYSTYAN MEYER.

---

Między wielu innymi niemieckimi przemysłowcami niezaprzeczenie godnym uwagi jest Henryk Krystyan Meyer, założyciel olbrzymiej fabryki lasek.

Ojciec jego był stolarzem podówczas, gdy Henryk przyszedł na świat w jakiejś wioszczynie hanowerskiej w 1803 r.

Wkrótce przesiedlił się do Hamburga.

Podróż ta zostawiła w umyśle Meyera niezatarte

wspomnienie, bowiem matka jego, nie wzięwszy z sobą ani kawałka chleba, przewiązała torbę przez biodra synka swego, dając mu do zrozumienia, ażeby po drodze prosił w chłopskich chatach o posiłek.

Oświadczenie to ze strony matki napełniło małego chłopca tak rzewną boleścią, że zwróciwszy się z połowy drogi wskazanej mu przez matkę, szedł płacząc, aż wreszcie jakiś stary pasterz zasilił go kromką chleba.

Ojciec jego, człowiek dosyć zdolny w swym zawodzie, miał z początku jakie takie utrzymanie.

Gdy jednak rodzina zwolna wzrastała, a system kontynentalny Napoleona doszczętnie handel europejski zniweczył, wówczas nędza straszliwa zapanowała w domu Meyera.

Młody Henryk od 8-go roku życia pomagał ojcu przy wyrobie lasek, które sprzedawali handlarzom żydowskim.

Ci jednak obniżyli cenę do tego stopnia, że ojciec ujrzał się zmuszonym wysyłać syna swego ze skrzynką napełnioną laskami na miasto, dla zbywania swych wyrobów.

Często zdarzało się, że z niecierpliwością czekano na malca, a raczej na pieniądze przezeń uzbierane i obarczano go ostremi wyrzutami, jeżeli kwota nie odpowiadała oczekiwanej.

Naturalnie że wina częstokroć była po stronie

młodego handlarza, który wolał biegać i skakać po ulicach, aniżeli nosić się z ciężką skrzynią i oczekiwać na kupujących.

Mały Meyer zwykł był często stawać przed giełdą, trzymając przed sobą swój zapas lasek.

Jakiś jegomość z pomiędzy przechodzących zwrócił na malca uwagę i wielokroć zobaczył jego minę zapłakaną, zawsze przystawał i kupował od niego.

W późniejszym wieku Meyer z rozrzewnieniem wspominał o tym człowieku.

W naukach nie bardzo postępował, nie mając wolnego czasu, a może i dlatego, że bakałarz szkółki wieczornej, do której Meyer uczęszczał, zamiast uczyć dzieci, z zadziwiającą dokładnością i wytrwałością badał wpływ dyscypliny na plecach swoich uczniów.

Gdy w r. 1812-ym Francuzi wpadli do Hamburga, rozpędzili mnóstwo kupców, pomiędzy którymi i pani Meyer musiała z trojgiem dzieci miasto opuścić.

Ojciec, złożony chorobą, pozostał w mieście, resztą rodziny wywędrowała do Stade.

Przy wylądowaniu o mało Meyer nie utonął w nurtach Elby, wpadł bowiem do wody, lecz mimo ciemności, szczęśliwie został wyratowany.

W Stade tylu było wychodźców, że nie można było znaleźć schronienia.

Biedna rodzina musiała teje samej nocy podążać do wsi opodal miasta leżącej.

Umieściwszy w dogodnym miejscu matkę i siostry, młody Meyer począł starać się o jakiegokolwiek zajęcie.

Pierwszy zaraz włościanin, którego Meyer poprosił o robotę, zapytał:

— A cóż ty umiesz?

Krótkie to zapytanie dreszczem przejęło Meyera, czuł bowiem, że chcąc być prawdomównym, powinienby odpowiedzieć: „nic“. Nie tracąc jednak fantazyi, odpowiedział śmiało:

— Co ja umiem?... wszystko.

— Wszystko? to może potrafisz pomalować moje łóżko na kolor mahoniowy?

— Dlaczegożby nie?— odrzekł Meyer.

— A więc dobrze, spróbuj, rzekł włościanin, kończąc rozmowę.

Meyer, który nietylko o zaproponowanym, ale o żadnym zgoła malarstwie najmniejszego nie miał wyobrażenia, począł się chłopa wypytywać ubocznie, jakby też życzył sobie mieć łóżko polakierowane, a otrzymawszy pewne pod tym względem wskazówki, udał się do kramarza i aptekarza, gdzie już dokładniejszych zasięgnął informacji.

Wywiedziawszy się tym sposobem o koniecznych warunkach tego rodzaju malarstwa, zabrał się do roboty i pomalował włościaninowi łóżko tak zręcznie, że ten polecił go sąsiadom.

Wkrótce Meyer tyle mógł zarobić, że zaopatrywał rodzinę w najpotrzebniejsze środki do życia.

Z pieniędzy zaoszczędzonych zakupił ojcu pożywienie i posłał mu je z wielką dla serca swego pociechą.

Powróciwszy do Hamburga, młody Meyer pracował przez czas pewien u stolarza, a następnie pomagał ojcu, który, przebywszy czasy krytyczne, miał teraz nawał roboty.

Na wiosnę w roku 1820-ym zażądał od ojca zapłaty tygodniowej, oświadczając, że się chce żenić.

Ojciec odpowiedział mu, że „takiego osła za darmo mieć można.”

Odpowiedź ta była przyczyną zerwania stosunków rodzinnych.

Henryk opuścił dom rodzicielski, pracował przez rok w fabryce fiszbinów, a z zaoszczędzonych pieniędzy nabył warsztat, na którym zaczął wyrabiać laski.

W dwa lata później udał się pieszo do Lipska na jarmark z dużym zapasem lasek, które tam z wielkim zyskiem spieniężył.

Od tej chwili los jego był ustalonym.

Mały zakład zwiększał się z każdym miesiącem i po kilku latach zamienił się na fabrykę, zatrudniającą tysiąc robotników.

Umierając w roku 1848-ym, Meyer pozostawił spadkobiercom swoim przeszło pół milijona marek gotówki i fabrykę świetnie kwitnącą.

Oprócz lasek Meyer wyrabiał t. zw. fornieri mahoniowe, a jak sam opowiadał, na myśl fabrykowania tego towaru naprowadziło go żądanie owego włościanina, który chciał mieć łóżko pomalowane na kolor mahoniowy.

Przykład powyższy jest jednym z niezliczonych dowodów, że tylko praca samodzielna jest podstawą dobrobytu i że tylko wytrwałością i cierpliwością zdobyć można niezależność materyalną i majątek.

---

## KRZYSZTOF KOLUMB.

---

Krzysztof Kolumb życiem całym dowiódł, że tylko wytrwałość w dążeniu do obranego celu może doprowadzić nasze przedsięwzięcia do skutku.

Chcąc czegośkolwiek dokonać, nie należy zrażać się żadnymi przeszkodami. Zwolna ale ciągle posuwając się naprzód, otrzymamy to, cośmy zamierzyli.

Poświęcając się dla dobra innych, nie powinniśmy liczyć na ich wdzięczność, lecz zadawałniać się własnym przeświadczeniem.

Krzysztof Kolumb urodził się we Włoszech, w mieście Genui 1446 roku.

Ojciec jego był ubogim tkaczem, znalazł jednakże środki na wykształcenie dzieci, z których Krzysztof od-

znaczał się największymi zdolnościami, a najulubieńszą dla niego nauką była geografia.

W młodym wieku wstąpił do służby morskiej i zwiedził wiele obcych krajów.

Miasto jego rodzinne zawdzięczało bogactwo swe handlowi, jaki prowadziło z Indyami, krajem obfitującym w korzenie, jak: cynamon, gwoździki, pieprz i oprócz tego w drogie kamienie.

Ale towary sprowadzane łądem kosztowały drogo. Kolumb więc przemyślał nad tem, czyby nie można odnaleźć do Indyi nowej drogi wodą.

Już wtedy niektórzy uczeni domyślali się, że ziemia nasza jest okrągła, choć ogół nie wierzył temu jeszcze.

Kolumb tak sobie rozumował:

„Kiedy ziemia jest okrągłą, to chociaż Indye leżą na wschód od Genui, jeżeli wyjadę na zachód i będę płynął wciąż przed siebie, to w końcu na Indye natrafę, w czem miał rzeczywiście słuszność.

Nie wszyscy jednak byli w stanie zrozumieć jego dowodzenia.

Jako człowiek niezamożny, nie miał Kolumb pieniędzy na zakupienie okrętów potrzebnych do takiej podróży; udał się przeto o pomoc najpierw do rządu rodzinnego miasta.

Ale radni słuchać o jego planach nie chcieli.

Wtedy Kolumb pojechał do Portugalii i tam się

starał coś uzyskać u króla Jana II. Ten z początku przystał na wszystko, ale ostatecznie odmówił.

Kołał tedy Genuńczyk w różnych miejscach, gdzie tylko przypuszczał, że znajdzie poparcie. Zwracał się do króla francuzkiego, do Anglii i do Genui, ale zawsze zbywano go niczem, a często nawet wyśmiewano jego pomysł.

Aż wreszcie po długoletnich wędrówkach i próbach udało mu się wyjednać pomoc od królowej hiszpańskiej Izabelli.

Na prośbach i włóczędze z miejsca na miejsce przeszło mu całe lat dwadzieścia i dopiero w 46-ym roku życia Kolumb postawił pierwszy krok na drodze do urzeczywistnienia swych marzeń i planów.

Na samym początku drogi miał do zwalczenia upór i ciemnotę swych podwładnych.

Skoro wypłynęli na nieznane jeszcze w owym czasie morze, towarzysze Kolumba przestraszyli się bardzo, bo myśleli, że jak się daleko od lądu oddalą, to z powrotem do domu nie trafią.

Zażądali więc od swego przewodnika, aby natychmiast zawrócił do Hiszpanii.

Ponieważ on nie chciał na to przystać, załoga zmówiła się i postanowiła go zabić.

Kolumb wiedział, jakie niebezpieczeństwo mu grozi; jednakże nie uląkł się i nie ustąpił nierozumnemu żądaniu.

Uspokajał załogę jak mógł, ręcąc za pomyślny skutek podróży.

Wolał nawet śmierć ponieść, niż cofnąć się nie dosięgnąwszy celu.

Nareszcie wytrwałość Kolumba nagrodzoną została.

Ukazały się bowiem na wodzie płynące pnienie drzew; ptactwo nieznane Europejczykom, przelatywało nad okrętami, co było dowodem bliskości lądu.

Rzeczywiście w parę dni później, d. 12 Października 1492 r. ujrzano ziemię, którą Kolumb wziął za upragnione przez siebie Indye.

Łagodnego usposobienia mieszkańcy nie stawili Europejczykom żadnego oporu, a Kolumb objął odkrytą ziemię w posiadanie Hiszpanii.

Zostawiwszy kilku ludzi na nowej ziemi, powrócił Krzysztof Kolumb do Hiszpanii.

Tam z początku przyjęto go z radością, ale potem niewdzięcznie odplacono mu za jego pracę i trudy.

O ile wprzód nikt nie dawał wiary Kolumbowi, aby za morzem mógł ląd znaleźć, o tyle później zazdroszczono mu sławy.

Kiedy więc znakomity żeglarz po raz trzeci w r. 1498 popłynął do nowego świata, posłano na miejsce urzędnika i sędziego Bobadillę, aby ten kazał go okuć w kajdany i odesłać do Europy.

Po przybyciu do Hiszpanii wrócono Kolumbowi

wolność, ale nie powrócono mu dawnej godności i urzędu.

Kajdany zachował sobie na pamiątkę, jako niby nagrodę, którą mu Hiszpanie dali, a umierając w roku 1506 polecił, aby mu je do trumny włożono.

Przed śmiercią odbył jeszcze czwartą podróż do odkrytych przez siebie lądów.

Kolumb tyle przecierpiawszy, nigdy nie narzekał na złość swych prześladowców, lecz znosił cierpliwie swe utrapienia.

Współcześni Kolumbowi byli tak niewdzięczni względem niego, że nawet nie nazwali nowoodkrytej ziemi jego imieniem, lecz dali jej nazwę Ameryki, od nazwiska innego podróżnika Ameryga Vespuccia, którego zasług nie można w niczem porównywać z zasługami Kolumba.

---

## HENRYK DANIEL RUMKORFF.

---

Że tylko samodzielność może doprowadzić człowieka do stanu pomyślnego, dowodzi przykład, czerpany z życia wynalazcy Henryka Daniela Rumkorffa.

Człowiek ten ze zwykłego robotnika doszedł pracą, wytrwałością i talentem do sławy, jaką cieszy się najzupełniej zasłużenie.

Henryk Daniel Rumkorff urodził się w Niemczech, w Hannowerze, w r. 1803-im.

Młodzięcze lata swoje spędził jako terminator w zakładzie ślusarsko-mechanicznym.

Mając lat 19, opuścił miasto rodzinne i udał się na wędrowkę po Niemczech, celem udoskonalenia się w swem rzemiośle.

Jakiś głos wewnętrzny, który moglibyśmy nazwać zamiłowaniem do pracy i nauki, pędził go coraz dalej, tak, że mimo nieznajomości języka, puścił się do Francji i przybył do Paryża, który miał się stać polem jego zaszczytów.

Po dwóch latach udał się do Londynu, gdzie praktycznie zwiedzał pracownie różnych mechaników, pracując u każdego przez czas pewien.

Zimni Anglicy nie zachwycili młodego człowieka. Zdobywszy wiadomości potrzebne, wrócił znów do Paryża, gdzie już jako zdolny robotnik znalazł zatrudnienie w najznakomitszych zakładach, jak np. u Karola Chevalier, znanego zaszczytnie fabrykanta z doskonałego wyrobu mikroskopów.

Lecz to wszystko nie odpowiadało marzeniom Rumkorffa; nie dość mu było naśladować innych według wzorów wskazanych, pragnął wystąpić z czemś własnym, czując samoistnie niemały pochop po temu. Na zawadzie jednak stał mu brak wyższego wykształcenia.

Więc z zaoszczędzonych pieniędzy opłacał lekcye fizyki i w zaciszu swej izdebki przemyślał nad nowemi wynalazkami w tym dziale wiedzy ludzkiej.

Pierwszym owocem tej wyteźonej pracy był wystawiony w 1844-ym r. aparat termo-elektryczny, za który otrzymał medal srebrny, pierwszą zachętę na pracowitej i trudnej drodze swego zawodu.

Od tego czasu wynalazki Rumkorffa następowały jedno za drugimi, wszystkie prawie w dziale elektryczności.

W 1851-ym r. wprowadził w podziw świat cały maszyną swoją do wytwarzania prądu elektrycznego o silnem napięciu.

W 1855-ym roku tryumf jego był zupełny; za wynalezienie aparatu indukcyjnego otrzymał honorowy medal złoty i order Legii.

Akademia umiejętności w Paryżu na wniosek znakomitego fizyka Pouilleta ofiarowała mu premium Fremonta w sumie 5,500 franków na pięcioletni przeciąg cz asu.

Premium to z woli założyciela miało być nagrodą dla tego, czyj wynalazek będzie miał największe znaczenie dla przemysłu lub nauki.

Wszystkie wynalazki Rumkorffa oddały społeczeństwu wielkie usługi, na ich bowiem zasadzie opiera się dzisiejszy olbrzymi rozwój przemysłu elektrycznego.

Są one jednak tak złożone i wymagają wyższych wiadomości, iż niepodobna wdawać się nam w szczegółowy ich opis.

Wspomnimy jeszcze tylko o znanej powszechnie „cewce indukcyjnej” używanej przy wszystkich prawie aparatach elektrycznych.

Za wynalazek ten, dokonany w r. 1845-ym, Rumkorff otrzymał od Napoleona III-go nagrodę pieniężną w sumie 50,000 franków.

Pomimo tak olbrzymiego powodzenia, Rumkorff do ostatnich chwil życia był prostym i skromnym człowiekiem, nie okazującym ani śladu zarozumiałości z dzieł przez siebie dokonanych.

Jakkolwiek w wieku podeszłym cieszył się dostatnim majątkiem, nigdy jednak nie zrzucił z siebie bluzy prostego robotnika, którą najbardziej umiłował.

Największą atoli zasługą jego w obec społeczeństwa było złożenie dowodu, że i z najniższych warstw robotniczych wynieść się można na najwyższe szczeble wiedzy i nauki, a potrzeba na to dobrej woli, wytrwałości i, co najważniejsza, samodzielności.

Gdyby Rumkorff nie miał tej ostatniej zalety, skończyłby karierę swoją jako prosty ślusarz lub mechanik nikomu nieznanym.

Dzięki popędowi samodzielności, uzupełnił w sobie braki, spowodowane nieuczęszczaniem do szkół.

Mając lat 19 umiał zaledwie czytać i pisać, w późniejszym zaś wieku przyjmował udział w rozprawach uczonych w kole najwykształceńszych ludzi, a zdanie jego zwłaszcza w zakresie fizyki uchodziło niemal za nieomyłne, jako oparte na wszechstronnem doświadczeniu i wypróbowaniu tego przedmiotu.

Dla ludzi, dążących po drodze samodzielności, Rumkorff będzie zawsze najpiękniejszym przykładem.

---

## BERNARD PALISSY.

---

Był to biedny wędrowny robotnik francuzki w XVI-ym wieku, który zajmował się garncarstwem, szklarstwem i miernictwem; powodowany ciekawością, a niezrażony i wytrwały w pracy, doszedł do wielkiego wynalazku i sławy.

W czasie swej wędrowki pilną zwracał uwagę na napotykanne przedmioty, zwiedzał kopalnie i fabryki i wszystko to z czasem posłużyło mu do zrobienia ważnego odkrycia.

Powróciwszy z podróży, ożenił się i poświęcił w zupełności garncarstwu.

Podobały mu się niezmiernie kunsztowne wyroby z polewanego fajansu i postanowił je naśladować.

Nie wiedząc jednak ani z czego składała się glin-ka używana na te naczynia, ani jakich materiałów używano do jej polewy, niezmiernie przeszedł trudności nim się tego dobałał.

Zbierał różne minerały i w rozmaitych proporcjach mieszał z sobą, wyrabiał z tego naczynia, wypalał je, a ponieważ wciąż się nie udawało, tłukł i rozpoczynał na nowo.

W ciągu dwóch lat bez przerwy chodził po sąsiednich hutach szklanych i gdzie cokolwiek nowego zauważył, po powrocie do domu próbował tego u siebie.

W tym celu zbudował potrzebny piec, co przyszło mu z wielkim trudem, bo nie mając czem zapłacić pomocnika, sam musiał mieszać wapno, nosić cegłę i rozrabiać glinę.

Nareszcie piec był gotów.

Przygotowawszy sobie odpowiednie materiały na polewę, Palissy zmieszał je, przetopił i zanurzysz w nie naczynia, zaczął wypalać.

Sześć dni i sześć nocy bez przerwy czuwał przy palenisku; wreszcie zabrakło mu drzewa, wpadł w rozpacz. Trochę opału mogło uratować jego pracę.

Rozebrał tedy płot okalający domek.

Porąbał sprzęty swego mieszkania, nakoniec zaczął wrywać deski z podłogi.

Sąsiedzi zamiast litować się nad jego mozolną pracą, wysmiewali go, nazywając waryatem.

To go bardzo bolało, ale nie przestawał pracować. Często spędzał bezsenne noce na dworze podczas śloty i deszczu, pilnując swych pieców.

Nieraz już świtało, kiedy przemokły do nitki, potaczający się ze zmęczenia, padał na garść wilgotnej słomy i zasypiał.

Nareszcie te olbrzymie trudy i niezachwiana cierpliwość uwieńczone zostały powodzeniem. Naczynia Palissego nie różniły się niczem od zagranicznych.

Wtedy dopiero zyskał uznanie u ludzi, a królowa Katarzyna de Medicis wezwała go do upiększenia zamku królewskiego w Paryżu.

Prócz wyrabiania owych ozdobnych naczyń, oddał się teraz Bernard Palissy innej pracy.

Przez całe życie zbierał okazy minerałów i różnych gatunków ziemi, spotykanych w swych podróżach.

Teraz mając czas wolniejszy, zaczął te zbiory porządkować i z nabranego doświadczenia tworzyć nowe domysły naukowe.

On pierwszy powiedział i dowiódł, że znajdujące się w skałach muszle są prawdziwemi, zaniesionemi tam przez wodę i wiele jeszcze innych prawd naukowych.

Chętnie go też słuchali uczeni, a w dowód uznania jego umiejętności dano mu miejsce profesora.

Teraz był Palissy w swoim żywiole, pracował z pożytkiem dla ojczyzny.

Ale współrodacy i król Henryk Walezyusz źle mu się odplacili.

Palissy był protestantem, a wtedy właśnie we Francyi wrzała walka katolików z protestantami, zwanymi tam hugonotami.

Starca uwięziono i włóczono lat kilka z więzienia do więzienia.

Król czas jakiś bronił go, potem zaś powiedział, że jest zmuszony wydać Palissego na pastwę krwiożerczego stronnictwa.

Na to Palissy odrzekł: „Lituję się nad tobą, królu, że jesteś zmuszony.”

---

## WILHELM PHIPPS.

---

Wilhelm Phipps, protoplasta rodziny Mulgravé, daje pouczający przykład wytrwałości.

Urodził się 1651-go roku w Maine, kolonii amerykańskiej, należącej podówczas do Anglii.

Ojciec jego, biedny puszkarz, miał 26 dzieci, w tej liczbie 21 synów.

Za cały majątek dał im silne ręce i nieustraszone serca.

Wilhelm od najmłodszych lat miał chęć do żeglarstwa; coś go ciągnęło do zwiedzenia szerokiego świata, do szukania przygód.

Ponieważ jednak nie mógł dostać się na żaden statek, rozpoczął więc naukę jako terminator w warsztatach okrętowych.

W chwilach wolnych od pracy ręcznej wprawiał się w czytanie i pisanie, kosztem snu i wypoczynku.

Po ukończeniu terminu udał się do Bostonu, gdzie zaślubił dosyć zamożną wdowę, założył warsztat własny i pierwszy mały okręcik, jaki w warsztacie tym wykończył, zatrzymał dla siebie.

Na statku tym puścił się na morze i handlował drzewem.

Przez lat dziesięć zawód ten przynosił mu wiele pracy i trudów, lecz mało zysku.

Przechodząc pewnego dnia przez ulicę Bostonu, usłyszał rozmowę majtków, opowiadających sobie o zatonięciu wielkiego okrętu w pobliżu wysp Bahama.

Na okręcie tym miały się znajdować wielkie skarby.

Kilkanaście słów, usłyszanych w przelocie, zbudziły w Wilhelmie dawnego ducha awanturniczego, drzemającego od dłuższego czasu.

Nie tracąc ani chwili, zebrał osadę, złożoną z kilkunastu ludzi, nie mających nic do stracenia i puścił się z nią w okolice wyspy Bahama.

Ponieważ okręt zatonął blisko brzegu, z łatwością go więc odszukał, wydobył zeń znaczną część ładunku, lecz pieniędzy nie znalazł.

Zysk osiągnięty zaledwie pokrył koszta tej osobliwej wyprawy.

Powodzenie jednak zachęciło jego umysł przedsiębiorczy.

Wkrótce potem dowiedział się o zatonięciu innego okrętu, który istotnie naładowany był srebrem.

Wypadek zatonięcia nie był jednak świeży, zdarzył się bowiem przed pięćdziesięciu laty w pobliżu portu de la Plata.

Nie wahając się długo, postanowił okręt ten wydobyć, a przynajmniej wyłowić zawarte w nim skarby.

Przedsięwzięcie jednak takie przechodziło jego zasoby finansowe.

Udał się więc do Anglii, w nadziei znalezienia tam pomocy pieniężnej.

Poprzedzony sławą wydobycia okrętu, zatopionego w pobliżu wyspy Bahama, zwrócił się wprost do rządu.

Wytrwałością potrafił przełamać zwykle w takich razach przeszkody i otrzymał od Karola II-go dowództwo nad okrętem o 5 działach i 95-ciu ludziach osady, oraz zasoby potrzebne do odbycia zamierzonej podróży.

Z łatwością przybył na wybrzeża, gdzie statek ze skarbami miał być zatopiony.

Ale jak wynaleźć samo miejsce?...

Pięćdziesiąt lat już upłynęło od wypadku; jedynie tylko tradycyjne zebrać można było wskazówki.

Należało więc dokładnie zbadać wybrzeża i gładki ocean, na których naturalnie nie było ani śladu zatopionego okrętu.

Ale Phipps był wytrwałym w pracy i miał niezłomną wiarę w powodzenie.

Zaprzągnął więc ludzi osady do dragowania wybrzeży.

Biedacy ci całe tygodnie spędzali na wydobywaniu wodorostów, kamyków i odłamów skalnych.

Nie mogło być nudniejszej nad tę roboty, zwłaszcza dla marynarzy.

Zaczęli też wkrótce szemrać, że to nie ich rzecz. Od szemrań coraz głośniejszych przyszło nawet do buntu jawnego.

Pewnego dnia część załogi napadła na Phippsa i zaczęła domagać się porzucenia wszystkiego i powrotu do Anglii.

Energiczny ten człowiek nie dał się jednak ustraszyc.

Siłą charakteru i woli przytłumił bunt, przywódców ukarał, innych zaś ujął w karby posłuszeństwa.

Nie na długo przecież zapanował spokój wśród osady.

Dla naprawy statku zatrzymano się przy brzegu małej bezludnej wysepki i musiano go prawie doszczętnie wyładować.

Osada skorzystała z tej sposobności, uknuła spisek, mający na celu wrzucenie Phippsa do morza, zawładnięcie statkiem i puszczenie się na korsarstwo.

Dla urzeczywistnienia projektu potrzebną była koniecznie pomoc starszego cieśli okrętowego; przypuszczono go więc do tajemnicy, on zaś cały plan odkrył kapitanowi.

Phipps zebrał na okręcie wiernych sobie ludzi, ściągnął pomost łączący okręt z brzegiem i wymierzył działa nabite kartaczami.

Kiedy zbuntowani majtkowie ukazali się na brzegu, zapowiedział iż każe strzelać, jeżeli się na krok zbliżą do ładunku.

Cofnęli się przerażeni.

Pod osłoną dział cały ładunek przeniesiony został na okręt, a wtedy zbuntowani, obawiając się, ażeby ich nie zostawiono na odludnej wyspie, złożyli broń i na klęczkach błagali o pozwolenie powrotu do posłuszeństwa.

Phipps przyjął ich na okręt, lecz zawinąwszy do

pierwszego ludnego portu, wysadził, a na ich miejsce zwerbował nowych ludzi.

Niedługo jednak uznał, iż zanim rozpocznie nowe poszukiwania, koniecznie musi wracać do Anglii dla naprawy statku.

Po niejakiem czasie zyskawszy dokładniejsze wiadomości o miejscu zatonięcia okrętu hiszpańskiego ze skarbami, wracał z próznią co prawda rękoma, ale z większą pewnością pomyslnego dokonania zamiaru.

W Londynie Phipps zastał na tronie Jakóba II-go Stuarta, a naród zajęty innemi sprawami.

Odwołał się więc do publiczności o składkę.

Przez cztery lata w największej biedzie póty przekonywał, starał się, deptał po wszystkich progach, aż nakoniec utworzył stowarzyszenie pod opieką księcia Abermale.

Przybywszy do Port de la Plata w bliskości raf, o które, jak wieść niosła, miał się rozbić okręt hiszpański, zajął się najprzód zbudowaniem łódki na 10-u wiosłarzy tak płazkiej, by do każdego zakątka miała przystęp.

Nieraz sam musiał rękę przyłożyć do siekiery.

Następnie wymyślił rodzaj dzwonu podwodnego, poczem najął najlepszych nurków indyjskich, wprawionych do poławiania pereł i kazał im przeszukiwać dno morskie.

Przez kilka tygodni nie otrzymano żadnego rezultatu,

Pewnego dnia Phipps wychyliwszy się z łodzi, dostrzegł w wodzie jakąś dziwną roślinę i kazał ją zerwać nurkowi.

Nurek wypłynąwszy z żadaną rośliną doniósł, że w wodzie widział mnóstwo dział okrętowych.

Zaczęto skrzętnie szukać dalej i wkrótce jeden z nurków wydobył z morza ciężką sztabę srebra.

W ciągu kilku dni następnych wyłowiono z zatopionego okrętu złota i srebra za olbrzymią sumę, przynoszącą wartość czterech milionów rubli.

Gdy Phipps powrócił z temi skarbami do Anglii, otrzymał z podziału około pół miliona, a oprócz tego król obdarzył go szlachectwem.

Wkrótce potem został szeryfem Nowej Anglii.

Następnie piastował urząd gubernatora Massachusetts, poczem wrócił do Anglii, gdzie zakończył życie 1695 roku.

Nigdy nie wstydził się swego pochodzenia, owszem szczycił się, że z prostego cieśli okrętowego doszedł do najwyższych godności i zaszczytów.

---

## ŚWIĘTY WINCENTY à PAULO.

Ojciec Św. Wincentego, ubogi rolnik francuzki, sprzedał woły od pługą, aby móżd opłacić szkołę dla ukochanego syna.

To poświęcenie rodziców wyszło im na dobre, bo syn stał się nietylko pociechą dla nich, ale chlubą dla ojczyzny.

Skończywszy wyższe nauki, wyświęcił się na kapłana i zaczął prowadzić życie pełne poświęcenia i miłości dla bliźnich.

W czasie podróży morzem, w interesie familijnym, okręt na którym jechał młody Wincenty, dostał się w ręce korsarzy, to jest rozbójników morskich.

Przybiwszy do brzegów afrykańskich, korsarze sprzedali wszystkich podróżnych, okutych w kajdany, do niewoli.

Św. Wincenty dostał się na galery, czyli statki, na których umieszczeni niewolnicy pracować musieli nad ufortyfikowaniem przystani.

Słabowitego zdrowia młodzieniec ciągle chorował, wskutek tego do ciężkiej pracy nie był zdatny.

Sprzedawano go z rąk do rąk, aż trafił na takiego pana, którego nawrócił na wiarę chrześcijańską i przybył z nim napowrót do Francji.

W niewoli swej napatrzył się wiele nędzy i sam nacierpiał się niemało, to też biedni nieszczęśliwi chorzy i skazańcy na galery budzili w nim szczególną litość.

Na brzegach francuzkich, około twierdzy morskich stały na kotwicach takie same galery, jak w Afryce, z tą tylko różnicą, że tu około budowy i umocnienia portów pracowali skazani za zbrodnie więźniowie.

Byli oni przykuci do statków łańcuchami i obchodzono się z nimi równie nieludzko, jak w Afryce z niewolnikami.

Wincenty à Paulo powróciwszy do Francyi, przyjął miejsce nauczyciela u inspektora galer w Marsylii, aby mieć sposobność zbliżenia się do nieszczęśliwych galerników.

Pewnego razu zastąpił w pracy jakiegoś chorego złoczyńcę.

Ten, korzystając z czasu i swobody, umknął.

Wincenty pozostał na jego miejscu w towarzystwie zbrodniarzy i karmił się tym samym co i oni chlebem.

Nareszcie odszukano go i oswobodzono, ale ślady kajdan zostały mu na zawsze na rękach.

Ludwik XIII-ty król francuzki, dowiedziawszy się o dobrych czynach księdza Wincentego, uczynił go swoim jałmużnikiem na galerach.

Wtedy, niekrępowany żadnymi obowiązkami, oddał się młody kapłan więźniom całą duszą.

Wielu przestępców nawrócił, pobudzając w nich żal i skruchę za grzechy, a za pomocą swego wpływu polepszył o ile się dało los nieszczęśliwych skazańców.

W kilka lat potem udał się do Paryża, gdzie założył stowarzyszenia duchowne: mężczyzn, pod nazwą „Braci miłosierdzia” i kobiet „Siostr miłosierdzia” czyli szarytek.

Jako obowiązek wskazał im: wynajdywanie biednych i chorych, opiekowanie się dziećmi i pielęgnowanie ich, nauczanie biednych opuszczonych dzieci i inne prawdziwie miłosierne uczynki.

Użyteczny ten zakon rozszerzył się nie tylko we Francji, ale po całym świecie.

I nasze warszawskie szarytki są siostrami miłosierdzia Świętego Wincentego à Paulo.

Pozostawiwszy godnych siebie zastępców w kraju, Wincenty zbierał jałmużnę i z zebranymi pieniędzmi udał się do Afryki po wykup niewolników.

Przeszło tysiąc dwieście ludzi zawdzięczało mu swoją wolność.

Takim sposobem zacny i szlachetny ten kapłan wszędzie wokół siebie szerzył spokój i szczęście.

Kościół święty, oceniając rzadkie cnoty i zasługi tego męża, policzył go w poczet świętych.

Żył on w końcu XVII-go i na początku XVIII-go wieku.

Uroczystość jego obchodzimy dnia 19-go Lipca.

---

## RAWLINSOHN.

---

Do liczby najbardziej ciekawych przykładów ile zdziałać może siła woli, chociażby w skromnym obrębie, jest odkrycie znaczenia napisów klinowych na kamieniach, znalezionych w Niniwie, do których klucz zagubionym został od czasu zawojowania Persyi przez Macedończyków.

Młody a zdolny kadet kompanii wschodnio-indyjskiej, nazwiskiem Rawlinsohn, przebywając w Persyi, spostrzegł, iż okoliczne starożytne pomniki, o których wszelka wzmianka historyczna zaginęła, pokryte są znakami, mającymi kształt ćwieków.

Rawlinsohn zabrał się do kopijowania tych napisów, a między innymi zdjął także napis ze słynnej skały Behistun, wznoszącej się prostopadle na 1,700 stóp ponad równiną.

Niższa część tego kolosu, do wysokości przynajmniej 300-tu stóp pokryta jest napisami w trzech językach: perskim, scytyjskim i asyryjskim.

Uważnem i cierpliwem porównywaniem języka obecnego z tym jaki zaginął, młody kadet doszedł do pewnej wprawy w kombinowaniu pisma klinowego, a nawet utworzył pewnego rodzaju alfabet, mogący służyć do odcyfrowania napisów.

Rawlinsohn, zdjawszy mnóstwo kopij, posłał je z własnymi objaśnieniami do Anglii, celem bliższego rozpatrzenia.

Naówczas jednak profesorowie w uniwersytetach Wielkiej Brytanii nie słyszeli jeszcze o piśmie klinowym i żaden z tych uczonych nie miał nawet przybliżonego pojęcia o starożytnem piśmie perskiem lub babilońskiem.

Na szczęście znalazł się mało znany, skromny komisant kompanii wschodnio-indyjskiej, Morris, który sam, zajmując się studjami nad pismem zamarłem, lepiej niż uczeni archeologowie mógł ocenić kopije Rawlinsohna.

Morris nigdy w życiu nie widział skały Bahistun i jedynie tylko dzięki cierpliwemu zastanawianiu się nad przedmiotem, doszedł, iż kopija Rawlinsohna w wielu miejscach nie była wierną.

Rzeczywiście kadet, który jeszcze bawił w Bahistun, porównał swój rysunek z oryginałem i przekonał się, że Morris ma słuszość.

Tym to sposobem przez porównywanie i uważne

studya, pracą, niecofającą się przed żadnymi trudami, znajomość pisma klinowego odkryła nam nowe pole badań dla archeologów.

Ażeby jednak stworzona nauka przez Rawlinsona i Morrisa mogła wydać owoce, potrzeba było trzeciego człowieka, któryby swemi wiadomościami przyszedł im z pomocą.

Tym trzecim współpracownikiem był Augustyn Layard, poprzednio dependent u notaryusza w Londynie.

Któżby pomyślał, iż ci trzej ludzie: kadet, komisant i dependent, odkrywają język całkiem zapomniany i rozjaśniają historję Babilonu?

A jednak tak się stało.

Layard liczył 22 lat wieku, kiedy podróżując po Wschodzie, powziął pierwszą myśl zwiedzenia miejscowości nad rzeką Eufratem.

Z jednym tylko przewodnikiem, ufając doskonałej swej broni, a bardziej jeszcze wytrwałości oraz szczęśliwemu usposobieniu i wrodzonej uprzejmości, puścił się między napół dzikie, wiodące z sobą nieustanne walki, hordy koczujące.

Mimo przeszkód i trudności, z niewielkimi stosunkowo zasobami materyalnymi, ale z potężnym zasobem prawie nadludzkiej cierpliwości, po kilku latach

trudów i zaparcia się, zdołał wydrzeć zapomnieniu nieoszacowane skarby historyczne.

Ażebym choć w przybliżeniu powziął wyobrażenie o tej pracy kolosalnej, powiemy tylko, iż Layard odkopał przeszło trzy kilometry płaskorzeźby.

Zbiór jego, pomieszczony w British Museum, posłużył w wielu wypadkach do objaśnienia Pisma Św., stanowiąc niejako naoczne świadectwo prawdziwości wypadków, jakie działy się trzy tysiące lat temu.

Sprawozdanie ze swych prac i poszukiwań Layard pomieścił w dziele noszącem tytuł: „Pomniki Niniwy.“

Dzieło to może posłużyć jako przykład, czego człowiek jest w stanie dokonać, gdy z energią i odwagą, a zarazem wytrwałością i przedsiębiorczością postępuje ku celowi, jaki obrał sobie za główne zadanie swego życia i działalności.

Dowody podobnej energii znajdujemy w wielu innych zawodach.

Wszystkie gałęzie sztuk, nauk i przemysłu dostarczają nam przykładów uderzających, co można zdziałać, biorąc sobie za hasło niepokonaną odwagę i wytrwałość.

---

## JAN AMOS KOMENSKI.

Trzysta lat temu, bo 28 Marca 1592 roku urodził się na Morawie Jan Amos Komeński.

Straciwszy wczesnie rodziców, mały sierota został na opiece krewnych, którzy nie dbali o to, aby mu dać wykształcenie.

Dopiero w 16-ym roku życia, zrozumiawszy piękność i pożytek nauki, Komeński wszelkimi siłami zaczął się do niej garnąć.

Wiedząc, że bez umiejętności łaciny nie da sobie rady, pilnie się przykładał do nauki tego języka, choć przychodziło mu to z wielką trudnością.

Przygotowawszy się odpowiednio, prawie bez pomocy nauczyciela, wstąpił na uniwersytet w Heidelbergu i chlubnie go skończył.

Następnie zwiedzał Angliję i Holandję, poczem dopiero powrócił do Czech, gdzie go poprzedziła sława uczonego.

Zaraz też ofiarowano mu miejsce nauczyciela w Przerowie, a potem w Ołomuńcu.

Zostawszy nauczycielem, zaprzyjaźnił się z uczniami i miał sposobność zbadać dokładnie, o ile ówczesny wykład nauki był trudny i nieprzystępny dla młodocianych umysłów.

Wszystkie tedy swe siły skierował ku temu, aby dzieciom możliwie uprzystępnić naukę, wyszukując drogi, któremi byłoby najłatwiej trafić do dziecinnych głów, rozrywką zachęcić do szkoły i wreszcie dać należyty wypoczynek po pracy.

W tym celu pisał wiele książek, jak: „Brama języków“, „Przedsiónek“, które ułatwiały naukę języka łacińskiego, „Wielka dydaktyka, traktująca wogóle o sposobie wykładania nauk“, „Wszechmądrość“, mająca za przedmiot nauki przyrodnicze, historję i wiele jeszcze innych, które służyły nauczycielom za wskazówki, jak prowadzić, czego i w jaki sposób dzieci uczyć należy.

Jako Czech rodem, Komeński miał przedewszystkiem na względzie dzieci czeskie i dlatego pracował w rodzinnym kraju.

Niedługo to jednak trwało.

Wkrótce po bitwie pod Białą Górą 1625 roku, w której Austriacy zwyciężyli Czechów, cesarz Ferdynand wydał rozkaz, aby wszyscy nie-katolicy, to jest wyznający religję protestancką, kraj opuścili.

Komeński, który nietylko wyznawał zasady sekty Braci Czeskich, lecz był nawet, niezależnie od zawodu nauczyciela, biskupem ich, zmuszony został też do emigracyi.

Udał się tedy na Szląsk.

Nie chcąc jednak korzystać z gościnności bezczynnie, przyjął obowiązek nauczyciela w szkole Braci Czeskich, istniejącej w Lesznie.

Urządzenie tej szkoły, jak i innych współczesnych, było wadliwe; młodzież uczyła się źle i nieregularnie chodziła na wykłady.

Komeński opracował nowe przepisy szkolne, które z czasem wprowadzono do wszystkich szkół i które obowiązują aż dotąd, mianowicie 5 godzin dziennie przeznaczył na naukę w szkole, pozostawiając między wykładami wolne godziny na przygotowanie zadanych lekcyj, publiczne egzaminy trzy razy do roku i dwa razy w tygodniu rekreację po południu.

Nauczycielska sława Komeńskiego szybko rozeszła się po Europie; zaczęto go tedy wzywać w różne strony z prośbą o poradę w urządzeniu szkół.

Na Węgrzech, w mieście Szarosz-Pataku założono według jego wskazówek szkołę z kursem 7-letnim, odpowiadającym 7 klasom gimnazjalnym i uczyniono ją przystępną dla wszystkich stanów, a więc dla szlachty, mieszczan i włościan.

Wykłady miano przeplatać uczeniem się zadanych lekcyj i rozrywkami na świeżem powietrzu.

Nauczycielom wyznaczone były przyzwoite wynagrodzenia, aby nie potrzebowali pracować na innem polu w celu powiększenia swych dochodów, lecz aby mogli całkowicie poświęcić się swemu powołaniu.

Są to wszystko ulepszenia, do jakich dziś jeszcze nie doszły wszystkie szkoły, choć je uznano powszechnie za bardzo pożyteczne.

Dowodzi to właśnie, jak wysoko rozwinął się umysł Komeńskiego, skoro już trzysta lat temu doszedł on do wyrobienia w sobie takich przekonań, a rozwój ten zawdzięczał głównie własnej pracy.

Komeński doczekał się późnej starości, zmarł bowiem w 1670 roku, mając 78 lat, w Amsterdamie.

W ciągu życia swego napisał i wydrukował 147 dzieł, a 12 pozostawił jeszcze w rękopiśmie.

Wdzięczni współrodacy wystawili mu pomnik w mieście **Brendysie** w Czechach.

---

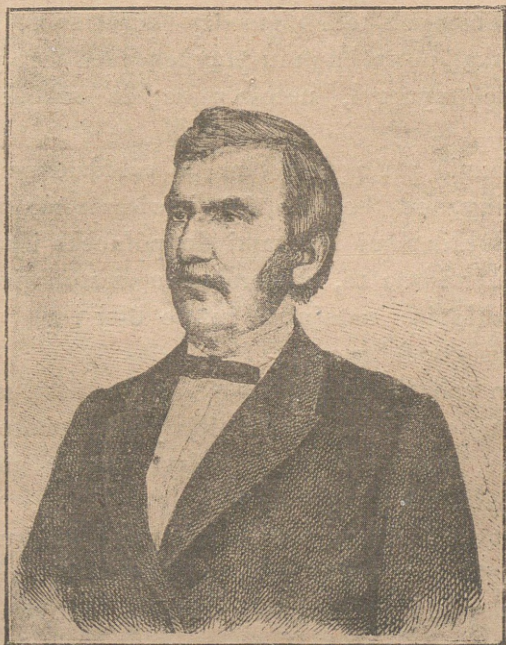
## LIVINGSTONE DAWID.

---

Słynny podróżnik afrykański Dawid Livingstone urodził się w r. 1817 w Blantyre (wymawia się: *blentajr*) w bliskości miasta Glasgowa w Szkocyi.

Imiona: Krzysztofa Kolumba, Vasco de Gama, Ferdynanda Diaz, Cook'a i innych, do dni dzisiejszych przyświecają przykładem tysiącom, którzy niosą cywilizację w głąb Afryki.

Na czele tych nowych szeregów stoi niezaprzeczenie Livingstone.



David Livingstone.

Ojciec jego był biednym handlarzem smoły w małym miasteczku górskim w Szkocyi.

Młody Livingstone w dziewiątym roku życia zaczął pracować w poblizkiej przędzalni bawełny.

Z zarobionych tam pieniędzy kupił sobie gramatykę łacińską, potrzebną mu przy lekcjach tego języka, którego się wyuczył, uczęszczając do szkółki wieczornej.

Codziennie przepędzał tam po całodziennej pracy dwie godziny, od 8-ej do 10-ej wieczorem, poczem śleczał nad zadanymi lekcjami do północks i później.

Matka, widząc to, odbierała mu często świecę dlatego, że chłopiec nazajutrz już o 6-ej rano musiał znajdować się w fabryce.

W ten sposób kształcił się do szesnastego roku życia, czytując w chwilach wolniejszych rozmaite książki naukowe, między którymi opisy podróży największą sprawiały mu przyjemność.

Nawet w fabryce, pomimo szumu i hałasu, czytywał, położywszy przed sobą książkę na maszynie.

Podczas lata w niedziele i święta odbywał wycieczki w odleglejsze okolice, celem poznawania roślin dzikich.

Pewnego dnia w rozpadlinie jakiejś skały znalazł dwie muszle skamieniałe.

Od tej chwili poświęcił się z całym zapałem studjom geologicznym.

Powoli, lecz bezustannie, dzięki niez mordowanej wytrwałości, wzbogacał umysł swój najrozmaitszymi wiadomościami, a im obszerniej roztwierał się przed nim horyzont duchowy, tem więcej utrwalała się w nim chęć poświęcenia życia na usługi cierpiącej ludzkości.

W marzeniach młodzieńczych postanowił jako misjonarz udać się do Chin.

W tym celu, zdawszy odpowiednie egzaminy, wstąpił do uniwersytetu w Glasgowie, aby studjami systematycznymi i pracą przysposobić się do tego zaszczytnego zawodu.

Ubóstwo nie pozwalało mu oddać się zupełnie nauce, podczas lata więc pracował wytrwale w fabryce, zimową zaś porą słuchał wykładów medycyny, nauk przyrodniczych i teologii.

Utrzymywał się najskromniej z funduszu, jaki zdołał zaoszczędzić; nie potrzebował więc nic od nikogo, ale jedynie pracy rąk własnych zawdzięczał wszystko.

„Kiedy obecnie rzucam okiem w moją przeszłość,“ pisze we własnej biografii, kiedy przebiegam myślą ścieżki, po których szedłem, kiedy przypominam sobie czasy minione, a tak pełne dolegliwości i utrapień smutnych, składam modły dziękczynne Bogu, iż mnie przeprowadził przez tę surową szkołę życia i nędzy.

Ach, gdyby to odemnie zależało, chętnie jeszcze raz w tych samych warunkach puściłbym się przebyć tą drogą mej młodości.“

Po ukończeniu studyów medycznych i złożeniu egzaminów doktorskich, Livingstone wszedł w związki z londyńskiem towarzystwem misyonarzy angielskich.

Od towarzystwa tego otrzymał polecenie udania się do Chin.

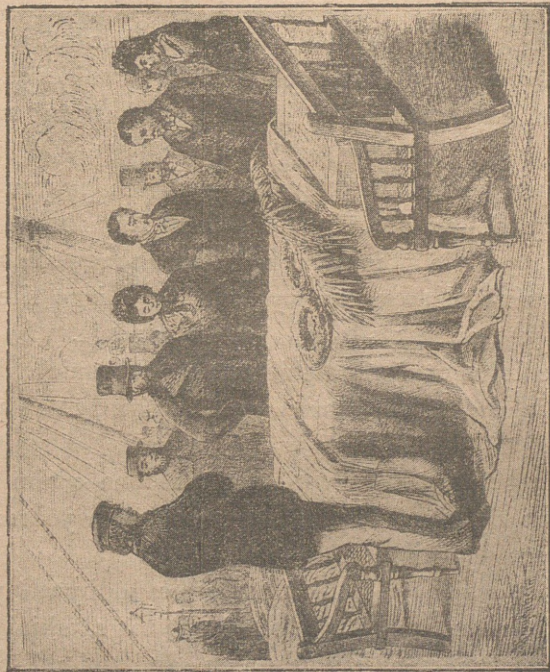
Przygotowania do podróży nie zabrały mu wiele czasu, gdyż i potrzeby jego były bardzo ograniczone i wkrótce młody człowiek gotów był już odплыnąć na miejsce przeznaczenia, gdy nagle wybuchła wojna między Anglią a Chinami z powodów, niewiele mających wspólnego z moralnością, a mianowicie w obronie prawa dostawy opium dla Chińczyków.

Wypadek ten pokrzyżował zamiary Livingstona i nadał inny kierunek jego planom.

W roku 1840-ym udał się w okolice Afryki południowej, gdzie w charakterze misyonarza, lekarza, wreszcie podróżnika rozwinął niezmierną działalność.

Przemieszkując wśród dzikich pokoleń Betszuanów, zajmował się na wielką skalę uprawą roli i hodowlą bydła.

Sam budował domy, kopał kanały, celem osuszenia gruntów bagnistych, jednym słowem, we wszyst-



Zwłoki Livingstona na pokładzie okrętu „Malwa.”

kich robotach przewodniczył krajowcom, ucząc ich i cywilizując własnym przykładem.

Wytrwałość jego, energija i odwaga w dalekich podróżach godną jest uwielbienia, a jeżeli szczęście stale mu przyświecało w odległych i długo trwających wycieczkach, zawdzięczał to głównie osobistym swoim przymiotom.

Pewnego razu, w samych początkach pobytu swego między Betszuanami, podczas podróży usłyszał rozmowę toczącą się pomiędzy kilku jego przewodnikami, którzy z powątpiewaniem wyrażali się o jego sile.

Nie jest on tak silnym, jak się wydaje.

Obecnie włożył na siebie worki (ubranie), które mu nadają pozór, ale można być pewnym, że się prędko zmęczy.

Livingstona gniewały te niepoehlebne o nim uwagi, postanowił więc dać lepsze o sobie wyobrażenie swym czarnym towarzyszom.

Nie zważając więc na utrudzenie, odbywał przez kilka dni dalszą pieszą wędrówkę i to z takim pośpiechem, aż zmęczeni przewodnicy sami zmienili o nim zdanie pierwotne i oddali mu sprawiedliwość.

O zasługach Livingstona, położonych w zakresie religii, ludzkości, tudzież dla umiejętności przyrodniczych i geograficznych, najlepiej świadczą między

innemi sprawami misyonarskie, własnem piórem spisane.

Dzieła te wydają się raczej powieścią z tysiąca i jednej nocy, niż historią rzeczywistych wypadków życia człowieka.

Livingstone odkrył w czasie swych podróży w Afryce jezioro Ngami w r. 1849, jezioro Schirwa w r. 1859, jezioro Zanzibar w r. 1866 i jezioro Udździ w r. 1871; umarł w r. 1873 w Tschitambo.

---

## KAROL XII, KRÓL SZWEDZKI.

---

Karol XII, urodzony w r. 1682 w Sztokholmie, w młodzięcym jeszcze wieku, bo już w r. 1697-ym wstąpił na tron.

Sąsiedzi cieszyli się z tego, że łatwo im przyjdzie wymóżyć na młodym władcy różne ustępstwa, a w razie okazanego oporu, pokonać go na polu bitwy.

Bardzo się jednak omylili w swych przypuszczeniach, bo młody Karol nietylko że bezkarnie swoich granic najężdżać nie dał, ale wtrącał się nawet do spraw sąsiadów.

Od dzieciństwa objawiała się w nim energia i moc charakteru.

Dowodzą tego liczne przykłady, jakie z pierwszych lat jego życia opowiadają.

Pewnego razu piastunka posadziła go na krześle i wymogła na nim obietnicę, że się nie ruszy z miejsca, dopóki nie powróci.

Tymczasem królowa matka nadeszła i chciała księcia zabrać z sobą na przechadzkę.

Chłopiec odmówił towarzystwa matce i nie chciał nawet wstać.

Zdziwiona królowa zapytała o przyczynę tego uporu, której Karol opowiedział o danem słowie i dodał, że przyrzeczenia dotrzymać musi.

Kiedy już był starszym i uczył się, miał nieznośne przyzwyczajenie, świdrować przy lekcyi szczypcami w zapalonej świecy.

Nauczyciel jego, Nordenhjelm, strofował go za to często i porównywał do ćmy, która zawsze koło światła się kręci.

Raz Nordenhjelm opowiadał księciu o indyjskiej religii, według której dusza człowieka po śmierci przechodzi w ciało zwierzęce.

Ciekawym, w jakie zwierzę wstąpiłaby moja dusza? spytał Karol.

Zapewne w ćmę, odrzekł nauczyciel.

Księżę wziął do serca tę przymówkę, natychmiast położył szczypce i nie tknął ich już nigdy.

Karol XII był znakomitym wojownikiem, ale miał:

Postanowiłem sobie nigdy wojny niesłusznej nie rozpoczynać, nigdy też słusznej wojny nie skończyć, póki nie pokonam mych wrogów.

W postępowaniu z żołnierzami był nadzwyczaj sprawiedliwym.

Podczas oblężenia pewnej twierdzy, stary pułkownik Reichel położył się na chwilę, aby spocząć.

Ledwie zasnął, obudzili go rozkazem, żeby się udał na stanowisko.

Starzec powstał, ale narzekał na uciążliwość służby. Skargę tę usłyszał król i uznał ją za słuszną.

Poszedł tedy do pułkownika i rzekł:

Jam wypoczął należycie, tyś jeszcze pułkowniku zmęczony.

Oto masz mój płaszcz, prześpij się, ja cię zastąpię.

Napróżno się Reichel wymawiał, musiał uleść woli królewskiej.

Gdy Karol XII był oblężonym pod Sztralzundem, dyktował pewnego dnia list sekretarzowi swemu.

Wtem wpadła bomba na dom, przebiła się przez dach i rozbiła się obok pokoju, w którym się król znajdował.

Sekretarz przestraszył się i pióro wypadło mu z ręki.

Cóż się to stało, co panu jest takiego?—zapytał król.

Sekretarz odpowiedział drżący:

Ach! królewska mości, bomba spadła.

Na to mu odrzekł król obojętnie:

Co pana to obchodzi? co bomba ma z moim listem do czynienia? Pisz pan dalej!

Bohaterski ten i sprawiedliwy monarcha w 36-ym roku życia swego poległ przy twierdzy Fridrichshall w Norwegii 1718 r.

---

## FLORENTYNA NAJTINGEL.

---

Wychowana starannie i obdarzona sercem, odczuwającą każdą niemoc i niedolę, dzielna ta kobieta już za młodych lat badała wytrwale stan szpitali angielskich pod względem obsługi, administracyi oraz zastosowania środków poprawy wszelkich niedogodności i nadużyć.

W tym celu urządziła według własnego pomysłu szpital w Londynie, który powszechnie stawiano za wzór porządku i ludzkości w traktowaniu chorych.

Działalność jednak Florentyny oczekiwała szerszego pola, aby się wykazać w całym blasku.

Sposobność wkrótce się nadarzyła.

Wybuchła wojna wschodnia i wojska angielskie udały się do Krymu.

Dzieje tej kampanii zaznaczyły się klęskami dla armii, klęskami, których przyczyną był nie tyle oręż nieprzyjaciela, ile nieład administracyi.

Wojsko angielskie pod każdym względem cierpiało niedostatek, ale najbardziej odczuwali go ranni i chorzy.

Dowiedziawszy się o tem, panna Najtingel zebrała koło siebie kilkanaście równie jak i ona zacnych, odwagą ożywionych kobiet i pośpieszyła wraz z niemi do Krymu.

Przybywszy do Bałakławy, przekonała się, że wieści, dochodzące do kraju, były zaledwie słabem odbiciem istotnego stanu rzeczy.

Cały zarząd służby zdrowia opierał się na pisaninie, nigdzie zaś nie było widać czynu istotnego.

Na każdym kroku dawał się odczuwać brak żywności, materyałów aptecznych, instrumentów chirurgicznych, szarpi, bandaży, bielizny, słowem brak wszystkiego, co koniecznem jest dla chorych i rannych, obok zupełnego niedostatku rąk niewieścich, umiejących tak czule i troskliwie opatrywać nieszczęśliwych, a co ważniejsza, pocieszać i tem umilać ostatnie godziny umierających i pokrzepiać przychodzących do zdrowia.

Dzielna Florentyna w skromnym pamiętniku swoim kreśli z prostotą przerażające obrazy tych scen szpitalnych.

Brak wozów ambulansowych nie pozwalał z dostateczną szybkością odsyłać z pola bitwy nieszczęśliwych wojowników.

Szpitalne polowe były jaknajgorzej urządzone, w których mnóstwo rannych bez opatrunków ginęło w okropnych męczarniach, mnóstwo ciał zmarłych oczekiwało po kilka dni na pogrzeb.

Słowem był chaos nie do opisania.

Zdawałoby się, że odwaga jednej kobiety musi uleść wobec niepodobieństwa.

Jednak stało się przeciwnie, energia zwyciężyła.

Odwaga jej przełamała wkrótce biurokratyczne nawyknięcia.

Pod jej wpływem powstały nowe szpitale, a stare odświeżono i oczyszczono.

Na głos panny Najtingel przybyły z Anglii okręty z bielizną, lekarstwami, narzędziami i żywnością.

Ona sama, niby duch dobry, niosła wszędzie osobistą pociechę i opiekę.

Wśród największego ognia bitwy pod Inkermanem, przy zdobyciu Sebastopola, ona sama na czele małego zastępu słabych kobiet, unosiła biednych rannych z pod kopyt końskich, rowów fortecznych i co

najmniej połowę nieszczęśliwych uratowała od niechybnej śmierci.

Takie bohaterstwo, taka odwaga, nieustająca staranność i czynność podtrzymywane były rzadką energią woli tej kobiety.

Siły ludzkie jednak mają swe granice.

Florentyna Najtingel, wycieńczona zabójczą pracą, zapadła na żółtą febrę.

Generałowie, żołnierze i wszyscy, którzy jej tyle dobrego zawdzięczali, błagali, by powróciła do Anglii.

Lecz ona lękała się, ażeby nieład nie wkraść się nanowo do dzieła z takim mozołem ulepszanego.

Wolą energiczną stłumiła chorobę; pozostała między chorymi do końca kampanii i można o niej powiedzieć, jak o owym dobrym wodzu, który ostatni schodzi ze stanowiska, że spełniła całą swą powinność, przyjętą dobrowolnie.

---

## KAROL LINEUSZ.

---

Sto lat temu znano około 7,000 gatunków roślin, dziś zaś uczeni liczą ich przeszło sto tysięcy.

Naturalnie, że do poznania i opisania tyłu naj-

rozmaitszych roślin przyczyniło się wielu ludzi, a jednym z największych miłośników kwiatów i najsławniejszym zarazem z botaników był Szwed, Karol Lineusz.

Dla łatwiejszego poznajomienia ze znajdującymi się na ziemi zwierzętami i roślinami, uczeni podzielili je na kilkanaście gromad, zwanych rodzinami, według podobieństwa lub różnicy, zachodzącej między oddzielnymi osobnikami.

Takim właśnie uporządkowaniem roślin wślawił się Karol Lineusz.

Był on synem ubogiego pastora, urodził się 1706 roku w Szwecyi.

Ojciec jego poza obowiązkami swego stanu cały wolny czas poświęcał pielęgnowaniu kwiatów, które nadzwyczajnie lubił.

Mały Karolek odziedziczył po ojcu to zamiłowanie, które zaczął okazywać, będąc jeszcze niemowlęciem.

Opowiadają o nim, że w największym płaczu, pokazaniem kwiatka można go było utulić.

Jak tylko podrósł, zaczął pomagać ojcu w doglądaniu ogródka.

A skoro pozwolono mu robić dalsze wycieczki, biegał do lasu, zbierał tam dzikie kwiaty i zioła i zasadzał na swoim zagonie.

Nareszcie nadszedł czas oddania chłopca do szkół.

Ale, o ile Karol był pociechą rodziców w domu, o tyle przynosił im zmartwienie podczas pobytu swego w szkole.

Przywykły do biegania po lasach i polach, nie lubił śłęczyć nad książką.

Nauczyciele skarżyli się na jego lenistwo tak, że ojciec w końcu zmuszony był odebrać go ze szkół.

Ojciec Lineusza cieszył się nadzieją, że syn jego kiedyś poświęci się stałowi duchownemu, ale widząc niepokonane lenistwo Karola, musiał się tej myśli wyrzec.

Chcąc jednak chłopcu zapewnić jakieś utrzymanie, oddał go na naukę do szewca.

Młody Lineusz pracował więc szydłem pod okiem majstra, ale jak tylko miał wolną chwilę, brał swą ulubioną botanikę, którą przywiózł był ze sobą z domu i wymykał się za miasto, aby tam szukać roślin.

To szczególne zamiłowanie do botaniki u terminatora szewckiego, zwróciło uwagę doktora Rothmana, przyjaciela rodziny Lineusza.

Poradził więc on pastorowi, aby pozwolił chłopcu poświęcić się naukom przyrodniczym, a otrzymawszy na to pozwolenie, sam pomagał małemu Karolowi słowem i czynem.

Dawał mu lekye niektórych przedmiotów, a do innych trzymał nauczycieli.

W taki sposób Lineusz przygotował się do uniwersytetu i zapisał się jako słuchacz medycyny.

Tymczasem fundusze pastora i jego przyjaciela wyczerpały się i Karol musiał sam sobie radzić w uniwersytecie.

Ciężkie to było życie.

Brakowało mu stołu do pisania, krzesła do siedzenia; ubranie ledwie się trzymało, a jeść nie było co.

Koledzy ratowali go jak mogli, to zapraszając na obiady, to darowując od czasu do czasu przenoszone suknie i obuwie.

Tu się przydał Lineuszowi termin u szewca.

Reperował on sobie bowiem zdarte trzewiki, podkładając podeszwy korą i tekturą i paradował w nich na wykłady do uniwersytetu, a po wykładach do lasu.

Pracą i zdolnościami tak się odznaczył między kolegami, że profesorowie zwrócili na niego uwagę.

Za wstawieniem się jednego z nich, otrzymał Lineusz miejsce nadzorcy ogrodu uniwersyteckiego, a potem na zlecenie królewskie odbył podróż do Laponii, w celu poznania i opisania spotkanych po drodze roślin.

Podróż ta po północnym, wiecznemi śniegami po-

krytym kraju, była nader uciążliwa, ale silna wola i chęć wiedzy zwyciężyły wszelkie przeszkody.

Lineusz powrócił z podróży zwycięzko.

Widziane rośliny opisał tak doskonale, że zyskał powszechną sławę.

Następnie podróżował po Europie, gdzie poznał się z różnymi uczonymi owego czasu.

Obcy umieli ocenić naukę Lineusza, więc też ofiarowano mu w Niemczech miejsce profesora uniwersytetu.

On jednak powrócił do Szwecyi, gdzie tak o nim zapomniano, że czas jakiś musiał się zajmować leczeniem chorych, aby zarobić na życie.

Udało mu się szczęśliwie wyleczyć ówczesną królowę szwedzką Ulrykę Eleonorę i tym sposobem przypomnieć się rodakom.

Wkrótce też powołano go na prezydenta akademii w Sztokholmie, gdzie też zaszczytnie urząd swój spełniał.

Studenci lgnęli do jego wykładów, jak muchy do miodu tak, że w końcu roku miał po 1,500 słuchaczy.

Teraz mógł już prowadzić życie bez troski.

Dzielny ten człowiek nie przestawał pracować i czas swój dzielił między ciągle badania i opisywania roślin, a wychowanie jedynego syna swego.

W czasie lekcji w uniwersytecie został rażony paraliżem, wskutek czego stracił władzę w nogach i w cztery lata po tym wypadku zmarł 1778 roku, żalowany powszechnie.

---

## L A S C A S A S.

---

Przy nawracaniu pogan używano nieraz gwałtu, strachu i broni, zamiast postępować z nawracanymi łagodnie, rządzić się miłością, jak nauczał Chrystus Pan.

Dowody tego mamy tysiączne w dziejach różnych narodów.

Niemcy przemocą nawracali słowian, którzy bronili się zawzięcie, dlatego to ci ostatni dotychczas nienawidzą Niemców.

Ogniem i mieczem szerzyli Anglicy w swoich posiadłościach Azyi i Afryki, a Hiszpanie w Ameryce.

Ale też nigdy nie zbrakło szlachetnych ludzi, prawdziwie godnych sług Chrystusa, którzy oburzali się i ganili takie postępowanie.

Do tego rodzaju ludzi należał hiszpański misyjonarz Las Casas, który żył w końcu XV i na początku XVI wieku.

Pierwszą podróż do Ameryki odbył razem z Kolumbem i pozostał na nowo odkrytym lądzie jako kapłan.

Obowiązki swe spełniał wzorowo.

Był surowym dla siebie, wymagającym dla innych.

Zapobiegł licznym nadużyciom, a nawet okrucieństwom, jakich dopuszczali się Hiszpanie względem krajowców Indyan.

Hiszpanie, czując się panami na nowej ziemi, wyzyskiwali nieświadomość i dobroć Indyan na każdym kroku.

W handlu zamiennym, jaki z nimi prowadzili, oszukiwali biedaków jak najsromotniej, a kiedy ci z czasem zmądrzyli się i nie dawali się obdzierać, Hiszpanie wydzielali im gwałtem dobytek i posuwali się aż do morderstwa.

Będąc kilkakrotnie świadkiem takiej rzezi, niemożąc jej powstrzymać, postanowił Las Casas udać się do Hiszpanii, aby tam od króla wyjednać opiekę dla biednych pokrzywdzonych.

Za przybyciem do kraju, zaczął się starać o posłuchanie u króla.

Lecz uciskający Indyan mając się z tego dobrze, przepłacali hojnie swych stronników w Hiszpanii; ci

więc zacnemu księdzu utrudniali jego przedsięwzięcie na każdym kroku.

Nakoniec ledwie uzyskał posłuchanie, król Ferdynand, który wówczas panował w Hiszpanii, umarł.

Zabiegi zatem Las Casasa spełżyły na niczem.

Ale wytrwały kapłan nie dał za wygraną.

Przełamawszy wiele trudności i straciwszy niemało czasu, dopiął swego celu.

Nie mogąc uzyskać poparcia rządu, udał się do Ameryki i postanowił działać na własną rękę.

Zebrał wkoło siebie uczciwych ludzi, przyjaciół Indyan i zaczął od tego, że przeszkadzał gubernatorowi w Nicaragua w robieniu uciążliwych wypraw w głąb kraju.

W czasie tych wypraw działy się straszne okrucieństwa, np. jeżeli Indyanin, znużony ciężarem, przechodzącym jego siły, upadał ze zmęczenia, to ucinali mu poprostu głowę, żeby nie miał kłopotu.

Zdarzyło się, że z wziętych na jakąś wyprawę 400 Indyan, tylko sześciu wracało żywych.

Broniąc wszelkimi siłami uciśnionych, nie zapominał Las Casas o krzewieniu między Indyanami wiary chrześcijańskiej.

Ale brał się do tego po ojcowsku.

Powoli zapoznawał się z danem plemieniem, zaprzyjaźniał się z pojedynczemi jego członkami, podarkami

zjednywał niechętnych, dobrocią zyskiwał sobie innych, a dopiero na tak przygotowanym gruncie siał Słowo Boże.

To też w ten sposób posiane Słowo Boże, obfity plon wydawało.

Nareszcie i nieprzyjaciele jego wobec takiej działalności upokorzyć się musieli.

Kiedy w dowód uznania licznych zasług, został mianowany Las Casas biskupem w Nowym Meksyku, nie zmienił on w niczem dawnego swego sposobu życia.

Nie otaczał się zbytkiem, ubierał się w skromne dawne suknie, żywił się niewybrednie.

Zato podwoił pilność w pracy, bo dowodził, że nowa godność nowe obowiązki nań wkłada.

Surowo powstał przeciwko niewolnictwu i zato był niezmiernie prześladowany.

Ale jako człowiek niepospolitej odwagi, nie ustępował ze swoich przekonań i bronił ich dzielnie.

Umarł w 1566 r., przeżywszy lat 92.

## ROHLFS FRYDRYCH GERHARD.

---

Obok Anglików, którzy z niezwykłą wytrwałością i odwagą starają się przeniknąć w głąb Afryki, także najwięcej na tem polu działali Niemcy.

Ilu z nich jednak padło ofiarą zuchwałych przedsięwzięć!...

W r. 1852-im zmarł w Cuca dr. Overweg, otruty wyziewami, wywiązującemi się zwykle w porze dżdżystej w tych zabójczych dla Europejczyków okolicach.

Był on współtowarzyszem wyprawy H. Rartha.

W roku 1856-ym umarł w Schönlein na przylądku Palmas, skutkiem febry epidemicznej.

W tym samym czasie w Warra zamordowanym został dr. Vogel, w stołecznem mieście Waday.

Z liczby odważnych mężów, którzy puścili się w podróż niebezpieczną, celem odszukania śladów Vogla, baron von Neims uległ w r. 1858-ym zabójczemu klimatowi, a Maurycy von Bauerman padł z rąk zabójców.

W r. 1860-ym młody Albert Roscher, w kwiecie pełnego nadziei życia został zabity; spoczywającego w swoim namiocie we wsi Hisonguny, nad jeziorem Nyansa, napadli dzicy krajowcy.

W walce otrzymał ranę pociskiem strzały zatrutej, od której zmarł niebawem.

Podobnemu wypadkowi o mało co nie uległ Fryderyk Gerhard Rohlfs.

Przybywszy do Braman, znalazł u szejka miejscowego nader przychylne przyjęcie, zamierzył więc ztąd puścić się w dalszą drogę przy jakiej karawanie.

Gdy jednak przez dziesięć dni nie znalazła się żadna odpowiednia sposobność, wyprosił sobie u szejka kilku przewodników, którzy go mieli odprowadzić do Kenatza.

Wieczorem wybrał się z obeznanym z okolicą służącym szejka.

Po kilkugodzinnym marszu podróżni spoczęli na chwilę nad brzegiem maleńkiej rzeczki.

Zmęczony Rohlfs zasnął wkrótce, lecz wnet przebudził się wśród wiru strasznej napaści.

Lewe jego ramię było zgruchotane i okryte pięcioma ranami, prawe udo przebite, a prócz tego ręce pokiereszowane cięciami pałasza.

Sprawcą tego niecnego napadu był szejek ze swoją drużyną, który pospieszył za Rohlsem, celem zamordowania go i ograbienia.

Nieszczęśliwy podróżnik padł krwią zboczony, a wielka utrata krwi spowodowała omdlenie, które barbarzyńcy wzięli za śmierć.

Gdy dnia następnego Rohlfs powrócił do przytomności, ujrzał się samotnym, służący jego bowiem uciekł w chwili walki.

Położenie było rozpaczliwe. Sam jeden w pustyni, pozbawiony był całego mienia i broni.

Strumień wody płynął nieopodal, lecz Rohlfs z powodu zbytznego osłabienia nie mógł się do niego dostać.

Pragnienie dokuczało mu straszliwie.

W tak okropnym stanie, walcząc między życiem a śmiercią, przeżył dwa dni i dwie noce.

Nareszcie trzeciego dnia nadeszli dwaj marabuci, którzy w owych stronach krzewią religiję mahometańską i cieszą się między ludnością wielkim szacunkiem.

Dowiedzieli się oni o napadzie i przybyli pochwycić trupa.

Z radością dostrzegli, że mniemany nieboszczyk daje jeszcze znaki życia.

Umieścili go więc na noszach, zawieszonych na grzbiecie muła i po upływie dwóch godzin Rohlfs znalazł się pod gościnnym i litościwym dachem.

W pamiętnikach swoich śmiały ten badacz Afryki nie znajduje wyrazów na wypowiedzenie podziękowań za dobroć i miłosierdzie, jakich przez dwa miesiące zupełnie bezinteresownie doznawał ze strony marabuta Siwi Loszma i jego żony.

Tylko dzięki ich troskliwej opiece powrócił do zdrowia.

Okropna ta przygoda nie powstrzymała go jednak od dalszych podróży naukowych.

W Sierpniu 1863 r. opuścił Algier, celem dostania się nową, chociaż niebezpieczną drogą do Timbaktu, wielkiego miasta, położonego nad rzeką Nigrem.

„Przedemną rozciąga się olbrzymia pustynia,“ pisze Rohlfs, „pierwszy krok do Timbaktu jest już więc zrobiony.

Co to za rozkosz, gdy pierwszy z Europejczyków przybędę z Algieru do Senegalu! Jakiegokolwiek napotkałbym przeszkody, muszę je pokonać.“

Podróż swą odbywał pod nazwiskiem „szeryf el Nemdi,“ przebrał się w strój arabski i udawał krajowca.

Rola to bardzo trudna i niebezpieczna.

Podjąć się jej mógł tylko człowiek tak energiczny, jak Rohlfs, obdarzony znajomością języka, religii i zwyczajów wschodnich.

Po przebyciu Trypolidy, brak pieniędzy zmusił go do powrotu.

Uczył to w sam czas, Arabowie bowiem, dowiedziawszy się, że jest chrześcijaninem, nie posiadali się z gniewu i poprzysięgli mu zgubę.

W ślad za Rohlfssem poszło następnie wielu pod-

różników, którzy niejednokrotnie przebyli tę drogę niebezpieczną i zawiązali trwałe stosunki pomiędzy Algierem i Senegalem.

Obecnie prawie wszystkie karawany podążają tą drogą.

Do liczby niewielu szczęśliwych podróżników, którzy z życiem wrócili w progi ojczyzny, aby stać się przykładem wytrwałości i mężnego znoszenia trudów, należy także Henryk Barth, Hamburczyk, urodzony w r. 1821, a zmarły w Berlinie w r. 1865.

Z polecenia rządu angielskiego odbył on po Afryce podróż, o której już to jedno dać może przybliżone pojęcie, że w ciągu kilku lat przebył przeszło trzy tysiące mil geograficznych.

Barth, dobrawszy sobie kilku towarzyszy, zawiązał liczne stosunki handlowe, poczyniwszy przytem rozmaite odkrycia naukowe.

Przygody swoje opisał w dziele nadzwyczaj interesującym i cenionem ze względu prawdziwości wszelkich danych, przytoczonych w tej pracy.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach następujące dzieła naukowe, napisane i wydane przez pedagoga

PLATO V. REUSSNERA:

## „NAJLEPSZA METODA”

do nauczania się bez nauczyciela:

Języka Niemieckiego w 3 miesiącach,

Języka Angielskiego w 24 lekcyach.

**Elementarz Polsko-niemiecki do nauczania dzieci w 1 do 2 miesięcy po niemiecku czytać, pisać i rozmawiać.**

**Elementarz Polski, na którym można nauczyć dzieci za 3 do 6 tygodni czytać, pisać, rysować i rachować.**

Metoda niemiecka składa się z dwóch części, t. j. z kursu niższego i wyższego. Część I-sza, czyli kurs niższy, przeznaczony jest dla uczniów początkujących i niemających jeszcze pojęcia o języku niemieckim. Treść jego stanowią ćwiczenia praktyczno-konwersacyjne w pytaniach i odpowiedziach, z uwzględnieniem zasad gramatycznych — i anegdotki. Ćwiczenia te są stopniowane, zaczynają od najłatwiejszych, a zarazem najpotrzebniejszych wyrazów i zwrotów mowy, odnoszących się do przedmiotów spożywczych, odzieży i w ogóle przedmiotów materialnych. — Przy tych przedmiotach materialnych nie zwraca się w języku niemieckim uwagi ani na rodzaj, ani też na przypadek i liczbę; dosyć jest nauczyć się wyrazów podanych w słowniczkach, które każdy uczeń z łatwością złoży w zdanie.

Część II ga, czyli kurs wyższy przeznaczony jest dla uczniów już obeznanych z językiem niemieckim, a dzieli się znowu na dwa stopnie nauki. Stopień pierwszy, obejmujący całą gramatykę systematyczną tylko ogólnikowo, mieści w każdej lekcyi oprócz ćwiczeń gramatycznych, odnoszących się do prawideł, także rozprawki praktyczne, a najglówniej wyjątki powiastek i powieści do ćwiczenia się w bieglem czytaniu i opowiadaniu. — Stopień drugi ściślej teoretyczny, obejmuje szersze zasady gramatyczne ze źródłosłowni i składni niemieckiej, jako uzupełnienie stopnia pierwszego, — tudzież rozmówki i obszerną powieść niemiecką z tłem romantycznym, tytułowaną „die Gensenjäger” (Myśliwi giemz) przez Hellztaba.

Metoda angielska różni się od niemieckiej tem, że się w niej mieści dokładne objaśnienie wymowy każdego pojedynczego wyrazu i całych zdań; dlatego może się z niej każdy uczyć po angielsku bez nauczyciela. 1.

kategorye, zastosowanych do okoliczności i potrzeb głównie w podróży, także wzory listów angielskich prywatnych i handlowych, tudzież angielskie przysłowia, a nakoniec przewodnik dla podróżujących do Ameryki.

Metoda Francuzka, obejmująca kurs elementarny czyli niższy, ułożona daleko praktyczniej niż Niemiecka i Angielska wychodzi zeszytami.

Tak w Metodzie Niemieckiej, jak również w Angielskiej i Francuzkiej podane są do ćwiczeń potrzebne słowniczki; dalej każdy ustęp anegdotki, powiastki i powieści tłumaczony dosłownie, powtarza się w tych metodach do trzeciego razu, przez co uczeń zmuszony jest nauczyć się jej gruntownie mimowoli. Podane są tam wszystkie potrzebne materiały pod rękę gotowe, potrzeba tylko trochę cierpliwości i wytrwałości, a może się wkrótce nauczyć obcego języka każdy, kto tylko umie czytać. Zresztą metoda Pl. v. Reussnera ma i tę nieocenioną dogodność przy nauce, że się mieszczą wszystkie środki potrzebne do nauki w jednej książce, gdy tymczasem przy drugich podręcznikach podobnego rodzaju potrzeba koniecznie innych książek pomocniczych, np. gramatyki, książki do czytania, słownika i t. p., co wszystko razem drogo kosztuje, a w dodatku niepodobna się obejść bez pomocy nauczyciela, która już najtańszej licząc, wypadnie kilkadziesiąt rubli za kurs nauki. Podręczniki zaś Pl. v. Reussnera są w rzeczywistości bardzo tanie i prawie najtańsze, gdyż mając w nich wszelkie udogodnienia, nie potrzeba żadnej pomocy nauczycielskiej. Że metoda Pl. v. Reussnera jest najpraktyczniejszym i najpożyteczniejszym podręcznikiem, dowodzi i ta okoliczność, że pierwsza edycja z r. 1880 pomimo wielu nieprzyjaznych okoliczności i pomimo, że autor był jeszcze nieznanym publiczności, doznała dobrego przyjęcia i została wyczerpaną w krótkim dosyć czasie, bo niespełna w 2 lata, zaś wydanie V. kursu niższego zostało wyczerpane o 7 miesięcy wcześniej, niż się tego spodziewał wydawca. A nim wyszła z druku VI-ta edycja, zabrakło egzemplarzy przez 4 miesiące.

Elementarz Polsko-niemiecki i Rusko-niemiecki jest właściwie także kursem przygotowawczo-wstępnym powyższej Metody, przeznaczony nie tylko dla dzieci, lecz także dla osób dorosłych, mniej umysłowo rozwiniętych, t. j. niezających zasad języka ojczystego, czyli gramatyki, która jest potrzebną przy kursie niższym Metody Niemieckiej. Na Elementarzu tym może się uczyć sam i drugich każdy, kto tylko umie czytać w języku ojczystym, bo w nim się znajdują objaśnienia, jak się uczyć i jak drugich nauczać. Przytem każdy wyraz, każda litera jest tłumaczona na język polski z objaśnieniem, jak trzeba wymawiać litery, słowa i całe zdania niemieckie na język polski lub raski. Elementarz ten ma jeszcze tę zaletę, a zarazem wyższość nad innymi elementarzami, że się w nim mieszczą ćwiczenia tylko w pytaniach i odpowiedziach po niemiecku i po polsku lub po rusku, zatem dziecko uczy się od razu rozmawiać po niemiecku zdaniami bardzo łatwymi i czasu nie marnuje na próżno. Do ułatwienia w nauce pojedynczych wyrazów sposobem poglądowym, czyli przez oglądanie, mieści się w nim 200 rycin czyli obrazków. Do nauki pisania mieści się w nim 14 stronic najnowszych wiedeńskich wzorków kaligraficznych. Jak również praktycznym i użytecznym okazał się tenże Elementarz i jak sympatycznie został przyjętym przez ogół, dowodzi wyczerpanie I-jej edycji tegoż w kilku tysiącach egzemplarzy niespełna w 10 miesięcy.

Obecnie pomimo silnej konkurencji innych podobnych podręczników, pomimo usiłowań ze strony rywalów, pragnących szkodzić wydawnictwom Pl. v. Reussnera na każdym kroku i pomimo wielu innych trudnych warunków, podręczniki tegoż autora zyskują coraz większą wziętość w ościennych państwach Europy, jak również i w Ameryce, dokąd odchodzi znaczna ilość egzemplarzy jego dzieł.

Elementarz Polski opracowany na podstawie najnowszych doświadczeń pedagogicznych, przeznaczony jest również do prędkiej a gruntownej nauki początków w rysunkach, pisaniu, czytaniu i rachunkach. Naukę rysunków, czyli kreślenia na sam początek wprowadził autor dlatego, że według doświadczenia najlepszych pedagogów Europejskich, dziecko każde daleko prędzej nauczy się rysować, czyli kreślić różne linije i figury, niż pisać litery, bo figury rysunkowe przedstawiają mu jakiś przedmiot już znany. Następnie, gdy dziecko już wprawi trochę rękę i oko na rysunkach, łatwiej mu daleko idzie nauka pisania liter, które rozumie się po napisaniu ma czytać, a potem dopiero czytać takie same drukowane litery i wyrazy. Figur rysunkowych zaś dziecko nie potrzebuje i nie może czytać, więc rysunki czyli kreślenie służy więcej do zabawki, niż do rzeczywistej nauki, która i w dalszym ciągu nauki musi się odbywać także więcej zabawką, w celu zachęcenia dziecka do nauki i przysposobienia go do pracy umysłowej. Dla rodziców i młodych, niedoświadczonych nauczycieli, podał autor w tymże Elementarzu dokładne wskazówki pedagogiczne, jak sobie mają poczynać z dziećmi, jak je uczyć rysować, pisać, czytać i rachować na wszystkie 4 sposoby liczbami całemi i ułamkami. Autor podał prócz wzorków rysunkowych także rycinki wyobrażające po kilka rzeczy na każdą literę, a to w celu łatwiejszego zapamiętania i pojęcia przedmiotów i pojedynczych liter, odnoszących się do tychże. Do nauki pisania mieszczą się wzorki t. j. 20 do 40 stronic pisma. Na Elementarz polski Reussnera patrzy zawistnem okiem bardzo wielu wydawców elementarzy i to po większej części elementarzy starej daty ze sylabizówką, którą już w całym świecie zarzucono, a która tylko jeszcze w Warszawie i na prowincyi jest uprawiana przez ludzi, niemających pojęcia o tem, jak to prędko można nauczyć bez sylabizówki, a jak długo sylabizowaniem. Bez sylabizówki nauczy się dziecko dobrze czytać i pisać w 2 do 6 tygodni, a sylabizowaniem zaledwie w 2 lata i to lichy. A ponieważ sylabizówka jeszcze bardzo u nas zakorzeniona i ludzie więcej nabywają elementarzy ze sylabizówką, przeto wyrządzają szkodę dzieciom i sobie samym. Jednakże ludzie rozsądni idą za postępem, a szczególnie doświadczeni nauczyciele i nauczycielki popierają nową metodę nauki początków czytania i pisania, a zatem uznają Elementarz polski Reussnera za bardzo dobry i praktyczny.

Powiatki Polsko-niemieckie Reussnera, treści bardzo zajmującej, mogą służyć netylko do samej nauki języka niemieckiego, lecz także do rozrywki przy czytaniu nawet dla tych, co nie umieją i nie myślą się uczyć po niemiecku. Myśliwi Giezm albo Strzelcy Alpejscy, powieść romantyczna, spolszczona przez Pl. v. Reussnera, zawiera opisy z życia i przygód strzelców szwajcarskich, dwóch braci Waltera i Rucółfa.

# Głosy Publiczne.

1. **LIST OTWARTY.** Niniejszem mamy zaszczyt objawić publicznie, że Metodę Niemiecką, napisaną przez p. Plato v. Reussnera znajdujemy rzeczywiście bardzo dobrą i zalecamy ją Szanownym Czytelnikom jako bardzo praktyczny podręcznik, dla każdego przystępny, słowem najlepszy podręcznik do nauki języka niemieckiego z pomocą, lub nawet bez pomocy nauczyciela. *Warszawa, d. 15 Kwietnia 1883 r. Władysław Wąsowicz, Gustaw Bulikowski.*

2. **LIST OTWARTY.** Nie weźmie mi Szanowny Pan za złe, że się ośmielę wyrazić najwyższe moje uznanie dla Jego znakomitej i prawdziwie, „Najlepszej Metody“ języka niemieckiego i zapytać zarazem, kiedy z pewnością wyjdzie zeszyt III-ci, gdyż przeszliśmy już zeszyt II-gi i nie wiemy jak dalej sobie postąpić. Wybaczy mi Szanowny Pan, że Go śmiem obarczać odpowiedzialnością i proszę przyjąć zapewnienie głębokiego poważania, z jakim choć nieznajomy dla Niego pozostaję. *A. Hauptman. Kraków d. 3 Grudnia 1883 r.*

Adres mój: *Amaliya Hauptman*, dla p. Augusta w Krakowie, ulica Szlak 25.

3. **LIST OTWARTY.** Potrzebując podręcznika do nauki języka niemieckiego, znalazłem z pomiędzy wielu tylko jeden stosowny, a nawet przewyższający moje oczekiwania. Podręcznik ten tytułowany „Najlepsza Metoda“ napisany przez p. Plato v. Reussnera, zalecam jako rzeczywiście najpraktyczniejszy i najłatwiejszy dla każdego, w przekonaniu, że mi każdy będzie wdzięcznym. *Pankracy Wodziński. d. 15/10 1884 r.*

4. **LIST OTWARTY.** Zwolennikom języka niemieckiego zalecamy książkę: „Najlepsza Metoda“ do nauki języka niemieckiego przez Pl. v. Reussnera, jako jedyny prawdziwie najlepszy i najpraktyczniejszy podręcznik do nauki nawet bez pomocy nauczyciela dla osób dorosłych, jak również i dla dzieci. *Tytus J. Zaremba, Bogdan Komorowski. d. 23 Października 1884 r.*

5. **LIST OTWARTY.** Metodę przez pana Plato von Reussnera mogę polecić każdemu, pragnącemu uczyć się języka niemieckiego, jako podręcznik sumiennie opracowany i rzeczywiście celowi swemu odpowiadający. *Jan Brodkiewicz.*

*Warszawa d. 19 Kwietnia 1888 r.*

ulica Senatorska Nr. 23.

6. **LIST OTWARTY.** Podręcznik Pana Reussnera uważam z własnego doświadczenia, jako mogący oddać wielkie usługi dla rozpoczynających naukę języka niemieckiego, szczególnie dla żyjących uczyć go się praktycznie, nie obciążając pamięci na samym wstępie prawidłami gramatycznymi. *Antoni Neuman. Student Uniwersytetu, z wydziału matematycznego. Warszawa d. 21 Kwietnia 1888 r.*

7. **LIST OTWARTY.** Potrzebując poznać dokładniej język niemiecki, wybrałem Metodę P. Plato v. Reussnera i dzisiaj mogę takową śmiało polecić każdemu, ktoby się chciał uczyć języka niemieckiego, jako jeden z najlepszych i rzeczywiście pożytecznych podręczników. *Władysław Trochimowski. Warszawa, d. 1 Maja 1888 r. ulica Złota Nr. 70 — 72.*

13. LIST OTWARTY. Kilka miesięcy temu powziąłem zamiar uczyć się języka niemieckiego, nie mając jeszcze o nim najmniejszego pojęcia. Sprowadziłem więc kurs I-szy Pańskiej metody i postępując według wskazówek Pańskich, mam już tę przyjemność, że mogę prowadzić lekkie rozmowy po niemiecku z moim kolegą, który nabył kurs II-gi tejże Pańskiej metody. Jeżeli tak dalej postępować będę, mam nadzieję, że w krótkim czasie będę mógł wyrazić Panu moją wdzięczność w języku niemieckim, co jest mojem wielkim życzeniem. — Miasto Czygyryn, gub. Kijowska, praporszczyk 76-go piechotnego pułku Kubańskiego. *Maryan S. Lange. d. 5/1 1890 r.*

14. LIST OTWARTY. Szanowny Panie! Wyczytawszy artykuły w kilku gazetach o Pańskim Elementarzu polskim, byłem bardzo zaciekawionym i kupiłem jeden egzemplarz, który znalazłem daleko lepszym, niż się spodziewałem i daleko lepszym, niż wszystkie inne elementarze, które dotąd widziałem. Na Pańskim Elementarzu można rzeczywiście nauczyć dziecko bardzo łatwo i w bardzo krótkim czasie czytać, pisać, rysować, i rachować, a na innych elementarzach można tylko z trudem nauczyć czytać; ale o nauce rysunków i rachunków tak, jak na Pańskim Elementarzu, nie można ani marzyć. — Następnie kupiłem także Pański Elementarz Polsko-niemiecki, którym jestem również zachwyconym, bom nigdy nie myślał, że się można na nim nauczyć tak łatwo i bardzo prędko czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku. Dziękuję Panu bardzo za napisanie tak pożytecznych elementarzy i proszę o zawiadomienie mnie, kiedy wyjdzie z druku Pański Elementarz ruski, który spodziewam się będzie tak samo bardzo dobrym, jak polski i niemiecki. *Stefan Stasiewski.*

w Łowiczu, ulica Nowy-Rynek, d. 20 Maja 1890 r.

15. LIST OTWARTY. Zaciekawiony pochwałami o Pańskiej Metodzie nauki języka niemieckiego, nabyłem egzemplarz tejże z pewną jednakże nieufnością, bo nie chciałem wierzyć, aby się można nauczyć po niemiecku w 3 miesiącach i to bez nauczyciela. Dopiero po rozpoczęciu nauki języka niemieckiego według Pańskich wskazówek, przekonałem się, że przy szczerych chęciach i wytrwałości, można się nauczyć bardzo prędko języka tego z pomocą Pańskiej Metody. I rzeczywiście w bardzo krótkim czasie zrobiłem daleko większe postępy, niż się spodziewałem i wyobrazić sobie mogłem. Porównując Pańskie dzieło z innymi podobnymi podręcznikami szkolnymi i pozaszkolnymi, mogę śmiało twierdzić, że Metodzie Pańskiej należy się słusznie pierwszorzędne miejsce i że żaden podręcznik podobny nie może z nią współzawodniczyć. — Czuję się więc w obowiązku złożyć Panu serdeczne dzięki za opracowanie tak praktycznej i użytecznej książki. *Maryan Czekoński.*

w Łwowie, ulica Halicka Nr. 20, d. 25 Maja 1890 r.

16. LIST OTWARTY. Ułożona przez Pana Metoda języka niemieckiego jest prawdziwie najlepszym i najpraktyczniejszym podręcznikiem dla tych, którzy się chcą uczyć po niemiecku bez nauczyciela. — *J. Deniskiewicz, nauczyciel. Pruszków dnia 3 Marca 1890 roku.*

17. **LIST OTWARTY.** Przysłany mi na okaz Pański, „Elementarz Polski“ po przejrzeniu uważam za najpraktyczniejszy z istniejących dotąd wydawnictw tego rodzaju. Znać tu rękę doświadczonego pedagoga wytrawnego. Z przysłym rokiem zamierzam go wprowadzić w swej szkole. Układ pierwszych dwóch części zwłaszcza bardzo systematyczny i racjonalny. W trzeciej części jednak radziłbym rachunkowość oddzielić jako przedmiot specjalny i niemający z nauką czytania nic wspólnego. Niemiecki Elementarz Pański jest również najprzydatniejszym dla początkujących i wyraził się o nim można tylko z uznaniem. — *Adam Hiller*. Nauczyciel ludowy w Dobryczycach, pow. Noworadomski, gub. Piotrkowska. *Dnia 2 Lutego 1890 r.*

18. **LIST OTWARTY.** Pragnąc uzupełnić znajomość języka niemieckiego, zastanowiłem się nad wyborem podręcznika, przy pomocy którego mógłbym dopiąć celu. Wybór mój padł na Metodę Pańską i dziś po paru miesiącach widzę znaczne postępy w nauce. Dlatego miło mi jest wyrazić moje zupełne uznanie dla dzieła Pańskiego, przy użyciu którego można w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć prawdziwie dodatnie rezultaty. — *Jan Otwinowski*. Warszawa d. 22 Stycznia 1891 roku. Ulica Foksal Nr. 10.

19. **LIST OTWARTY.** Słyszac od wielu osób, że z Pańskiej Metody można się nauczyć w 3 miesiące bez nauczyciela po niemiecku czytać, pisać i rozmawiać, nie chciałem temu wierzyć i uważałem to za bajkę. W celu przekonania się, rozpocząłem naukę według tejże Pańskiej Metody z pewnem co prawda niedowierzaniem. Po upływie 5½ miesięcy nauczyłem się rzeczywiście sam bez pomocy nauczyciela po niemiecku czytać, pisać i rozmawiać. Obecnie mogę śmiało twierdzić, że Metoda Pańska jest rzeczywiście bardzo dobra i przystępna nawet dla mniej uzdolnionych, lecz pilnych i wytrwałych samouków, których Pan jesteście widocznie protektorem. Uważam sobie więc za miły obowiązek złożyć Panu serdeczne podziękowanie za napisanie tak pożytecznego dzieła, które polecam usilnie każdemu jako najpraktyczniejszy podręcznik do nauki języka niemieckiego. *Stefan Majkowski*, właściciel domu przy ul. Szerokiej w mieście Lubar, Gubernii Wołyńskiej, *dnia 15 Marca 1891 roku.*

20. **LIST OTWARTY.** Dowiedziawszy się o Pańskiej Metodzie do nauki języka niemieckiego, nabyłem egzemplarz tejże, a zrobiwszy przy pomocy tegoż Pańskiego podręcznika w krótkim czasie znaczne postępy w nauce, mogę śmiało polecić tenże podręcznik każdemu, kto potrzebuje i pragnie uczyć się powyżej wzmiankowanego języka, bez pomocy nauczyciela. *Stanisław Wiśniewski*, Warszawa d. 7 Września 1891 r. ulica Erywańska Nr. 14.

21. **LIST OTWARTY.** Słyszac wiele pochwał o Pańskiej Metodzie do nauki języka niemieckiego, zapragnąłem także i ja przy pomocy tego dzieła uczyć się po niemiecku. Po upływie kilkotygodniowej nauki, przekonałem się, że istotnie można robić szybkie postępy w nauce języka, nawet bez pomocy nauczyciela. Uważam sobie więc za obowiązek przesłać Panu, jako autorowi tak wielce pożytecznego podręcznika, wdzięczność moją i uznanie i postaram się rozpowszechnić wedle możności jak najwięcej dzieło to wśród moich przyjaciół i znajomych; co proszę ogłosić drukiem według upodobania. *Piotr Ostrowski*. Warszawa, d. 8 Września 1891 r.

**22. LIST OTWARTY.** Mając na celu nauczenie się języka niemieckiego, robiłem wybór podręczników, które mogłyby poprowadzić samouka systematycznie praktyczną drogą bez wielkiego obciążania umysłu. Jednakże żaden podręcznik nieodpowiadał mojemu celowi tak, jak podręcznik, ułożony przez Pana. Przeto zalecam każdemu, mającemu podobny zamiar, iść za wskazówkami Pańskiego podręcznika. — *Ludwik Lipski, w Jędrzejowie, Kielecka gub. d. 30 Sierpnia 1892 r.*

**23. LIST OTWARTY.** Wybierając się do Ameryki, potrzebowałem poznać język angielski. Z pomiędzy proponowanych mi podręczników wybrałem Pańską Metodę i nie żałuję wyboru mego, bo przy pomocy tejże pojąłem bez nauczyciela pierwsze zasady języka, który mi obecnie wyświadcza wielkie usługi i dogodności. Przybywszy do Ameryki, pośpieszam przesłać Panu serdeczne „Bóg zapłać“ za ułożenie i wydanie tak pożytecznego dziełka, które gorąco zalecam ziomkom moim tu w Ameryce, jak również i w Warszawie, głównie zaś udającym się za morze. Równocześnie pozwałam sobie zapytać, czy i kiedy Pan wydasz kurs wyższy swej Metody, któraby mi się bardzo przydała, bo się nie mogę dopytać o książkę, z pomocą której mógłbym uzupełnić gruntowną znajomość języka angielskiego bez nauczyciela. *Władysław Flawianowski, New-York, Cambello Mass, Box 324, Ameryka Północna d. 28 Stycznia 1893 r.*

**24. LIST OTWARTY.** Przed wyjazdem moim do Ameryki lekceważyłem sobie znajomość języka angielskiego. Dopiero po przybyciu na miejsce przekonałem się niestety, że bez języka tego można tu zginąć marnie. Dlatego z polecenia kolegi mego, wzięłem na pomoc Pańską Metodę Angielską, która mi wyświadczyła nieoczekiwane usługi, bo w krótkim czasie nauczyłem się z niej po angielsku tyle, że sobie mogę teraz sam wszędzie zaradzić. Zasiłam więc Panu moje uznanie i podziękowanie za napisanie tak wielce pożytecznego podręcznika dla samouków i proszę o nadesłanie mi 7 egzemplarzy tegoż dla moich towarzyszków. *Józef Wszęborski. — Pittsburg Pa. Per. aven. 2015, Ameryka Północna, d. 9 Lutego 1893 r.*

**25. LIST OTWARTY.** Przed 3-ma laty pełniłem obowiązki numerowego w hotelach Warszawskich, gdzie wymaganym jest język niemiecki, którego ja wcale nie znałem. Nabywszy więc Pańską Metodę Polsko-Niemiecką, nauczyłem się z niej bez pomocy nauczyciela w dosyć krótkim czasie po niemiecku. Z początku nie wiedziałem sam, komu mam zawdzięczać ów szybki postęp w nauce, czy mojej bystrej pamięci, czy też podręcznikowi Pańskiemu. I dopiero teraz przekonałem się, że to Panu się należy wdzięczność. Albowiem po przybyciu tu do Ameryki, zmuszony obeznać się także z językiem angielskim, nabyłem podręcznik, wydany tu w Ameryce, na którym się dosyć namozoliłem i niewiele, bo prawie nic się nie nauczyłem. Przypadkowo zwrócił mi uwagę mój przyjaciel na Pańską Metodę Polsko-Angielską, przy pomocy której tenże się nauczył dosyć prędko bez nauczyciela po angielsku i mnie takową jako najlepszą, zachwalił. Proszę więc o rychłe nadesłanie mi jednego egzemplarza tejże swej Metody Angielskiej. — *Konstanty Nasiorowski. Trenton N. Y. Clark street Nr. 84, Ameryka Północna, d. 16 Sierpnia 1893 r.*

26. **LIST OTWARTY.** Lat temu dwa, nabyłem Pańską Metodę do nauki języka niemieckiego, z pomocą której wywodziłem się wkrótce bez pomocy nauczyciela, tak, że jestem dziś kompletnie uzdolniony w pisaniu, czytaniu i konwersacyi, czemu właśnie zawdzięczam moje obecne dosyć korzystne stanowisko.

Będąc zaś obecnie znowu zmuszonym poznać się z językiem angielskim, proszę o nadesłanie mi 1-go egzemplarza swej „Polsko-Angielskiej Metody“, a spodziewam się, że i ten podręcznik wyświadczy mi także same dobroczynne usługi, jak podręcznik Polsko-Niemiecki. O tem jestem z góry zapewnionym przez moich kolegów, którzy korzystali z pomocy Pańskiego podręcznika angielskiego. Zasiłam Panu więc w imieniu mojem własnem i w imieniu kolegów, serdeczne podziękowanie za tak dobre podręczniki naukowe. *F. Wierzbicki, Ansonia Conn., d. 20 Czerwca 1893 r. Kanobang street Nr. 105, Ameryka Północna.*

27. **LIST OTWARTY.** „Nikt nie uwierzy, póki sam nie zmierzy.“ Ja także byłem długo takim niewiernym Tomaszem, słysząc tu i owdzie wystawianie Pańskich podręczników do nauki języka niemieckiego i angielskiego. Dopiero gdy zmuszonym byłem odbywać wyższe studia w Niemczech, a następnie podróżować do Anglii i obecnie tu w Ameryce, uczułem potrzebę do rozpoczęcia nauki obudwóch tych języków, t. j. niemieckiego i angielskiego według Pańskiej Metody, która mi rzeczywiście wyświadczyła nieocenione usługi, bo dziś nie potrzebuję nikogo pytać o drogę.

Przyłączam się więc teraz i ja do liczby wierzących w praktyczność Pańskiej Metody i ceniących jej wysoką wartość, ślę polskie „Bóg zapłać“ za opracowanie tak dobrych dzieł. *Edward Karpiński, New-York, d. 27 Sierpnia 1893. r.—Livingtonstreet Nr. 78, Ameryka Północna.*

28. **LIST OTWARTY.** Do języków obcych czułem zawsze wstręt, no i nie grzeszę bardzo zdolnościami w nauce tychże. Zapędzony burzą losów do Berlina, jak ziarno na twardą skalę, widziałem się zmuszonym do rozpoczęcia nauki języka niemieckiego przy pomocy Pańskiej „Najlepszej Metody“, dzięki której przyswoiłem sobie wkrótce język niemiecki. Ciekawość i żądza zrobienia kariery zapędziła mnie następnie za Atlantyck, gdzie znowu i w braku języka Yankesów było mi bardzo niewygodnie. I tu po raz drugi musiałem wziąć na pomoc Pańską Metodę Angielską, z pomocą której po upływie dosyć krótkiego czasu nauki mogę się już dziś rozmówić swobodnie z Yankesami po angielsku. Czuję się więc w obowiązku podziękować Panu za opracowanie tak dobrych podręczników, które gorąco polecam moim ziomkom. — *Wiktor Józef Potok w Potoku Potocki, Mahanoy Plane Pa. P. O. B. 19, Ameryka Północna, d. 29 Sierpnia 1893 r.*

29. **LIST OTWARTY.** Nabywszy Pańską „Metodę Polsko-Niemiecką“, kurs wyższy, przejrzałem takową starannie i gruntownie kilka razy; znajduję ją bardzo praktyczną, umiejętnie i wyczerpująco opracowaną. Spotkałem w niej bowiem uwzględnienie wszystkich właściwości języka niemieckiego, czego napróżno szukałem w innych różnych gramatykach. Pożądanem byłoby jednak w tejże metodzie jeszcze dokładniejsze zestawienie czasowników w znaczeniu czynno-przechodniem i nijakiem, np.: brennen, fahren, i t. p., jak również na końcu dzieła ogólny słowniczek. *Ks. Dr. W. Galańt, Profesor. Przemyśl. d. 10 Października 1894 r. Galicya.*

**80. LIST OTWARTY.** Metoda Pańska do nauki języka niemieckiego i angielskiego jest istotnie wyborym podręcznikiem i nie pozostawia według mnie nic do życzenia. Układ praktycznych ćwiczeń w tejże odznacza się wielkiem uproszczeniem i uprzyśpieszeniem w nauce języka od najłatwiejszych wyrazów, najkrótszych i najprostrzych zdań bez obciążania uczącego się suchemi prawidłami, że tak powiem pętami gramatycznymi, utrudniającemi naukę i zniechęcającemi ucznia już na samym wstępie do pracy, — to naprawdę idealny sposób przyswajania sobie języka. Mimo pilnej a wytrwałej pracy w szkole i poza szkołą nad językiem niemieckim, bardzo słabe korzyści odniosłem z nauki. Dopiero przy pomocy Pańskiego podręcznika uzupełniłem gruntowną znajomość tegoż języka bez pomocy nauczyciela w bardzo krótkim czasie, za co Panu jestem bardzo wdzięcznym i polecam podręczniki Pańskie wszystkim tym, którzy są zmuszeni uczyć się języka obcego bez nauczyciela, a posiadają trochę cierpliwości i wytrwałości. *Izydor Sokołowski*, pułkownik wojsk Cesarsko-Rosyjskich; Minusińsk, d. 26 Lutego 1894 r., gub. Jenisejska.

**81. LIST OTWARTY.** Przed 2 laty wypisałem z księgarni Teodora Paprockiego Pańską „Metodę Polsko-Niemiecką.“ Nie rozumiejąc wtedy jeszcze ani słowa po niemiecku, wątpilem, żebym się mógł sam nauczyć bez nauczyciela. Wiele osób, znających język niemiecki, mówiło mi także, iż praca moja będzie daremną. Jednakże mimo zwątpienia nie odstępowałem od mego zamiaru i uczyłem się sam. Dziś już mogę czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku, a moi doradcy zazdroszczą mi mojej cierpliwości i umiejętności. Składam więc Panu serdeczne podziękowanie za tak zrozumiałą i praktyczną metodę.

Wyczytawszy w prospekcie o Pańskim „Samouczku Polsko-Francuzkim,“ który ma być jeszcze daleko lepszy, niż Metoda Polsko-Niemiecka, proszę o przysłanie mi wszystkich zeszytów, które dotąd wyszły z druku. *Józef Czajkowski*. Łysowody d. 20 Marca 1895 r. gub. Podolska, poczta Gródek.

**82. LIST OTWARTY.** Upraszam Pana o nadesłanie mi 11, 12 i 13-go zeszytu „Samouczka Polsko-Francuzkiego.“ Za ułożenie tak dobrej metody, jaką jest ten „Samouczek,“ jestem Panu niezmiernie wdzięcznym. Nie znając przedtem jeszcze „Samouczka,“ nie myślałem, że kiedyś będę umiał po francuzku, gdyż nie miałem na to odpowiednich środków, a teraz jestem nawet pewnym, że na podręczniku Pańskim mogę się nauczyć mówić i to w krótkim czasie. To też zalecam moim przyjaciółom i znajomym Pańską metodę, bo rzeczywiście zasługuje na pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi dziełami tego rodzaju, które dotąd znałem.—*F. Buczkowski*, Katarzynów A, d. 9 Czerwca 1895 r., gub. Piotrkowska, poczta Nowo-Radomsk.

**83. LIST OTWARTY.** Powziąwszy zamiar nauczenia się języka francuzkiego, nabyłem w tym celu Pańską Metodę p. t. „Samouczek Polsko-Francuzki“, przy pomocy którego zrobiłem znaczne postępy w nauce, pomimo słabej pamięci. Zatem składam Panu serdeczne dzięki za napisanie prawdziwie pożytecznego dzieła dla chcących uczyć się języka francuzkiego bez nauczyciela. *A. N. Ostrowski*.

Warszawa d. 30 Czerwca 1895 r. ul. Strzelecka Nr. 22, Praga.

**34. LIST OTWARTY.** Nie mając wiele czasu i potrzeby zajmować się nauką języków, przejrzałem tylko więcej przez ciekawość kilka razy Pański podręcznik p. t. „Najlepsza Metoda“ do nauki języka Niemieckiego,“ którego układ, praktyczność i użyteczność bardzo mnie zainteresowały. To mnie zachęciło do nabycia Pańskiego „Samouczka Polsko-Francuzkiego,“ który również czytam uważnie i znajduję go daleko praktyczniejszym i łatwiejszym niż Metoda Niemiecka. — *E. Drążkiewicz.*  
Warszawa d. 17 Czerwca 1895 r. ul. Krochmalna Nr. 48.

**35. LIST OTWARTY.** Nabywszy parę zeszytów Pańskiego „Samouczka Polsko-Francuzkiego“ dla mej córki, nie chciałem wierzyć, aby się na nim można było nauczyć języka bez nauczyciela i tak prędko, jak to się w rezultacie okazało. Córka moja przeszedłszy zeszytów 20 w krótkim czasie, nietylko nie doznała najmniejszego utrudzenia w nauce, lecz owszem uważa naukę tę za rozrywkę najmiłą i przyjemną, czego nie można znaleźć w innych podobnych podręcznikach. *Ignacy Piotrowski.*  
Warszawa d. 3 Lipca 1895 r. ul. Wspólna Nr. 19. m. 9.

**36. LIST OTWARTY.** Z braku pomocy nauczycielskiej przy nauce języka francuzkiego, wypróbowałem kilka podręczników najnowszych i osławionych do samonauki, lecz mnie żaden nie zachęcił do wytrwałości w pracy. Nakoniec pobudziła mnie ciekawość do nabycia Pańskiego „Samouczka“ na próbę, który mnie jednakże odrazu tak bardzo zajął, że bez przerwy przeszedł wkrótce 24 zeszyty i postanowiłem wytrwać aż do końca w nauce, którą uważam więcej jako zabawkę i rozrywkę przyjemną, niż pracę. Przyszedłem w rezultacie do przekonania, że jeżeli się Polak nie nauczy po francuzku z żadnej innej książki, to się bezwarunkowo nauczy z pomocą Pańskiego nadzwyczaj łatwego i przystępnego „Samouczka,“ który uważam za najlepszy podręcznik naukowy i polecam go usilnie zwolennikom języka francuzkiego.  
*F. W. Bobrowski. Wiedeń d. 31 Lipca 1895 r. Diehlgasse Nr. 24 m. 5.*

**37. LIST OTWARTY.** Przejrzawszy dotąd wydane zeszyty Pańskiego „Samouczka“ francuzkiego, znajduję go praktycznie i sumiennie opracowanym. Uwzględniono w nim to wszystko, czego wymaga duch języka obcego. Doszliśmy do przekonania, że w rodzinach średnio zamożnych korzystniej jest uczyć dźwięków mówić, czytać i pisać po francuzku według tegoż „Samouczka,“ niżeli przy pomocy miernie wykształconej francuzki. W ostatnim zeszycie radzibyśmy widzieć kilka form pisania listów prywatnych z małym ogólnym słowniczkiem na końcu.

*Ksiądz Aleksander Tymoteusz Arciszewski. Warszawa, d. 25 Listopada 1895 r.*

## ZA WIADOMIENIE.

Wskutek bardzo częstych zapytywań ustnych i piśmiennych, ile zeszytów ma obejmować „Samouczek Polsko-Francuzki“ i kiedy będzie druk tegoż ukończony, mam zaszczyt podać do wiadomości, że „Samouczek“ już wyszedł z pod prasy i obejmuje 13 zeszytów kursu I-go, a 24 zeszyty kursu II-go, razem 37 zeszytów, stanowiących Część Praktyczno-Konwarsacyjną i oprócz tego 10 zeszytów Części Teoretycznej, czyli Gramatyki Francuzkiej, ogółem więc obejmuje cały „Samouczek“ 47 zeszytów, każdy po 15 kop. pocztą 18 kop., które można nabywać we wszystkich księgarniach w dowolnej ilości.

Na zaliczkę pocztową wysła się tylko po 20 lub przynajmniej 10 zeszytów „Samouczka“.

Ponieważ niektórzy są tego zdania, że Samouczek jest zbyt obszerny i nieco za kosztowny, przeto widzę się zmuszonym oznajmić, że każde dzieło, przedstawiające swą istotną wartość i odpowiadające celowi, musi być obszerniej opracowane i kosztować drożej. I tak np. Metoda Francuzka Toussaint-Langenscheidta kosztowała w Warszawie jako tłumaczenie z obcego języka w I-ej edycji 6 rs., gdy tymczasem oryginał tejże metody niemieckofrancuzkiej kosztuje jeszcze dziś 27 marek czyli około 13 rs. 50 k. W obec tego „Samouczek“ mój jako oryginał w objętości znacznie większej niż powyższy podręcznik kosztuje w całości zaledwie połowę powyższej ceny, zatem jest stosunkowo bardzo tani. Każdy więc nabywca „Samouczka“ mego oszczędza kilkadziesiąt rubli, które musiałby zapłacić za pomoc nauczycielowi przy jakim bądź innym podręczniku pozornie niby tanim, a w gruncie rzeczy bardzo drogim.

Zresztą „Samouczek“ nie będzie kompletowany w cały tom, lecz pozostanie w zeszytach aż do wyczerpania I-ej edycji, zatem może go każdy nabywać, w tylu zeszytach, na ile go stać i wiele potrzebuje.

Nie odrzeczy będzie nadmienić, że nim ostatnie zeszyty Gramatyki Francuzkiej wyszły z druku, początkowe zeszyty „Samouczka“ t. j. Części Praktycznej zostały wyczerpane i już rozpoczęła się druk nowej, t. j. II-ej edycji. **Plato v. Reussner.**

38. List Otwarty. Jako Warszawskie dziecko uczyłem się w szkołach języka niemieckiego po Warszawsku, t. j. gramatyki, którą później zapomniałem. Dopiero w podróży po Niemczech widziałem się zmuszonym do nauki języka praktycznie według Pańskiej Metody Niemieckiej, a tu w Ameryce z Metody Angielskiej i obiedwie mnie bardzo zadowolniły. Zachęcony powodzeniem nabyłem więcej z ciekawości niż z potrzeby Pański „Samouczek“ Polsko-Francuzki, którym jestem bardzo zachwycony tak, że z prawdziwą rozkoszą uczę się francuzkiego języka, a nauka ta sprawia mi najmiłą rozrywkę i zabawkę.

Dziękuję Panu najserdeczniej za opracowanie tak dobrych praktycznych podręczników, które polecam usilnie wszystkim moim ziomkom. *Jakób Brodziński*. Locustdale P<sup>a</sup>, Shuylkill C<sup>o</sup>, Ameryka Północna, dnia 29 Listopada 1895 roku.

O „Samouczku“ pisze „Dziennik dla Wszystkich“ z d. 26 Czerwca 1896 roku, № 146 następującą ocenę:

**Z piśmiennictwa.** P. Plato v. Reussner, znany zaszczytnie pedagog i autor licznych podręczników naukowych, cieszących się wielkimi, a zasłużonym uznaniem zarówno krytyki, jak i publiczności, przystąpił przed trzema laty do opracowywania i wydawania „Samouczka Polsko-Francuzkiego“, wychodzącego zeszytami. Obecnie zostało ukończonem to dzieło, obejmujące 13 zeszytów kursu I-szego i 24 zeszyty kursu II-go, razem 37 zeszytów Części Praktycznej, a oprócz tego 10 zeszytów części Teoretycznej czyli Gramatyki Francuzkiej. Cały więc komplet „Samouczka“ wynosi 47 zeszytów, każdy po 15 kop. Jest to dzieło wysokiej wartości. Starannym i umiejętnym układem, jasnym wykładem i w ogóle pod każdym względem przewyższa wszystkie znane dotychczas podręczniki do nauki języka francuzkiego. Wyborna znajomość języka, oraz długoletnie doświadczenie autora wycisnęły swe piętno na tej książce, stawiając ją w rzędzie tych nielicznych dzieł, którem najsurowsza krytyka nic zgola nie może zarzucić. W obec tego możemy polecić „Samouczka“ publiczności, zwłaszcza, że jego cena jest bardzo umiarkowana, a nawet niska. Przy innych metodach niezbędnem jest nabywanie dzieł pomocniczych: słowników, podręczników do czytania, przekładów i t. d. W „Samouczku“ zaś p. v. Reussnera mieści się wszystko, co jest potrzebne do nauki języka. Nadto przy innych podręcznikach niezbędną jest zawsze pomoc nauczycielska, gdy tymczasem „Samouczek“ jest zredagowany w sposób tak jasny, przystępny i umiejętny, że pomoc nauczycielska jest przy nim zupełnie zbyteczną.

# Z A P O W I E D Ź

Z początkiem roku 1897 (w Styczniu lub w Lutym) zaczyna wychodzić dzieło tytułowane:

## „SAMOUKI, WIELCY LUDZIE”

w dziedzinie historyi, umiejętności, sztuki i wynalazków, zebrane i ułożone przez **Plato v. Reussnera**, autora i wydawcę podręczników naukowych.

Dzieło to obejmować będzie życiorysy, szczególnie młodzież sławnych ludzi, którzy silną wolą, niezmordowaną wytrwałością w pracy, zasłużyli sobie na wieczną pamięć i pozostawili najpiękniejsze wzory godne naśladowania.

Życiorysy te, czerpane z różnych źródeł, a szczególnie z prac: Karola Brandona, Franciszka Ottona, Hermana Bartha, Eugienijusza Müllera, Michała Massona i wielu innych, jak również własne prace autora wychodzić będą w pojedynczych tomach, obejmujących mniej więcej po 15 arkuszy druku.

Odstępy czasu, w jakich każdy tom wychodzić będzie z druku, ogłaszane będą publicznie w gazetach.

W niektórych życiorysach pomieszczone są ryciny.

Cena każdego tomu na zwyczajnym grubym papierze 80 kop. (pocztą 1 rs.); na grubym papierze glansowanym, w ozdobnej oprawie, z czerwonymi brzegami 1 rs. 50 kop. (pocztą 1 rs. 75 kop.).

Dzieło „Samouki” nabywać można w księgarniach bez przedpłaty.

### KARTA ZAMÓWIENIA:

Do *P. Plato v. Reussnera*, ul. Złota Nr. 6 w Warszawie.

lub do księgarni .....

Niniejszem upraszam o nadesłanie mi..... tomu dzieł

p. t. „*Samouki, Wielcy Ludzie*,” przez *P. v. Reussnera*.

Imię i nazwisko .....

Wieś lub miasto .....

Ostatnia poczta .....

Gubernija .....

## Cena dzieł Plato v. Reussnera jest następująca:

**Metoda Polsko-Niemiecka** kurs niższy 60 k. (pocztą 70 k.). — **Oprawny** 75 k. (pocztą 85 k.). — Z 400 „Obrazkami do nauki poglądowej“ w 5 językach 1 rs. 30 k. (pocztą rs. 1 k. 44) — **Kurs wyższy** rs. 1 k. 60 (pocz. rs. 1 k. 80) — **Oprawny** rs. 1 k. 80. (pocz. rs. 2 k. 5). — **Komplet** (kurs niższy i wyższy) rs. 2 (p. rs. 2 k. 30). — **Oprawny** rs. 2 zł. 30 (pocztą rs. 2 k. 65)

**Metoda Rusko-Niemiecka** z najnowszymi wzorkami pisma niemieckiego i z 400 obrazkami do nauki poglądowej w 5 językach rs. 2 k. 70 (pocztą rs. 3).

**Metoda Polsko-Angielska** kurs I-szy k. 75 (pocz. k. 85). — **oprawny** k. 90 (pocz. rs. 1 k. 5) — z 400 „Obrazkami do nauki poglądowej“ z objaśnieniem w 5 językach rs. 1 k. 50 (pocztą rs. 1 k. 65). — **Kurs II-gi z Przewodnikiem dla podróżujących do Ameryki** rs. 1 kop. 20 (pocz. rs. 1 kop. 34). — **Komplet** (kurs I-szy i II-gi) tylko rs. 1 kop. 70 (pocztą rs. 1 k. 94).

**Metoda Polsko-Francuzka (Samouczek)** z wymową, zeszyty po 15 kop. (pocztą 18 kop.).

**Elementarz Polski** z (20 do 40) wzorkami pisma, rysunków i rycinami (340 figur) i wskazówkami pedagogicznymi, w oprawie kop. 25 (pocz. kop. 32). — z wzorkami pisma, — bez rycin broszurowany kop. 15 (pocztą kop. 20) — i 4 kop. (pocztą 7 kop.).

**Wzorki pisma polskiego** kop. 10 (pocztą kop. 13).

**Elementarz Polsko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki** z wymową, dla szkoły i domu, każdy oddzielnie, z 14 wzorkami pisma i z 200 rycinami po kop. 35 (pocztą k. 40). — **oprawny** k. 45 (pocztą k. 52). — z 8 wzorkami pisma i 74 rycinami kop. 20 (pocztą kop. 25) — z 6-ma wzorkami pisma i 55 rycinami kop. 10 (pocztą kop. 13).

**Ali-Baba i 40 Zbójców**, powieść ludowa, opracowana przez Ż. Żeglenia, nakładem Pl. v. Reussnera, cena 15 kop. (pocztą 18 kop.).

**Powiatki Polsko-Niemieckie**, ze 100 rycinami na 10 tablicach kop. 20 (pocztą kop. 24) — **Powiatki Rusko-Niemieckie** kop. 40 (pocztą kop. 46).

**Myśliwi Gieuz** (Alpejscy strzelcy), powieść romant. kop. 10 (pocz. kop. 13).

Wychodzą także zeszytami „**Obrazki do Nauki Poglądowej**“ litografowane i kolorowane z objaśnieniami w 5 językach, po kop. 40 za reszyt (pocztą kop. 43).

**Osoby z prowincyi nadsyłające pieniądze z góry na powyższe dzieła wprost do Autora: z Królestwa rs. 3, a z Cesarstwa rs. 6, nie opłacają pošyłki pocztowej za książki.** Pieniądze niżej rubla można nadsyłać markami pocztowemi. Wysyłka książek uskutecznia się także za zaliczkę pocztową, lecz opłatę pocztową należy nadsyłać markami naprzód, bo za takie pošyłki opłacają interesanci przy odbiorze z poczty tak należność za książki, jak również i za całe porte pocztowe.

*Skład główny u autora, do którego należy adresować listy następnie:*

**Do P. Plato v. Reussnera**

przy ul. Złotej № 6 (róg Marszałkowskiej) w Warszawie.

## PRZEDMOWA.

Już prawie od początku ogłoszenia drukiem podręczników moich p. t. „Najlepsza Metoda“ do nauki języka Niemieckiego w r. 1880 i Angielskiego w r. 1882, zaczęto mnie obsypywać zapytaniami, czy i kiedy wydam podręcznik do nauki języka francuskiego.

Na podobne pytania ustne i piśmienne odpowiadałem przecząco, bo nie miałem zamiaru wcale przystępować do opracowania i wydawnictwa podobnego dzieła.

Do kroku tego nie mnie nie zachęcało. Najprzód podręczników do nauki języka francuskiego istnieje bardzo wiele, a przytem opracowanie dzieła oryginalnego, mogącego wyświadczać prawdziwie dobre usługi przy nauce języka dla Polaków, wymaga długotrwałej i mozolnej pracy usilnej, a nakład wydawnictwa nie opłaca się ani autorowi ani wydawcy. Jedyne tylko tłumaczenie dzieł zagranicznych podobnego rodzaju jeszcze się może opłacać wydawcom i to nie zawsze.

Jednakże z uwagi, że podręczniki do nauki języka obcego a szczególnie francuzkiego, przeznaczone dla Niemców, Anglików, i t. p., a tłumaczone dopiero na język polski, nie są i nie mogą być rzeczywiście pożytecznymi przy nauce języka dla Polaków, postanowiłem opracować oryginalne dzieło, zastosowane do ducha języka polskiego i do potrzeb miejscowych.

Do tego kroku zmusiły mnie ostatecznie już nie same zapytywania coraz liczniejsze, ale wprost usilne żądania tak ze strony Sz. Publiczności, jak również P.P. Pedagogów i Księgarzy, którzy mnie zapewniali, że podręcznik mój pozyska dobre przyjęcie i poparcie, jeżeli będzie opracowany w podobny sposób praktyczny, jak podręcznik niemiecki i angielski, a szczególnie „Elementarz Niemiecki.“

Zachęcony i prawie zniewolony temi zapewnieniami, opracowałem żądany podręcznik do samonauki języka francuzkiego, w którym posunąłem ułatwienie nauki języka bez pomocy nauczyciela do możliwych granic i ćwiczenia zastosowałem dla osób nawet najmniej umysłowo rozwiniętych i uzdolnionych.

W nadziei, że podręcznik mój p. t. „Samouczek Polsko-Francuzki“ pozyska uznanie i dobre przyjęcie, podobnie jak inne podręczniki moje, poświęcam pracę moją do użytku publicznego.

Warszawa w Sierpniu 1894 r.

Plato v. Reussner.

## OZNAJMIENIE.

W końcu roku 1894 zaczął wychodzić zeszytami podręcznik naukowy, p. t. Plato v. Reussnera „**Najlepsza Metoda, czyli Samouczek Polsko-Francuzki**” do nauczenia się języka francuzkiego w **2-ch miesiącach bez nauczyciela**. Podręcznik ten jest ułożony na podobieństwo Elementarza Niemieckiego przez tegoż samego autora, w sposób nadzwyczaj ułatwiający naukę języka.

Mieści się w nim objaśnienie wymowy, tłumaczenie każdego wyrazu i akcentowanie, zatem mogą się na nim uczyć tak dzieci, jak również młodzież dojrzała i osoby dorosłe, mniej nawet umysłowo uzdolnione, niemające jeszcze wcale pojęcia o języku francuzkim, lecz umiejące czytać po polsku.

„**Samouczek**” Francuzki obejmuje **13 zeszytów** kursu I-go, **24 zeszyty** kursu II-go, **Gramatyka Polsko-Francuzka 10 zeszytów**. — cały „**Samouczek**” **47 zeszytów** po 15 kop. (pocztą 18 kop.), które już są zupełnie gotowe do nabycia w księgarniach. — Na **zaliczkę pocztową** wysyła się tylko po **20 i 10**, lub przynajmniej **6 zeszytów**. Edycja I-a nie będzie kompletowana w jeden tom, lecz pozostanie w zeszytach aż do wyczerpania bez zmiany ceny.

Nabywcy wszystkich 37 zeszytów „**Samouczka**” Francuzkiego mają prawo do otrzymania **wprost od autora** jego „**Obrazków do Nauki Poglądowej**” zeszyt I-y i II-gi, obejmujące razem 400 figur (305 rycin i 95 obrazków kolorowanych) w cenie po 40 kop., a za obadwa 80 k. za które **dopłacają tylko 30 kop.**; a za dopłatą 10 kop. otrzymają „**Przewodnik do Ameryki**” w cenie katalogowej **40 kop.** Nabywcy zaś całego „**Samouczka**” z Gramatyką tj. 47 zeszytów otrzymają **Obrazki i Przewodnika** bezpłatnie.

## KARTA ZAMÓWIENIA.

Do P. Plato v. Reussnera, ul. Złota Nr. 6, w Warszawie.

Niniejszem upraszam o nadesłanie mi..... zeszyt.....

P. v. Reussnera Metody p. t. „*Samouczek Polsko-Francuzki.*”

Imię i nazwisko .....

Wieś lub miasto .....

Ostatnia poczta .....

Gubernija .....



84021  
/ 7